

Jakub Czarnik

WILLA „ANNA”

106

ROZDZIAŁ PIERWSZY

WOLNOĆ TOMKU W SWOIM DOMKU • ZŁOŚLIWOŚĆ RZECZY MARTWYCH • KIESZONKOWA POWÓDŹ • OCZY NA ZAPAŁKACH • DAMA • CZY W MINISTERSTWIE WOLNO PALIĆ PAPIEROSY? • KIM JESTEŚ, „ANNO”? • KOBIECA INTUICJA • LIMUZYNA • NOCNY GOŚĆ

Lata spędzone w służbie kapryśnej Pani Przygody nauczyły mnie brać życie za rogi i nie użalać się nad swoim losem. Są jednak takie chwile, kiedy największy nawet twardziel kapituluje i wyje do księżycy niczym zbity pies.

Nadstawiliście już ucha, żeby posłuchać o dramatycznych pościgach zakończonych w przydrożnym rowie, złoczyńcach umykających z szyderczym uśmiechem na ustach albo skrytkach opróżnionych przez rabusiów na długo, zanim zdołałem do nich dotrzeć?

Nic z tego. Tamtego pamiętnego wieczora do ostateczności doprowadziła mnie sympatyczna gospodyni domowa, emerytowany profesor i lodówka.

Dochodziła dwudziesta druga, kiedy zatrzasnąłem drzwiczki wehikułu, zaparkowanego pod mrówkowcem na Ursynowie, na którego dziesiątym piętrze znajdowała się moja kawalerka. Miałem za sobą cały dzień jazdy z Ławy.

Teoretycznie spędzałem tam urlop, ale praktycznie, jak to zazwyczaj z moimi urlopami bywa, rozwiązywałem historyczną zagadkę. Tajemnica skarbu z ratusza, nad którą głowiłem się w Ławie, wymagała aktywności nie tylko od moich szarych komórek, ale także od mięśni. Zdołałem się z nią uporać w kilka dni i popłynąłem w rejs po Jezioraku.

Niestety, w okolicach Siemian rozszalała się burza, która zmusiła mnie do spędzenia całej doby w przybrzeżnych trzcinach. Sprawilo to, że wracałem do domu w niedzielę, a nie jak zaplanowałem, w sobotę i nie miałem nawet jednego dnia, żeby odetchnąć przed powrotem do ministerialnej roboty.

Całodzienna jazda sprawiła, że ledwie przestąpiłem próg kawalerki, poczułem obezwładniające zmęczenie. Zamknąłem drzwi. Ostatkiem sił zrzuciłem z ramion plecak, zzułem buty i rozebrawszy się do bielizny padłem jak kłoda na łóżko.

Długo nie pospałem.

Obudziły mnie głucho uderzenia dobiegające z mieszkania nade mną.

Odetchnąłem ciężko i otworzyłem oczy. Przez okno sączył się granatowy letni mrok, rozcieńczony księżycowym światłem. Szparami między oknem i framugą wdzierały się okrzyki młodzieży korzystającej z długiego, wakacyjnego wieczora i siedzącej do późna na ławkach otaczających plac zabaw na dnie podwórka otoczonego wieżowcami.

Na górze ciągle słychać było głucho uderzenia. Brzmiało to jak rytm wybijany na zepsutej centralce od perkusji.

Podniosłem rękę i spojrzałem na zegarek. Fosforyzujące wskazówki uświadomiły mi, że spałem tylko godzinę. Dochodziła dwudziesta trzecia.

— Od godziny jest cisza nocna — warknąłem pod nosem i odrzuciłem kołdrę.

Nie jestem formalistą i zazwyczaj przymykam oko na łamanie regulaminów i zarządzeń, bo wychodzę z założenia, że życie przypomina górską rzekę po roztopach, której żadne ludzkie działanie nie jest w stanie powstrzymać, ale tym razem nie miałem zamiaru pozostać obojętnym. Wciągnąłem spodnie, założyłem japonki i wyszedłem na korytarz. Zapaliłem światło i w tym momencie hałas ucichł.

Odczekałem chwilę. Światło na korytarzu zgasło. Już miałem wrócić do kawalerki, kiedy z góry znów rozległ się rytmiczny łomot.

Zapaliłem światło na korytarzu, wspiąłem się po schodach na wyższe piętro i przystanąłem przed drzwiami, zza których dobiegał hałas. Były po tej samej stronie co moje.

Przyduśliłem dzwonek. Odezwał się świergot udawanych przez elektroniczną maszynkę ptaków. Nadstawiłem ucha, ale poza kolejnymi uderzeniami, nie usłyszałem niczego. Załomotałem do drzwi pięścią. Wiem, że to trochę niegrzeczne, ale byłem wtedy tak wściekły i zdesperowany, że nie potrafiłem wymyślić lepszego sposobu, by przebić się przez hałas dochodzący z mieszkania. Podziałało. Rytmiczne uderzenia ucichły.

Zamiast nich za drzwiami rozległo się szuranie i po chwili w szparze między drzwiami a framugą szeroką na tyle, na ile pozwalał łańcuch, ukazała się zmęczona twarz pani Ireny, sympatycznej gospodyni domowej w wieku lat mniej więcej pięćdziesięciu, która często doradzała mi w sklepie mięsnym na bazarku, które kawałki schabu kupić na kotlety.

— Dobry wieczór, pani Irenko! — przywitałem się, usiłując zamaskować zdziwienie uśmiechem. — Co za spotkanie! Nie wiedziałem, że mieszka pani nade mną.

— Zawsze powtarzam, że nie powinno się budować takich wielkich domów — stwierdziła filozoficznie sąsiadka. — W mojej dawnej kamienicy na Mokotowie, z której wyrzucił nas rzekomo prawowity właściciel, były tylko cztery piętra i wszyscy się znali. Po co pan przyszedł? — spytała rezolutnie, przerywając rozważania.

— Właściwie to przyszedłem zapytać, czy nie miałaby pani pożyczyć szklanki cukru? — rzekłem obłudnie. Nie chciałem wejść w konflikt z panią Ireną. Kotlety z mięsa, które mi wskazała, zawsze były pyszne.

— Pan zaczeka — rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie i, obróciwszy się na pięcie, zniknęła w ciemnym korytarzu. Wróciła po dwóch minutach. W rękę trzymała szklankę wypełnioną w trzech czwartych. Uśmiechała się przebiegle.

— I dlaczego nie wyłożysz pan kawy na ławę? — zapytała. — Dopiero teraz spojrzałam na zegarek. Pewnie za bardzo hałasuję?

Przestąpiłem z nogi na nogę i wydukałem:

— Przed godziną wróciłem z długiej podróży, a jutro muszę iść do pracy...

— Trzeba było tak od razu — oświadczyła pani Irenka. — Ja wszystko rozumiem. Tłukłam się tak z ciastem na pierogi. Jutro przyjeżdża syn z narzeczoną i chcę ich ugościć. Pół dnia latałam po sklepach, a tyle mam jeszcze do zrobienia, że nie wiem, w co ręce włożyć.

— Nie chciałbym... — rzekłem przeproszającym tonem.

— Niech się pan nie tłumaczy — pani Irena powstrzymała mnie gestem. — Ma pan prawo do odpoczynku. A co do ciasta, to jest już prawie gotowe. Uderzę jeszcze dwa razy i koniec. Zanim dojdiesz pan do domu, będzie cicho jak makiem zasiał.

— W takim razie dłużej nie będę przeszkadzał. Dobranoc — rzekłem i zrobiłem krok do tyłu.

— Dobranoc! — odparła bez urazy pani Irena i zniknęła za drzwiami.

Naciskałem już klamkę, żeby wejść do swojej kawalerki, kiedy drzwi na wyższym piętrze otwarto gwałtownie.

— Cukru pan zapomniał — usłyszałem dobiegający z góry głos pani Ireny.

— Nie szkodzi — odparłem najgrzeczniej jak umiałem, podnosząc głowę do góry. — I tak już dzisiaj nie będę pił herbaty.

— Niech pan jutro wpadnie na pierogi! — rzuciła jeszcze sąsiadka, zanim zniknąłem za drzwiami.

Chwilę później przyłożyłem głowę do poduszki. Kilka sekund nasłuchiwałem w napiętym oczekiwaniu, ale pani Irenka zakończyła ugniatanie ciasta i musiała przejść do wałkowania.

Drugą pobudkę zgotował mi sąsiad z dołu. Zażywny profesor fizyki o ponurej twarzy i krótkich siwych włosach ściętych na jeża naciskał dzwonek przez trzy minuty, strasząc mnie i wrywając ze snu skuteczniej niż zdołałaby tego dokonać przelatująca nad dachem mego mrówkowca eskadra myśliwców F-16.

— Obudziłem pana? — zapytał z faryzeuszowskim, przymilnym uśmieszkiem, jakby nie to właśnie było jego celem.

— Nie szkodzi — odparłem, patrząc na niego przez mgłę i czując, że w gardle zamiast języka mam kawał papieru ściernego. Przetarłem oczy i zapytałem: — Co pana sprowadza, profesorze?

— Przyszedłem zapytać, czy u pana też nie działa Internet — rzekł poważnym tonem.

Z dobrego serca pomogłem profesorowi dwa czy trzy razy rozwiązać jakiś problem z dostępem do sieci i od tego czasu naukowiec starej daty, który znał się co prawda na zimnej fuzji i kwarkach, ale miał słabe pojęcie o arkanach nowoczesnej informatyki, traktował mnie jak całodobową pomoc techniczną. Podejrzewam, że z łatwością nauczyłby się konfigurowania sieci i testowania łącz, ale wołał przyjść do mnie. Tak było wygodniej.

— Nie wiem — odrzekłem zgodnie z prawdą. — Nie sprawdzałem. Niedawno wróciłem z podróży, jutro muszę wstać rano i nie bardzo mnie to interesuje...

— A mógłby pan sprawdzić? — zapytał profesor, udając że nie zrozumiał delikatnej aluzji zawartej w moich słowach. — Jeśli to oczywiście nie problem.

— Czy to naprawdę konieczne, panie profesorze? — postanowiłem zagrać w otwarte karty; zaraz też dodałem bezczelnie: — Nie tylko ja mam Internet w naszej bramie... Na przykład Malinowscy...

— Pan żartuje? — zachnął się fizyk. — Ten ich pies ugryzł mnie już trzy razy, poza tym... — profesor ściszył głos prawie do szeptu — i tylko między nami: ich synalek to kawał chama i gbura. Kiedyś, jak pana nie było i poszedłem do niego po radę, patrzył na mnie z takim uśmieszkiem, jakbym nie skończył nawet podstawówki. Nie pozwolę się poniżyć — oświadczył trochę głośniejszym, zaciskając wojowniczo pięść. — Poza tym, pan zna się na Internecie lepiej od niego — spróbował mnie podbechtać.

Westchnąłem ciężko i otworzyłem szerzej drzwi. Profesor skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

— Niech pan nie myśli, że niepokoję pana z błahego powodu — tłumaczył się profesor, gdy włączałem laptopa. — Jestem dzisiaj umówiony z kolegą w Stanach Zjednoczonych na wideokonferencję. Mamy omówić pewną niezwykle ważną i obiecującą teorię, której jestem współautorem. Niby można by sprawę załatwić jutro, ale sam pan wie, jak to jest czekać na coś, na czym bardzo nam zależy. Poza tym — uśmiechnął się tajemniczo — jest to teoria, która może zmienić nasze spojrzenie na świat...

— Obawiam się, że do przelomu nie dojdzie dzisiejszego wieczora — odparłem, ziewając. — U mnie też Internetu nie ma, więc pewnie znów się zepsuł odbiornik radiowy na dachu.

— No, trudno — westchnął sąsiad i, klepnąwszy otwartymi rękami w uda, wstał energicznie. — Jeszcze raz przepraszam za najście.

Zbyt zmęczony, by narzekać, odprowadziłem profesora do drzwi.

— Ale gdyby przypadkiem... — rzekł naukowiec, stojąc już jedną nogą na korytarzu i patrząc na mnie uważnie.

— Natychmiast pana profesora zawiadomię — zapewniłem solennie, wchodząc mu w słowo i prawie zatrzasnąłem drzwi przed jego nosem.

Odprawivszy naukowca, poszedłem do kuchni. W lodówce, opróżnionej przed wyjazdem, została tylko butelka wody mineralnej, której zawartość, schłodzona idealnie przez tydzień, ukoła suchość w gardle.

Wskoczyłem do łóżka. Jeszcze przez chwilę nadstawiałem uszu niczym zajęc na zagonie, ale pani Irenka nie ciskała już ciastem w stolnicę, młodzież przesiadująca na podwórkowych ławkach rozeszła się do domów, a profesor zaszył się w swoim mieszkaniu. Zapanowała cisza. Uspokoilem się, rozdrażnienie ustąpiło zmęczeniu, a ja pomału zacząłem osuwać się w sen, kiedy po raz kolejny przekonałem się, że złośliwe i uciążliwe potrafią być nie tylko żywe istoty.

Mówiąc szczerze, sam sobie byłem winien. Wracając z kuchni, nie zamknąłem drzwi ani do pokoju, ani do kuchni. Z tego powodu szum lodówki, który normalnie nie przedostawał się przez dwie warstwy płyty pilśniowej, zahuczał z głębi mieszkania dokładnie w tym samym momencie, gdy przed moimi oczami pojawiły się pierwsze marzenia sennie.

Drżący warkot wyrwał mnie brutalnie ze snu. Klnąc pod nosem popędziłem na boso do kuchni i wiedząc, że w środku niczego, poza wodą nie ma, wyszarpnąłem z gniazdka wtyczkę piekielnej maszyny.

W ciszy, która zapadła usłyszałem swój głośny oddech. Sapałem, jakbym w szybkim tempie pokonał co najmniej pół kilometra, a nie dziesięć metrów dzielących pokój od kuchni.

Powlokłem się do łóżka i nieświadomy, że puściłem w ruch bezwzględną maszynę ślepej zemsty, zamknąłem oczy.

Ale sen nie przychodził. Tak to już ze mną jest, że jeśli zasnę od razu, nie można mnie dobudzić, ale biada, jeśli ktoś wyrwie mnie ze snu więcej niż raz. Wtedy czekanie na sen zaczyna przypominać wyglądanie Godota.

Najpierw, przez godzinę czy dwie, obracam się w łóżku niczym wrzeciono, zbyt zmęczony, żeby zapalić lampkę i coś poczytać, rozdrażniony świadomością że chociaż sen jest, zdawałoby się, na wyciągnięcie ręki, nie ma szans, by szybko się zjawił.

Potem, kiedy pościel jest mokra od potu i tak skołtuniona, że przypomina bieliznę świeżo wyżętą przez praczkę, ogarnia mnie bezruch i wpatruję się w ledwie widoczny sufit, aż poczuję głód. Wtedy idę do kuchni, zjadam kanapkę albo jogurt i wracam do łóżka. Jeśli mam szczęście, wkrótce zasypiam.

Ale tej nocy szczęścia nie miałem.

Żołądek skurczył się, dając sygnał do nocnej przekąski. Posłusznie wstałem z łóżka, w ciemności przemierzyłem kilka metrów dzielących łóżko od lodówki i już miałem otworzyć jej drzwi, kiedy poczułem na bosej stopie nieprzyjemny chłód i wilgoć. Prawie już obudzony cofnąłem się kilka kroków, włączyłem światło i zakląłem cicho.

Wykładzina z gumoleum, którą przed laty wyłożono podłogę mojej kuchni, była w połowie zalana wodą. Działając pod wpływem złości, rozespany, zdeterminowany, by jak najszybciej wrócić do ciepłego łóżka, nie przewidziałem skutków odłączenia chłodziarki od prądu. Prawa fizyki są jednak nieubłagane i tak jak nieznamość prawa, niebranie ich pod uwagę może się skończyć fatalnie. Cały lód, zgromadzony w zamrażalniku przez dwa miesiące, które upłynęły od ostatniego mycia lodówki, nie podtrzymywany w minusowej temperaturze przez freon, spłynął wodą i zamienił podłogę mojej kuchni w basen.

Klnąc jeszcze bardziej pod nosem poszedłem do łazienki, wziąłem stamtąd mopa i dwie szmaty, za pomocą których przez następne pół godziny usuwałem skutki własnej głupoty.

Kiedy wreszcie uporałem się z niewdzięcznym zadaniem i skrajnie wykończony wszedłem do swojego pokoju, niebo za oknem było granatowe.

Padłem na łóżko jak kłoda i niemal natychmiast zasnąłem.

Rano czekała mnie w pracy niemiła niespodzianka. Ledwie zjawiłem się dyżurce po klucze, pani Teresa powiedziała, że zanim pójde do siebie, mam się natychmiast stawić u ministra.

— Mamy problem, panie Pawle — oświadczył mój zwierzchnik. — Niech pan siada — wskazał ręką na krzesło przed biurkiem, a kiedy zająłem miejsce, westchnął ciężko i rzekł:

— Pański bezpośredni przełożony zasłabł wczoraj w pracy.

Uniosłem się gwałtownie na krześle, ale minister wykonał uspokajający gest.

— Wszystko z nim dobrze — dodał. — Ale wczoraj bardzo się martwiliśmy. Znalazła go pani sprzątająca już po godzinach pracy i natychmiast wezwała karetkę. Lekarz zaordynował wypoczynek i jakieś wzmacniające lekarstwa.

— Wiedzą, co mu się stało?

— Prawdopodobnie się przepracował — minister znów westchnął.

— W którym szpitalu leży? — zapytałem, czując, że krzesło robi się coraz bardziej niewygodne.

— I tak by pana nie wpuścili — machnął ręką minister. — Rozmawiałem wczoraj z lekarzem. Powiedział, że chory potrzebuje spokoju i chce go wysłać do sanatorium. Najlepiej na rok.

— Na rok? — jęknąłem cicho.

— Niestety... — minister zrobił zawiedzioną minę. — Bardzo mi to nie na rękę, ale oczywiście się zgodziłem. Potrzebuję więc kogoś, kto pokierowałby departamentem. Powiem wprost: jest pan jedynym i najlepszym kandydatem. Zgodzi się pan?

— Ale tylko pod warunkiem, że będę działał jako „pełniący obowiązki”.

— A więc ustalone — ucieszył się minister. — Po południu podpisze pan dokumenty. A teraz ostatnia sprawa. Pański szef zostawił dla pana list — przesunął w moją stronę zapieczętowaną kopertę bez adresu. Wziąłem ją wstałem i ruszyłem do drzwi, sięgając jednocześnie do kieszeni po telefon. Już miałem wyjść, kiedy zatrzymało mnie ciche kasłanie ministra.

— Nie ma sensu próbować do niego dzwonić — rzekł. — Lekarz zabrał mu komórkę.

List od szefa był krótki. W kilku słowach skreślonymi chwiejnym charakterem pisma człowieka fizycznie wyczerpanego, przeproszał (!) za swoją niedyspozycję i prosił o udzielenie pomocy swojej znajomej z Konstancina, która miała problem z jakimś zabytkowym budynkiem. Wszystko to brzmiało bardzo mgliście. Najbardziej konkretną informacją była data, miejsce i czas spotkania — miało się ono odbyć za dwie godziny w ministerstwie i dlatego szef, który nie zdołał go odwołać, prosił mnie o zastępstwo.

Nie pomogły nawet trzy kawy, przyrządzone z ćwierci słoiczka neski. Byłem tak śpiący i zdesperowany, że przez kilka minut całkiem poważnie rozważałem dosłowne zastosowanie rady zawartej w powiedzeniu o „oczach na zapalkach”, ale z rozterki wybawiło mnie śmiałe pukanie do drzwi.

— Proszę! — powiedziałem, wstając zza biurka.

Drzwi się uchyliły i do mojego gabinetu wkroczyła energiczna staruszka o minie pokerzysty. Elegancka spódnica z czarnego, matowego materiału, garsonka, kapelusz, spod którego wystawały włosy zaczesane na bok, czarne rajstopy i lakierki na niskim obcasie, a wszystko to najlepszego

gatunku, sprawiały, że na myśl przychodziły arystokratki, dożywające końca swych długich dni w pensjonatach na południu Europy. Siedzące na lśniących białych tarasach pod ocieniającą stół markizą popijające espresso z małych filiżanek i palące długie cienkie papierosy umieszczone w ustnikach z hebanu, wpatrujące się przez cały dzień w szmaragdowe morze.

Starsza pani znalazła się przy moim biurku tak szybko, że nie zdążyłem go nawet okrążyć, żeby się z nią przywitać. Mądre, błyszczące oczy otaksowały mnie uważnie. Pojawiła się w nich delikatna dezaprobata, chociaż usta ułożyły się do salonowego uśmiechu, odsłaniając zęby, świadczące o kunszcie dentysty, do którego uczęszczała ich właścicielka.

W moją stronę wystrzeliła dłoń w rękawiczce z drobniutkiej koronki. Gdy pochyliłem się nad garbkiem pachnącym pudrem i dobrymi perfumami, nastąpiła prezentacja:

— Barbara z Ryksów Zakrzewska — rzekła nieco ochryplym altem.

Przedstawiłem się i opowiedziałem krótko o kłopotach mego zwierzchnika. Zapewniłem też, że postaram się jej jak najlepiej pomóc.

— To bardzo przykre, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przynajmniej mam wreszcie okazję pana poznać. Szef bardzo zachwalał pańskie zdolności. Bardzo przepraszam za niedyskrecję — rzekła po chwili tonem właścicielki pensji, która złapała dwie panny z dobrego domu, popalające na strychu jednego papierosa na spółkę. Jej nozdrza zadrżały delikatnie, jakby sprawdzała, czy w powietrzu nie unosi się woń alkoholu — ale zdaje się, że jest pan niedysponowany...

Żeby ratować reputację, opowiedziałem jej o moich nocnych perypetiach. Słuchała uważnie i chyba mi uwierzyła.

— Ludzie w dzisiejszych czasach są tacy niewychowani — rzekła ze zrozumieniem. — I zupełnie nie znają umiaru... Rozumiem pana w pełni. Kiedyś, gdy jeszcze nie trzeba było mieszkać — chwilę szukała odpowiedniego słowa — w takich warunkach, było zupełnie inaczej. Na przykład w dzieciństwie... — zaczęła, ale zorientowawszy się, że rozpoczyna piętrową dygresję, przerwała i rzekła: — No, ale nie czas użalać się nad sobą młody człowieku, nie po to przyszedłem — uśmiechnęła się szeroko, ukazując równe rzędy lśniących białych zębów. — Zanim jednak zaczniemy, mam do pana pytanie.

Zrobiłem nieokreślony gest ręką i uśmiechnąłem się zachęcająco.

— Czy mogłabym zapalić? — westchnęła staruszka. — Lepiej mi się myśli po nikotynie, a chcę wyłożyć panu wszystko jak najjaśniej.

„Na korytarzu są czujniki dymu, ale gdyby u mnie otworzyć...” — przeszło mi przez myśl; spojrzałem nawet odruchowo za siebie, na spore okno, teraz zamknięte, zajmujące niemal całą ścianę mego mikroskopijnego gabinetu na końcu korytarza. Nie uszło to uwagi pani Zakrzewskiej.

— Niech się pan się nie krępuje i otworzy okno — powiedziała, uśmiechając się ze zrozumieniem.

— Zaraz znajdę jakąś popielniczkę — zapewniłem ją.

Nie wiem dlaczego, ale wymawiając te słowa, a potem przemierzając niewielki dystans między oknem i biurową szafką ze spółdzielni „Ład”, która stała w ministerstwie od lat pięćdziesiątych, czułem się jak sztubak. Musiała to sprawić pewność siebie i niewymuszona elegancja pani Zakrzewskiej.

Na dnie szafki leżała bakelitowa popielniczka używana przez dawnego dyrektora departamentu w czasie narad, odbywanych przed każdą nową misją. Od kiedy dyrektor ów przeszedł na emeryturę, ładny drobiazg wylądował na dnie szafki. Zdarzało mi się go wyciągać w takich sytuacjach jak dzisiaj, kiedy, mimo panującego w całym budynku ministerstwa zakazu

palenia, nie sposób było odmówić gościowi „dymka”.

Pani Zakrzewska podziękowała mi skinieniem głowy i sięgnęła do nieco podniszczonej skórzanej torebki po paczkę cienkich papierosów. Wyjęła z niej jednego, przypaliła i zaciągnęła się z widoczną przyjemnością. Przez chwilę paliła w milczeniu, dwukrotnie strącając popiół do popielniczki.

— Czy jest pan wprowadzony w sprawę?

— Wróciłem wczoraj z ławy i nie miałem na to czasu...

— Proszę się nie tłumaczyć — machnęła ręką rozganiając dym. — To pan robi przysługę mnie. Nie odwrotnie. Chodzi o „Annę”...

Nie od razu skojarzyłem, o czym mówi pani Zakrzewska, dlatego odezwałem się głupio:

— Nie wiedziałem, że pani kłopot dotyczy osoby. Szef mówił coś o budynku...

— Bo też o budynek chodzi — uśmiechnęła się wyrozumiale i wytłumaczyła jak dziecku: — „Anna” to willa, w której mieszkam.

Mój umysł, przypominający tego ranka zatarty silnik, wreszcie zaskoczył.

— Willa „Anna” w Konstancinie! — wykrzyknąłem i zaraz dodałem bardziej rzeczowym tonem: — Rzadki w okolicach Warszawy okaz secesji...

— Szef nie kłamał — oceniła pani Zakrzewska. — Zna się pan na swojej robocie.

— Czy „Annie” coś zagraża? — zapytałem z troską.

— Racjonalnych powodów, żeby tak sądzić raczej nie ma, wręcz przeciwnie ostatnio odnieśliśmy nawet pewien sukces — stwierdziła niepewnie pani Zakrzewska i zawiesiła na moment głos. — Chodzi bardziej o kilka dziwnych incydentów. Nie chciałbym, żeby pan pomyślał, że jestem niespełna rozumu — uśmiechnęła się, w taki sposób, jakby chciała mnie przekonać, że sama nie do końca poważnie traktuje swoje słowa — ale moja kobieca intuicja...

Sławna kobieca intuicja! Wiele lat pracy detektywa-amatora w ministerstwie nauczyło mnie, że nie wolno jej lekceważyć. Spojrzałem więc poważnie na starszą panią i rzekłem:

— Proszę mówić.

To ją ośmieliło.

— Żeby pan wszystko dobrze zrozumiał, muszę cofnąć się w czasie o kilka miesięcy. To właśnie wtedy pojawiły się pierwsze pogłoski o sprzedaży „Anny”.

— Pamiętam — rzekłem. — Zdaje się, że przeciw sprzedaży zaprotestowało jakieś towarzystwo. Podniosły się głosy, że tak jak w przypadku kilkunastu innych zabytków w mieście, nowy właściciel kupi stuletni budynek z tradycjami tylko po to, by pod byle pretekstem lub nawet bez pretekstu, zabytek zburzyć, a na jego miejsce wybudować nowoczesny apartamentowiec albo willę.

— Dokładnie rzecz biorąc protestowało Towarzystwo Miłośników Konstancina, którego mam zaszczyt być członkiem — w głosie pani Zakrzewskiej pojawiła się niemal niewyczuwalna nuta pretensji, że nie zapamiętałem nazwy. Uznałem, że trochę przesadza, ale zamiast to skomentować, zmieniłem temat:

— Media też się włączyły w obronę „Anny”.

— Ale najważniejszy był pomysł wojewódzkiej konserwatorce zabytków, która zaproponowała, żeby willę sprzedać, ale w umowie zawrzeć klauzulę zobowiązującą nowego właściciela do wyremontowania „Anny” w ciągu roku, z zastrzeżeniem, że jeśli tego nie dokona, umowę można rozwiązać. Wie pan, co było dalej?

Zrobiłem gest, który miał oznaczać, że niestety nie, ale okropnie mi z tego powodu przykro.

— Rozpisano przetarg. Wśród warunków znalazł się i ten o remoncie willi w ciągu roku.

Niech pan zgadnie, ilu chętnych się znalazło.

— Żaden — odparłem gorzko.

— Żaden — potwierdziła pani Zakrzewska. — Ale wbrew pozorom była to dla naszego Towarzystwa dobra wiadomość. Wie pan jak to jest: lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Tym bardziej jeśli gołąb może łatwo się zmienić w żurawia nad nowym apartamentowcem.

— Kiedy minął termin składania ofert w przetargu?

— Tydzień temu. I właśnie od tego czasu moja intuicja nie daje mi spokoju.

— Wspomniała pani o dziwnych — sekundę szukałem w pamięci słowa, którego użyła pani Zakrzewska — incydentach.

— Były dwa. Najpierw, nazajutrz po nieudanym przetargu, zjawiała się na ulicy obok „Anny” limuzyna o czarnych szybach. To było o piątej rano. Wstaję o tej porze, bo moja suczka, Perełka, jest już bardzo stara i zrywa mnie z łóżka skoro świt. Wysłałem z nią na spacer. Limuzyna podjechała, kiedy byliśmy w głębi podwórka, za krzakiem starego głogu i nie było nas widać z ulicy. Wóz zatrzymał się przy krawężniku na minutę. Kierowca nie zgasił silnika, nikt nie wysiadł z samochodu. Potem Perełka szczeknęła głośno kilka razy i wybiegła z krzaków. Pojazd odjechał natychmiast. Jakby kierowca przestraszył się, że ktoś go może zobaczyć. Bardzo mnie to przeraziło.

— Może kierowcy limuzyny spodobała się „Anna” i po prostu chciał na nią przez chwilę popatrzeć?

— Próbowałam się przekonywać w ten sam sposób, ale nic to nie dało. Nie wiem, kto przyjechał tą limuzyną i w jakim celu zatrzymywał się przed „Anną”, ale jestem przekonana, że nie miał dobrych zamiarów.

— Zapisała pani numer wozu?

— Nie zdążyłam.

— A drugi incydent?

— To było trzy dni temu, w nocy. Mam płytki i czujny sen. Potrafi mnie obudzić mocniejsze uderzenie wiatru w szyby. Tym razem jednak ze snu wyrwały mnie jakieś dziwne skrzypienia i trzaski. Było ciemno. Zegarek, stojący na nocnej szafce, wskazywał drugą w nocy. O szyby rozbijały się wielkie krople deszczu. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Perełka buszuje po domu we śnie, co się jej czasem zdarza, ale potem spojrzałam na jej kojec. Spała spokojnie jak dziecko. Nie należę do osób strachliwych, ale niemal natychmiast zaschło mi w gardle i poczułam, jak na kark występują mi zimne krople. Mimo strachu, wstałam, zarzuciłam na ramiona sweterek, złapałam w rękę stary pogrzebacz i poszłam na bosą w głąb domu. Moja sypialnia znajduje się blisko głównych drzwi, a dziwne odgłosy dochodziły z drewnianej werandy, znajdującej się po drugiej stronie mieszkania. Stapałam najciszej jak się dało, wsłuchując się w coraz wyraźniejsze odgłosy. Kiedy doszłam do salonu, moja obecność musiała zostać odkryta, bo odgłosy ustały.

Pani Zakrzewska przerwała na moment, jakby musiała nabrać sił przed kulminacyjnym momentem opowieści.

— Na palcach podeszłam do drzwi wiodących na werandę, otwartych, jak zawsze latem i wyjrzałam zza framugi. Na zewnątrz ktoś był. W przeszklonych drzwiach wiodących z werandy na podwórko zobaczyłam twarz, a raczej cień twarzy. Było ciemno, w dodatku intruz się zamaskował, chyba czarną damską pończochą. Widziałam jednak, że wpatruje się uważnie w głąb werandy. Zebrałam się w sobie i wyskoczyłam na werandę krzycząc i wymachując pogrzebaczem. Tego było już dla niego za dużo. Rzucił się do ucieczki przez trawnik z prawej strony domu. Jeszcze przez chwilę widziałam jego przygiętą do ziemi, ciemną sylwetkę i słyszałam kłaskające pod buciorami błoto. Wtedy też skończyła się moja odwaga. Stałam jak sparaliżowana, aż intruz nie zniknął.

Wtedy poszłam do salonu, wypiliśmy kieliszek jałowcówki dla uspokojenia nerwów i, kiedy ręce przestały mi drżeć, zadzwoniłam na policję. Przyjechali po półgodzinie, wysłuchali mnie i zbadali miejsce przestępstwa.

— Co stwierdzili? — zapytałam, czując że opanowuje mnie coraz większe zainteresowanie.

— To było włamanie. Zdaniem policjantów zamek nosił ślady użycia wytrycha. Wiem, że tak było, ale trudno mi w to uwierzyć.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Bo nie mam w domu nic szczególnie wartościowego, podobnie zresztą jak inni sąsiedzi. To znaczy mamy telewizory, jakiś sprzęt elektroniczny, pamiątki rodzinne, ale w porównaniu do innych mieszkańców Konstancina...

— Co ma pani na myśli?

— Nasze miasteczko zawsze było modne i stawiali tu sobie domy bogacze z Warszawy. Przykładem „Anna”, którą w 1905 roku wybudował Albert Klimpel, znany stołeczny adwokat. Teraz też wyrastają jak grzyby po deszczu nowobogackie wille i jeśli bym była włamywaczem, to próbowałabym dostać się raczej do nich, nie do „Anny”, która czasy świetności ma już dawno za sobą.

— Ale włamywacz nie był zjawą — zauważyłem.

— Nie i to mnie właśnie najbardziej niepokoi. Dzieje się coś dziwnego i mam niejasne wrażenie, że ma to związek z naszym domem. I że na włamaniu się nie skończy.

— No, dobrze — westchnąłem. — Czego pani ode mnie oczekuje?

— Gdyby zechciał pan zamieszkać w naszym domu, powiedzmy przez miesiąc — rzekła z zaangażowaniem starszuszka — i przyjrzeć się wszystkiemu swoim detektywistycznym okiem. Słyszałem, że jest pan wyjątkowo spostrzegawczy i inteligentny...

„Bierze mnie na komplementy” — pomyślałem z przekąsem, ale w głębi duszy pochlebstwo mile mnie polectało.

— Musiałbym to zrobić incognito — myślałem na głos. — I najlepiej, gdyby nikt nie wiedział, że się znamy. Nie możemy wykluczyć, że z tymi tajemniczymi wydarzeniami ma coś wspólnego któryś z mieszkańców domu.

— Z tym nie będzie problemu — pani Zakrzewska, zrozumiała, że skłaniam się do jej pomysłu, rozpromieniła się. — Akurat niedawno zwolniło się jedno mieszkanie na pierwszym piętrze. Rodzina z trójką dzieci wyprowadziła się do własnego M3 w bloku. Pański szef już wszystko załatwił w urzędzie. Może się pan wprowadzić choćby zaraz. W mieszkaniu zostało nawet trochę starych mebli po dawnych właścicielach.

Jeśli mój szef uznał prośbę pani Zakrzewskiej za sensowną i podjął już nawet kroki, by ją zrealizować, nie wypadało się dłużej sprzeciwiać. Tym bardziej, że historia zaczęła mnie wciągać.

— Ma pani komórkę?

— Oczywiście.

— Wymieńmy się zatem numerami. Zadzwonię do pani, jak tylko się wprowadzę i rozejrzę. Umówimy się w kawiarni i opowie mi pani o mieszkańcach „Anny”. Proszę mnie też informować, gdyby działo się coś podejrzanego.

ROZDZIAŁ DRUGI

ILE PUDEŁ POTRZEBA DO PRZEPROWADZKI? • TRAGARZ • NIEWDZIĘCZNOŚĆ PROFESORA • CHWILA PRZED STARTEM • O WEHIKULE SŁÓW KILKA • PROFESOR CZMYCHA • „KUPIĘ CI KWIATY” • KAMUFLAŻ • MIASTO-OGRÓD I JEGO SŁAWNI MIESZKAŃCY • RUINA • RZADKI OKAZ SECESJI • „A” I „K” • TWARZ NA SZYBIE • KOMITET POWITALNY

Wszystko musiało wyglądać wiarygodnie, dlatego też w drodze z pracy do domu wstąpiłem do dużego sklepu spożywczego i zabrałem z niego dziesięć dużych kartonowych pudeł.

Z trudem wtaszczyłem je do windy i już miałem nacisnąć przycisk, kiedy w wąskiej szybie windy dostrzegłem pędzącą w moją stronę po schodach panią Irenkę. Otworzyłem drzwi windy i uprzejmie zaprosiłem ją do środka.

— Dziękuję, panie Pawle — wydyszała i rzuciła okiem na stojące pod ścianą pudła. — Wyprowadza się pan? — szybko dodała dwa do dwóch. — Chyba nie przez moje wczorajsze hałasy.

— Nie wyprowadzam się — zapewniłem ją naciskając jednocześnie guzik z dziewiątką. — Muszę po prostu na miesiąc wyjechać i zabrać ze sobą trochę rzeczy.

— To dobrze — odetchnęła. — Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby to było przeze mnie.

Winda się zatrzymała i żegnany życzeniami „bezpiecznej, spokojnej i miłej” podróży wysiadłem z windy. Po chwili usłyszałem windę zatrzymującą się na wyższym piętrze, kroki pani Irenki, a potem jej głos:

— Niech pan jeszcze do mnie wpadnie przed wyjazdem, to dam panu świetne jabłka na drogę.

— Dziękuję, ale nie wiem, czy się wyrobię. Mam sporo pakowania — odkrzyknąłem i zniknąłem w mojej kawalerce.

Ostatnie zdanie nie było tylko wymówką mającą pozwolić na uniknięcie przesadnej serdeczności i hojności mojej sąsiadki. Naprawdę miałem zamiar wypełnić wszystkie dziesięć pudeł rzeczami. Musiałem to zrobić, jeśli mieszkańcy „Anny” mieli uwierzyć, że przeprowadzam się do willi naprawdę.

— Ciekawe, skąd wezmę tyle gratów? — mruknąłem pod nosem, patrząc na mój skromnie umeblowany pokój.

Trzy godziny później stało się dla mnie jasne, że nawet gdybym przywłókł ze sobą z supermarketu trzy razy więcej pudeł i tak by mi ich zabrakło. W przedpokoju bowiem stało już siedem pełnych kartonów, a mój pokój wyglądał niemal tak samo, jak po powrocie. Niemal, bo na regałach z książkami widać było kilka „dziur” po zapakowanych już tomach, zniknęła też nocna lampka, kilkanaście drobiazgów z półek, a w otwartej szafie prawie nie było ubrań.

Trzy ostatnie kartony postanowiłem przeznaczyć na garnki, inne kuchenne przybory i rzeczy z łazienki.

Oprócz pudeł wzięłem ze sobą rozkładaną suszarkę i telewizor. Pakując ten ostatni w styropian i do pudełka dziękowałem Bogu, że zmieniłem kilka lat temu ciężkie pudło z klasycznym kineskopem na cieką plazmę.

Około godziny dwudziestej drugiej wyszedłem na korytarz z pierwszym kartonem. Niedbałym ruchem nacisnąłem guzik wzywający windę i pochyliłem się nad postawionym na ziemi pudłem, bo zauważyłem, że jedno z kartonowych skrzydełek wysunęło się spod drugiego. Potem

wstałem i oparty o ścianę czekałem na windę.

Ale winda nie przyjechała. Dopiero teraz uważnie przyjrzałem się przyciskowi. Gdyby winda zmierzała w kierunku mojego piętra, wewnątrz przycisku paliłaby się czerwona dioda. Tak jednak nie było. Kilka razy nerwowo wdusiłem guzik, ale nie dało to żadnego efektu.

— Musiała się popsuć akurat w takim momencie — warknąłem pod nosem i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie przełożyć znoszenia pakunków na następny dzień.

„Nie marudź, tylko bierz się do roboty, Pawle” — napomniałem się w myślach. „Masz jutro sporo do załatwienia. Poza tym dobrze by było, żebyś zjawił się w »Annie« jak najwcześniej.”

Podniosłem ciężkie pudło wypełnione książkami, zniosłem je na sam dół, wrzuciłem do bagażnika i wróciłem spokojnie na górę.

Zadyszki dostałem po zniesieniu piątego kartonu, a kiedy znosiłem przedostatnie, ręce miałem tak zmęczone, jakbym przez kilka godzin kopał rowy kilofem. Koszulka przemokła zupełnie. Czulem długi pas wilgoci wzdłuż kręgosłupa, a na klatce piersiowej rozlewała się ciemna plama wielkości dużego talerza.

„Jeszcze jedno i fajrant” — pomyślałem, patrząc niechętnym wzrokiem na karton, z którego wystawały rączki od chochelki, drewnianej łyżki i mieszadeł do sałatek. „Dobrze, że poprzedni lokatorzy zostawili w swoim mieszkaniu meble”

Wypełniające pudło garnki i sztucce zazgrzytały metalicznie, gdy podniosłem karton i rozpocząłem drogę w dół schodów.

Nieopatrznie oddałem się marzeniom na temat tego, jak za chwilę będę wylegiwał się w wygodnym łóżku i piętro niżej źle postawiłem stopę — zamiast na pierwszym schodku licząc od podestu, wylądowała na trzecim. Straciłem równowagę i poleciałem w dół.

Żeby się ratować, wypuściłem z rąk pudło wypełnione żelastwem, chwytając jednocześnie poręcz i zatrzymując się zaledwie metr od górnego podestu.

Karton poleciał dalej, wypluwając ze swego wnętrza metalowe przedmioty, które ze szczękiem, przypominającym ścierające się ze sobą zbroje, stoczyły się na półpiętro i zatrzymały dopiero na następnym podeście. Zdawało mi się, że rumor trwał bez końca, a każde nowe uderzenie któregoś z garnków o schody sprawiało, że mocniej łapałem się poręczy albo nagłym ruchem podnosiłem do góry ramiona, jednocześnie próbując wcisnąć głowę między barki.

Zapanowała cisza. Przez chwilę nic się nie działo i pomyślałem z naiwną nadzieją że może nikogo nie obudziłem. Szybko jednak wyprowadzono mnie z błędu.

Najpierw trzasnęły drzwi po mojej lewej stronie i wyłoniła się z nich głowa zasłonięta czarną czupryną nadającą jej wygląd neandertalczyka. Oczy, częściowo zasłonięte włosami, przypominały cienkie kreski, w kąciку widać było strużkę śliny.

— Ciszej na Boga! — huknęła głowa i zniknęła w mieszkaniu.

Potem trzasnęło kilkoro drzwi na niższych piętrach, ale nikt nie pofatygował się na górę. Może spowodowała to awaria windy, a może przekonanie, że skoro jest już cicho, nic się właściwie nie stało.

Najgorsze jednak miało dopiero nadejść.

Zadowolony, że udało mi się wykpić z tego tak łatwo, najciszej jak potrafiłem zszedłem na półpiętro, zbierając po drodze rozrzucone na całej długości schodów garnki i sztucce. Pakowałem właśnie do pudła ostatni garnek, kiedy poczułem na sobie czyjś wzrok.

Powoli podniosłem głowę i u szczytu schodów dostrzegłem profesora, który obudził mnie wczoraj wieczorem, żeby zapytać, czy także nie mam Internetu. Miał na sobie szlafrok i domowe kapcie. Mina na jego twarzy świadczyła, że ostatnim wysiłkiem woli hamuje się, żeby nie

wybuchnąć.

— Dobry wieczór, panie profesorze — rzekłem tonem pełnym skruchy. — Przepraszam, jeśli pana obudziłem...

— Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę — wycedził naukowiec przez zęby — że mam jutro rano bardzo ważny wykład i pójdę na niego niedysponowany tylko dlatego, że postanowił pan rozbijać się w nocy po korytarzu z jakimś żelastwem.

— Jeszcze raz przepraszam, ale to był wypadek. Zresztą zdąży się pan doskonale wyspać. Dopiero — zerknąłem na zegarek — za kwadrans północ.

W tym momencie na korytarzu zgasło światło.

Może dobrze się stało, bo sądząc z głosu profesora, który stał się jeszcze bardziej zjadliwy, wściekły, a zarazem cichszy, jego twarz musiała wyglądać przerażająco.

— Posłuchaj mnie, bezczelny łajdaku — syczał profesor. — Może takiej gadzinie i nierobowi jak ty wystarcza kilka godzin snu złapanych nad ranem, ale ludzie pracujący intelektem, muszą odpoczywać osiem bitych godzin, żeby być w formie.

W ciszy, jaka zapadła po jego słowach, usłyszałem szuranie kapci na schodach i mruknięcie:

— Czekał, czekał, zaraz ci pokażę...

Profesor nabrał widać chęci, żeby wygarbować mi skórę, a ponieważ bójka ze starszym i na pewno słabszym człowiekiem była ostatnią rzeczą jakiej teraz potrzebowałem, dałem drapaka w panujące wokół ciemności i przyciskając jedną ręką karton z żelastwem do ciała, a drugą wspierając się na poręczy, zbiegłem po schodach ile sił w nogach. Ścigały mnie okrzyki profesora:

— Ucieczka to jedyna rzecz, na jaką cię stać? Uciekaj, sobie, uciekaj. I tak jestem moralnym zwycięzcą!

Byłem już cztery piętra niżej, kiedy gdzieś powyżej otworzyły się kolejne drzwi.

— Czy mógłby się pan wreszcie zamknąć? — rozległ się na korytarzu kobiecy głos. — Dziecko mi pan obudził.

Profesor posłuchał i dalsza część mojej drogi w dół odbyła się w zupełnej ciemności i ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu przez ciche brzęknięcie dobiegające ze środka kartonu.

Tym razem spałem spokojnie. Spowodowały to w równym stopniu potężna dawka wysiłku fizycznego, jak i brak wiadomości z „Anny”.

Rano zamknąłem kawalerkę na cztery spusty i już wpół do ósmej załadowałem do wehikułu suszarkę do bielizny i telewizor. Usadowiwszy się za kierownicą ministerialnego pojazdu, odetchnąłem głęboko i lekko. Samopoczucie, jak na początku każdej przygody, miałem doskonałe.

Uwielbiam ten krótki moment pełnej oczekiwania ciszy tuż przed startem silnika wehikułu. Chwilę, gdy można jeszcze wybrać każdą z tysiąca ścieżek kuszących tysiącem możliwości i kiedy, w naiwności gotowego na przygody serca, ma się nadzieję, że będą one zarazem ekscytujące i miłe. Jeszcze się wówczas nie bierze pod uwagę, że są drogi kończące się nagle nad przepaścią na nieznanym polanie w gęstym lesie albo w łapach złego wilka.

Przekręciłem kluczyk i silnik zagrał cicho, nie zdradzając potężnej mocy, ukrytej pod szpetną maską.

Wehikuł był bowiem rodzajem pułapki zastawionej na każdego, kto sądzi po pozorach. Odrapana z lakieru, sklecona z karoserii kilku pojazdów „buda” była bardzo szeroka, co skłaniało żartownisiów do nazywania jej „balią”, jeśli patrzyli na nią z tyłu, lub „robalem”, jeśli mieli okazję zobaczyć wielkie „ślepie” przednich reflektorów. Wehikuł w ogóle wyglądał, jakby wykonali go niewprawni jeszcze w swym fachu uczniowie technikum samochodowego, korzystając z

materiałów zdobytych na miejskim złomowisku. Wrażenie prowizorki pogłębiał jeszcze „dach”, który stanowiła płachta brezentu rozpięta na rusztowaniu z żelaznych prętów.

Był to jednak, jak już się rzekło, tylko kamuflaż. „Frankenstein”, jak czasem określali pieszczołliwie mój środek transportu posiadacze lepszych, w ich mniemaniu, pojazdów, miał pod maską dwunastocylindrowy silnik wyciągnięty z rozbitego podczas rajdu subaru.

Ponieważ jednak przygotowana do wyścigów jednostka napędowa pożerała tyle benzyny, co czołg, ofiarodawca wehikułu, genialny mechanik samochodowy, który, zupełnie niczym przywołany wcześniej doktor Frankenstein, poskładał wehikuł z części kilku innych pojazdów, zamontował na desce rozdzielczej czerwony przycisk, umożliwiający przełączanie silnika między dwoma trybami. Rajdowym, pozwalającym wycisnąć z dwunastu cylindrów ostatnie poty, czyli prawie trzysta kilometrów na godzinę, za cenę zużycia 100 litrów paliwa na sto kilometrów i ekonomicznym, ograniczającym zużycie paliwa i możliwości samochodu mniej więcej dziesięciokrotnie, ale pozwalającym sporo zaoszczędzić, co nie było bez znaczenia, biorąc pod uwagę rosnące ceny benzyny, ministerialne pensje i budżet departamentu.

Co więcej samochód był w miarę bezpieczny, a to dzięki bardzo szerokiemu rozstawowi kół i dość niskiemu zawieszeniu, co zapewniało dobrą przyczepność nawet przy ogromnej prędkości.

Ministerialna „poczwarą” miała jeszcze jedną przewagę nad zwykłymi samochodami. W tylnej części podwozia, w miejscu gdzie zazwyczaj montuje się hak holowniczy, ukryto śrubę okrętową. Dzięki niej oraz hermetycznemu podwoziu, pociągniętemu specjalną antykorozyjną farbą stosowaną zazwyczaj w stoczniach, pojazd mógł w mgnieniu oka „przepoczwarzyć” się z samochodu w motorówkę.

Liczne zalety wehikułu już wiele razy pozwoliły mi zatryumfować nad przeciwnikami, którzy w swej pysze odsyłali nasz ministerialny pojazd do muzeum albo doradzali, bym przesiadł się do czegoś „normalniejszego”. Najlepszym zadośćuczynieniem za drwiny i obelgi był dla mnie zawsze wyraz bezbrzeżnego zdziwienia malujący się na twarzach „trefnisiów”, gdy wyszydany przez nich wóz nie tylko dotrzymywał kroku ich wspnianym maszynom, ale także z łatwością je wyprzedzał.

Miałem już wyjechać z parkingu, kiedy z lewej strony dobiegł mnie odgłos silnika. Obróciłem się odruchowo i zobaczyłem czerwoną toyotę, rozpoczynającą manewr cofania. Między wehikułem a toyotą były dwa puste miejsca parkingowe, zwolnione przez tych, którzy musieli być w pracy skoro świt.

„Japończyk” był wystarczająco blisko, bym mógł zobaczyć twarz kierowcy. Miał on na nosie czarne okulary, ale i tak rozpoznałem jego twarz — profesor z dołu. Zorientowawszy się, że go obserwuję, profesor gwałtownie przyhamował, a po sekundzie równie gwałtownie przyspieszył. Ryzykownym manewrem, niemal uderzając w przeciwległy krawężnik, zmusił wóz do ustawienia się zgodnie z kierunkiem ruchu i z piskiem opon opuścił drogę biegnącą u stóp bloku. Jego twarz mignęła w lusterku wstecznym. Miałem wrażenie, że malowały się na niej wstyd i skrucha.

Zostałem jeszcze przez chwilę na parkingu i zadzwoniłem do znajomego pracującego w archiwum Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków.

— Potrzebuję planów willi „Anna” w Konstancinie — oświadczyłem, wymieniwszy z kumplem kurtuazyjne uprzejmości i ploteczki ze świata historyków sztuki.

— Spodziewałem się, że nie dzwonisz, by zapytać, kto ostatnio kupił sobie fałszywego Kossaka na Kole — stwierdził z przekąsem, ale mimo wszystko życzliwie. — Chodzi o tę secesyjną perełkę na Jagiellońskiej?

— Jak zawsze błyskotliwy i zorientowany — starałem się, by mój głos zabrzmiał jak najbardziej lizusowsko.

— Zachowaj swoje słodkie słówka dla płci pięknej. Mnie na nie nie złapiesz.

— Kupię ci kwiaty.

— Nie lubię chabazi.

— I czekoladki.

— Musiałyby być z likierem — w tym momencie nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. Usłyszałem taki odgłos, jakby słuchawka spadła na podłogę i odległy chichot. Kolega zgłosił się znowu po trzech minutach.

— Czy to zamówienie jest na wczoraj?

— No co ty — zachnąłem się, udając urazę — nigdy bym nie śmiał dzwonić do ciebie w takiej sprawie. Papiery potrzebne są mi na dzisiaj. I to w dodatku nie teraz, a dopiero za godzinę.

— Dobra, łaskawcze. Ale niewykluczone, że będziesz musiał chwilę poczekać. Nasze archiwum jest dość spore.

— Przywiozę czekoladki.

— Nie piję w pracy.

— Nie powiedziałem, że przywiozę je dla ciebie.

— Spadaj, Paweł — odparł ze śmiechem.

— Mnie też było miło.

Korzystając z tego, że mam trochę czasu, odwiedziłem ministerialną bibliotekę i zrobiłem kopie wszystkiego, co udało mi się znaleźć na temat secesyjnej willi. Następnie udałem się do działu kadr, gdzie załatwiłem sobie przedłużenie urlopu o kolejne dni, potrzebne, żeby zainstalować się wygodnie w „Annie”, zorientować w panujących w domu stosunkach i rozejrzeć po okolicy. Potem chciałem wrócić do moich normalnych obowiązków w departamencie, a w „Annie” nocować i pojawiać się dopiero późnym popołudniem.

Było kilka powodów, by działać w ten właśnie sposób. Z opowieści pani Zakrzewskiej wynikało, że tajemniczy goście odwiedzają „Annę” albo bladym świtem, albo późną nocą w dodatku starsza pani i członkowie klubu seniora byli w domu przez cały czas od rana aż do wczesnego wieczora. Moja obecność w tym czasie byłaby nie tylko niepotrzebna. Byłaby też podejrzana.

Tak jak o tym powiedziałem pani Zakrzewskiej, nie można było wykluczyć, że któryś z mieszkańców „Anny” ma coś wspólnego z tajemniczymi incydentami. Jeśliby tak było, co pomyślałby sobie on lub ona, gdyby w konstancińskiej „Annie” pojawił się nagle bezrobotny z Warszawy? „W stolicy miałby przecież dużo większe szanse na znalezienie pracy” — myślałby dalej nasz hipotetyczny X. „A może wcale nie jest bezrobotny? Może jest na przykład... z policji?”

Pracownik Ministerstwa Kultury i Sztuki, kończący pisać pracę doktorską na temat konstancińskich willi i szukający pod Warszawą skupienia i oddechu od wielkomiejskiego zgiełku, bo taką historię wymyśliłem, by zaspokoić ewentualną ciekawość moich nowych sąsiadów, był postacią dużo bardziej wiarygodną.

Usprawiedliwienie dla mojego pobytu w „Annie” obmyśliłem w drodze z archiwum Wojewódzkiego Konserwatora na Floriańskiej do Konstancina. Kolega z archiwum jak zwykle mnie nie zawiódł i dlatego kilka minut po godzinie dwunastej, wrzuciwszy teczkę z kopiami konserwatorskiej dokumentacji razem z mapami do jednego z kartonów i obiecawszy koledze wypad na piwo, mogłem skierować dziób wehikułu na południe, ku mej nowej siedzibie.

Granicę podwarszawskiego lotniska przekroczyłem od strony Wilanowa, minąłem luksusowe osiedle na rogatkach kurortu i skierowałem się prosto do wydziału lokalowego Urzędu Miasta i Gminy. Odebrałem tam komplet kluczy do mieszkania i przysługującej mi piwnicy. Po chwili

jechałem już ulicą Piłsudskiego, a kiedy na tabliczce ozdobionej herbem z zielonym drzewem dostrzegłem napis „Ulica Henryka Sienkiewicza” odbiłem w lewo na długi bulwar, przecięty w środku szerokim pasem obsadzonym drzewami. U wylotu ulicy stała zabytkowa wieża ciśnień z czerwonej cegły, a po obu stronach alei pyszniły się budynki, którym Konstancin zawdzięcza słuszną sławę wśród miłośników przedwojennej architektury.

Budowę miasta-ogrodu umożliwił u schyłku XIX wieku hrabia Witold Skórzewski. Nowe letnisko, które Skórzewski nazwał na cześć swej matki, Konstancji, powstało w następujący sposób: właściciel rozparcelował prywatne ziemie w rozlewisku rzeki Jeziorki, urządził park angielski, a wokół rozlokował 261 działek, na których szybko zaczęły wyrastać imponujące rezydencje. Wkrótce podciągnięto tu linię kolejki wąskotorowej, a wokół powstały kolejne letniska: Chylce, Królewska Góra i Skolimów. Razem z położoną na północ od Konstancina wsią Jeziorna, sławną z działającej od 1760 roku papierni, utworzyły one w 1969 roku miasto Konstancin-Jeziorna.

Druga wojna światowa nie wyrządziła miastu większej szkody. Dzięki temu zachowało się tutaj kilkanaście wspaniałych posiadłości. Niektóre, tak jak willa „Anna”, powstały jeszcze w czasach modernistycznych, inne stawiała tu elita dwudziestolecia międzywojennego: przemysłowcy, adwokaci, malarze, architekci i pisarze.

Wśród mieszkańców Konstancina znalazło się kilka sław pierwszej wielkości: mieli tu swój letni „Dworek w Lesie” potentaci czekolady Wedlowie, w willi „Świt” Stefan Żeromski napisał „Przedwiośnie”, w „Zbyszku” mieszkał kompozytor Ludomir Różycki, w pobliskiej „Ukraince” rezydował zaś Wacław Gąsiorowski, autor sławnych powieści o losach napoleońskich szwoleżerów, który z Konstancinem zżył się tak bardzo, że przez dwa ostatnie lata dwudziestolecia międzywojennego był tutejszym sołtysem.

„Świt” minąłem po chwili, tuż przed kolejnym skrzyżowaniem w prawo, w ulicę Żeromskiego.

Na rogu Sienkiewicza i Żeromskiego ujrzałem zrujnowaną willę, ogrodzoną solidnym płotem ze stalowych sztachet. Jechałem powoli i na sekundę przechyliłem się w lewo; przez okno widać było znajdujący się wysoko, tuż pod ostatnią kondygnacją, napis: „WILLA ZBYSZEK”. Chętnie rozejrzałem się dokładniej po ruinie, ale wysoki płot i zamknięta na trzy spusty kłódka, skutecznie wybiły mi z głowy ten pomysł.

Nie miałem czasu, by żałować, że nie odwiedzę „Zbyszka”, bo przede mną widać już było „Annę”, stojącą tuż za willą „Julia”, która bezpośrednio sąsiadowała ze „Zbyszkiem”.

Budynek, w którym miałem spędzić następny miesiąc otaczała druciana siatka, z otwartą furtką. Od furtki biegła łagodnie skręcająca w stronę domu ścieżka. Nie skorzystałem z niej, bo, według wyjaśnień urzędnika, który wręczył mi kilkanaście minut wcześniej klucze, od południowej strony znajdowała się brama dla samochodów.

Rzuciłem więc tylko okiem na wspaniałe wejście do ogrodu w tylnej ścianie willi widocznej za siatką. Było ono niemal okrągłe, tak że w wyznaczonym przez nie obrębie mieściły się nie tylko wysokie drzwi, ale także długie okna o zewnętrznych krawędziach wygiętych w łuki i dopasowanych do fantazyjnego kształtu. Wszystko to razem przypominało przeszklone wejście do hobbickiej nory.

Kolejny skręt w prawo i już byłem na ulicy Batorego, z której wjechałem na obszerne podwórko przed drzwiami wejściowymi do willi. Zanim zaparkowałem przed nimi, zobaczyłem jeszcze drewnianą sięgającą drugiego piętra werandę.

Oba piętra werandy wykonano podobnie. Dół z drewna, górę z setek kwadratowych szybek, podzielonych framugami o miękkiej secesyjnej linii. Dolny poziom werandy był skromniejszy, za to na górnym architekt Jan Heurich pozwolił sobie na chwilę szaleństwa. Drewnianą podstawę

pokrywała znakomita snycerka, przywodząca na myśl pochodzące z Wyspy Wielkanocnej pismo rongo-rongo, szklaną górę zdominowało zaś monstrualnych rozmiarów okno w kształcie przekroju makowca. Obrys w kształcie ciasta złożony z kwadratowych szybek otaczał prostokątne okno.

Piękna weranda bliska była ruiny. Brakowało wielu szybek. Od dawna nieremontowana i niemalowana konstrukcja w wielu miejscach zbutwiała, pokryła się mchem i wypaczyła. Pięć wysokich, sięgających pierwszego piętra belek ustawionych pod kątem dwudziestu pięciu stopni zdawało się ją przypierać do solidnej, murowanej, głównej części budynku.

Ze zdjęć w Internecie wiedziałem, że po drugiej, północnej stronie domu znajduje się bliźniacza konstrukcja. Tamta na szczęście była w dużo lepszym stanie.

Zaparkowałem pomiędzy samochodami stojącymi pod płotem z siatki i wysiadłem. Przez chwilę podziwiałem świetnie zachowaną fasadę „Anny”. Dzieliła ją na dwie nierówne części — mniejszą po lewej i większą po prawej — wtopiona w nią wieżyczka, wewnątrz której znajdował się pion klatek schodowych.

Na ścianach po obu stronach wieżyczki były okna o zielonych framugach: trzy po prawej, dwa po lewej stronie, ułożone w dwóch rzędach, po jednym na każde piętro. Okna dolnego piętra miały zwyczajny, prostokątny kształt, tym powyżej zaokrąglono łukowato szczyty.

Ponad nimi, pod gzymsem biegł powtarzający się, roślinny, czysto secesyjny motyw. Patrząc na niego można było odnieść wrażenie, że oto ktoś potężną pieczęcią odbił kilkanaście razy na murze ten sam obrazek: patera w środku, wijące się, kwitnące rośliny po bokach.

Myliłby się jednak ten, kto uważałby, że willa „Anna” ma tylko jedno piętro. Dzieląca ścianę wieżyczka wystawała ponad poziom dachu, sygnalizując trzecią kondygnację, którą zobaczyć można było dokładniej z innych stron domu.

Otworzyłem boczne drzwi wehikułu i zabrałem z niego pierwsze pudełko, wypełnione książkami.

Pudełko było ciężkie, musiałem je wtaszczyć na pierwsze piętro, a jednak zbliżywszy się do wieżyczki klatki schodowej, znów przystanąłem, by podziwiać mistrzostwo dawnych budowniczych i rzemieślników. Patrzyłem z zachwytem na niewielki kwadratowy daszek ze szkła opuszczony pod skosem na misternie giętych wspornikach, na oryginalne drzwi ozdobione kratą w fantazyjny wzór, którego centrum stanowiły dwie litery „A” i „K”, będące inicjałami obojga pierwszych właścicieli rezydencji: warszawskiego adwokata Alberta Klimpla i jego żony Anny, od której imienia willa wzięła swą nazwę.

Powyżej, w górnej części okna znajdującego się nad markizą dostrzegłem rżnięty na szybie wizerunek jakiejś kobiety. Twarz nie była zbyt dobrze widoczna z dołu, ale roślinne zawijasy po jej obu stronach pozwalały przypuszczać, że zarówno szyba, jak i rysunek pochodzą z 1905 roku, czyli należały do oryginalnego wyposażenia willi.

Z mocnym postanowieniem, że w drodze powrotnej z mego mieszkania na pierwszym piętrze dokładniej przyjrę się kobiecej twarzy, przenieśliem ciężar kartonu na lewą rękę i wyciągnąłem prawą dłoń w kierunku klamki.

Ale drzwi otworzyły się same.

Pojawiła się w nich dwójka dzieci — chłopiec o rumianych policzkach w wieku lat ośmiu i dwunastoletnia na oko dziewczynka.

— Dzień dobry panu! — rzekli jak na komendę i uśmiechając się od ucha do ucha, a jednocześnie łypiąc ciekawie w moją stronę, przesunęli się na bok i pozwolili mi wejść do środka.

ROZDZIAŁ TRZECI

**KROK W KROK • BURŻUJ • PANIENKA Z OKIENKA • SZANTAŻ • POMOCNICY •
DIABEL WYPADA Z PUDEŁKA • DEKONSPIRACJA • MÓW MI, INDY • ZOSTAJĘ
LUKRECJĄ BORGIA • BOGATA, PIĘKNA I SZCZĘŚLIWA • SZOKUJĄCE ODKRYCIE
SŁUŻĄCEJ • LUNATYCZKA • NOCNA STRAŻ • GDZIE JEST DIADEM ZE ZŁOTYMI
MAKAMI? • „MÓWIŁEM, ŻEBY PIĆ GORĄCĄ!”**

Klatka schodowa pachniała kurzem i była ciemna. Ledwie zrobiłem krok, już musiałem znowu przystanąć. Tuż nad moją głową na niskim stropie z ułożonych poprzecznie desek znajdowała się piękny ornament przypominający trochę górską parzenicę.

— Na co pan patrzy? — zapytał rumiany chłopaczek, wyglądający jak cherubinek, którego obcięto na jeża. Tak jak ja zadzierał głowę i patrzył na „parzenicę”. Jego koleżanka robiła zresztą to samo.

— To bardzo piękna płaskorzeźba — rzekłem trochę onieśmielony bezpośredniością malca.

— Aha — chłopak podrapał się w głowę.

— Pan pewnie pracuje w muzeum... — stwierdziła rezolutnie dziewczynka. Była wysoka i ruda. Miała zielone, lekko rozmarzone oczy i bardzo chude ręce i nogi. Paznokcie u delikatnych dłoni były obgryzione.

— Niezupełnie — odrzekłem. — Ale strzał był prawie celny. Zgadujcie dalej — powiedziałem i ruszyłem po drewnianych schodach na górę. Poręcz też była secesyjna. Zaczynała się u stóp schodów głównią ozdobioną wypełnioną czarną farbą płaskorzeźbą kwiatu o dwóch łodygach, z której wyrastała spirala przypominająca muszlę ogromnego skorupiaka. Funkcję poprzeczek utrzymujących poręcz w pionie spełniały deski przycięte do kształtu amfor.

Przede mną widać było czworo drzwi. Każde oznaczone były numerem, na dwóch wisiały tabliczki z nazwiskami właścicieli: „B. Zakrzewska” i „Karpińscy”.

— Ja tu mieszkam — usłyszałem za sobą głos „Cherubinka”. Byłem tak zaabsorbowany oglądaniem zdobień schodów, że nie usłyszałem, jak dzieci weszły za mną po schodach, chociaż stara konstrukcja skrzypiała przy każdym kroku. Teraz odwróciłem się i spojrzałem na niego nieco wystraszoną wzrokiem.

„Czy te dzieci będą za mną wszędzie chodzić?” — pomyślałem ze zgrozą.

Uśmiechnąłem się, po czym czmychnąłem, biorąc po dwa schody na raz. Nie zwracałem już uwagi na secesyjne smaczki, na twarz na szybie, ani na to, czy słyhać za mną tupot stóp małych natrętów.

Po minucie dotarłem wreszcie do drzwi mojego nowego mieszkania. Namazano na nich flamastrem cyfrę „5”. Wysupłałem z kieszeni klucze i znalazłem odpowiedni. Wsadziłem go do zamka, ale zamiast przekręcić, nadstawiłem ucha.

Cisza.

Obróciłem się. Nikt za mną nie stał.

Odetchnąłem. Zrobiłem krok do tyłu i wychyliłem się tak, by móc zobaczyć schody.

Przyczaili się na półpiętrze, z rękami na poręczach. Na mój widok ich poważne twarze rozciągnęły się w szerokich uśmiechach. Przełknąłem ślinę i postanowiłem nie kusić więcej losu. Szybkim ruchem przekręciłem klucz w zamku i wszedłem do mieszkania.

— Robi się z ciebie burżuj, Pawle — mruknąłem pod nosem, gdy skończyłem wstępny

obchód mieszkania. Więcej było w tym stwierdzeniu zadowolenia niż ironii, aprobaty niż nagany.

Nigdy nie byłem pierwszym, który stawał w blokach do wyścigu szczurów, obce mi były nowobogackie trofea, musiałem jednak przyznać, że dwa przestronne, jasne pokoje z wysokimi sufitami i weranda będąca dziełem sztuki w zabytkowym, pięknym budynku są lepsze od ciasnej kawalerki w wieżowcu.

Nie zniechęcał mnie nawet niedostatek sprzętów, pozostawionych przez poprzednich lokatorów. „Trochę mebli”, wspomniane przez panią Zakrzewską, to była stara wersalka, szafa z płyty pilśniowej, samotny regalik na książki, stół z czterema krzesłami i dwie szafki w kuchni. Na szczęście moi poprzednicy zostawili w mieszkaniu także starą pralkę typu „Frانيا”, maleńką lodówkę i kuchenkę gazową, która pamiętała jeszcze poprzednią epokę.

Spokojnym krokiem przespacerowałem się po pokojach i zajrzałem na werandę.

Sześć okien i przeszkłona weranda dawały lepszą lub gorszą możliwość obserwowania tego co się działo po północnej, wschodniej i zachodniej stronie domu. Tylko północna część dawnego ogrodu, ta od strony ulicy Jagiellońskiej, pozostawała dla mnie zupełnie niewidoczna. Sprawdzając możliwości obserwacyjne nowego mieszkania, otwierałem po kolei wszystkie okna. Do pokoju napływało z zewnątrz przyjemne, ciepłe i dużo czystsze niż w Warszawie powietrze nasycone zapachami późnego lata — wonią pierwszych ognisk rozpalanych w ogrodach, koszonego siana i pierwszych jabłek zaścielających trawniki w przydomowych ogródkach.

Zakończywszy obchód, wysłałem SMS-a do pani Zakrzewskiej, prosząc o spotkanie za dwie godziny w kawiarni „Flora” w centrum Konstancina.

Spędziłem w nowym mieszkaniu dziesięć minut, zanim podszedłem na pilicach do drzwi wejściowych i przyłożyłem do nich ucho. Na korytarzu panowała cisza.

— Droga wolna — mruknąłem pod nosem i uchyliłem drzwi. Nikogo. Wyszedłem na korytarz i już miałem zamknąć mieszkanie, kiedy śmiertelnie wystraszył mnie dobiegający zza skrzydła drzwi głos:

— Możemy panu w czymś pomóc? — spytała ruda dziewczynka.

— Przede wszystkim więcej mnie nie straszcie... — rzekłem, odzyskawszy panowanie nad sobą.

— Widziałem podobny numer w jednym horrorze i pomyślałem, że się panu spodoba — powiedział „Cherubinek”.

— Jeśli pan chce, to przeniesiemy kilka paczek — zaproponowała dziewczynka. — Wyglądają na ciężkie i będzie pan musiał się niezłe namęczyć, żeby wnieść je na górę.

— Dzieci nie powinny pracować — odparowałem.

— Mówi pan jak nasi rodzice — skrzywiła się dziewczynka. — Kazań nam się tylko uczyć i bawić.

— I zabraniają oglądać horrory — dodał „Cherubinek” z taką miną jakby rodzice go głodzili.

— Nie uważacie, że mają rację?

— Ile można się bawić? — dziewczynka zrobiła znużoną minę.

— I oglądać „Cartoon Network”? — dodał chłopaczek. — Widział pan „Koszmar z Karaibów IV”? — zapytał, a kiedy zaprzeczyłem, dodał: — Niech pan żałuje. Najlepszy jest tam taki jeden zombie, który zjada...

— Skończ już z tymi głupotami, Maciek — przerwała mu dziewczynka. — O wiele lepsze są seriale kryminalne. A może pan jest detektywem? — dziewczynka po raz drugi spróbowała odgadnąć mój zawód.

— Znowu blisko — uśmiechnąłem się. — Myślcie dalej.

— To co, zgodzi się pan, żebyśmy pomogli? — nie ustępowała dziewczynka.

— Wasi rodzice nie byliby zachwyceni, gdyby zobaczyli, jak taszczyce moje kartony. Nie mogę na to pozwolić...

— Chodź, Ania, mówiłem ci, że jest taki sam jak wszyscy dorośli — rzekł Maciek z goryczą spuszczać głowę i ruszając w dół po schodach.

Dziewczynka rzuciła mi jeszcze pełne nadziei spojrzenie, ale zrobiłem zdecydowaną minę, więc po chwili dołączyła do kolegi.

Odetchnąłem z ulgą, chociaż jednocześnie poczułem wyrzuty sumienia, że tak ich spławiłem. Nigdy nie lubiłem gasić zapалу w młodych ludziach.

„Nie najmowałem się tutaj na niańkę” — pomyślałem, próbując zagłuszyć moralne wątpliwości. Wzruszyłem niezbyt pewnie ramionami, ruszyłem w dół schodów.

I wtedy ją zobaczyłem.

Rznięta srebrną linią w szkle twarz kobiety nad oknem, ledwie widoczna z podwórka, w pełnej krasie prezentowała się dopiero z poziomu półpiętra.

Eteryczna twarz w kształcie odwróconej gruszki prawie zasłonięta bujnymi puklami włosów, wypływającymi spod dziwnej czapeczki, przypominającej przeciętą na pół dynię ozdobioną po bokach kwiatami maku.

Usta, małe i niezupełnie symetryczne, zastygłe w ironicznym wyrazie, oczy patrzące wyzywająco, a jednocześnie nieobecne i jakby zamglone, nos prosty, kształtny, o dziurkach gotowych, by zbliżyć je do czerwonych płatków, otaczających czarną główkę.

Twarz zdawała się wydobywać z kwiatowej cebulki wyrytej poniżej szyi, niczym dym z butelki skrywającej dzina. Z tej samej cebulki rwały się symetrycznie na boki rozłożyste, pokryte kłującym meszkiem liście łopianu i delikatne, wijące się zakosami łodyżki, obarczone zbyt ciężkimi dla ich wątlých ramion kępami liści wypełnionymi kiśćmi drobnych owoców.

„Secesja” — westchnąłem w duchu z podziwem i spojrzałem prosto w oczy tajemniczej leśnej boginki.

— Chce pan wiedzieć, kim ona jest? — zapytała Ania, dziewczynka o rudych włosach. Stała dwa kroki za mną na wprost okna. Błysk światła, odbijający się od jej włosów, przywiódł mi na myśl pastelowe portrety dzieci Stanisława Wyspiańskiego.

— A skąd ty to wiesz?

— Powiedziała jej pani pułkownikowa — wypalił Maciek-”Cherubinek”. — Jej matka była tu kiedyś służącą to chyba wie...

Ania posłała mu karcące spojrzenie, sycząc jednocześnie przez zęby:

— Zamknij się, głupku!

„No, no” — pomyślałem. „Robi się ciekawie.”

Anka patrzyła na mnie przez chwilę, jakby zastanawiała się, czy warto w ogóle ze mną rozmawiać.

— Powiem panu, kto to jest — skinęła w końcu głową w stronę portretu na szybie — jeśli się pan zgodzi, żebyśmy pomogli.

„W sumie to nic takiego” — rozważałem obłudnie w myślach. „Nie można przecież zabijać w młodości altruistycznego ducha”.

I chociaż zdawałem sobie doskonale sprawę, że to co mam zamiar powiedzieć wynika wyłącznie z rozbudzonej ciekawości i nie ma nic wspólnego z altruistycznymi pobudkami, rzekłem:

— Zgoda.

Twarze Maćka i Anki roz pogodziły się w mgnieniu oka.

— Co mamy robić? — zapytali niemal jednocześnie.

— Najpierw powiedzcie, kim jest pani narysowana na szybie.

Maciek już się wyrwał do odpowiedzi, ale koleżanka zamknęła mu usta dłonią i rzekła z przebiegłą miną:

— Nie ma głupich. My się wygadamy, a pan nie pozwoli nam nosić pudeł. Cóż było robić? Pokręciłem głową uśmiechając się i dziwiąc jednocześnie sprytowi dziewczuszki.

— Chodźcie, pomocnicy — rzekłem i ruszyłem w dół.

Tupot trampek na zakurzonych schodach podążał za mną jak cień.

— A tak w ogóle — zainteresowała się ruda Anka taszcząc ostatnie pudło wspólnie z Mackiem, który od kursowania w górę i w dół dostał rumieńców — co pan robi w naszym domu?

— Szukam spokoju, bo piszę pracę o zabytkach waszego miasta — odparłem, zgodnie z wymyśloną wcześniej historyjką. Nie miałem zamiaru ujawniać prawdziwego powodu mojego pobytu w „Annie”. Byłoby to niebezpieczne nie tylko dla mojej misji. Stwarzałoby również zagrożenie dla moich nowych znajomych. Nie mogłem wykluczyć, że ludzie, z którymi przyjdzie mi się zmierzyć, są niebezpieczni.

— To słabo pan trafił — odparowała dziewczynka, a widząc moje pytające spojrzenie, dodała tajemniczo: — Zresztą niedługo się pan przekonasz.

— Uff, ale ciężkie — westchnął Maciek coraz bardziej czerwony z wysiłku. — Przystańmy na chwilę — poprosił koleżankę. — Ręce mi już odpadają.

Do szczytu schodów, gdzie czekałem na nich z pudłem w rękach, zostało im najwyżej siedem stopni.

— To już ostatnie pudło — mobilizowała go ruda Anka. — Bądź mężczyzną! — zagrała mu na ambicji.

— Jestem tylko ośmioletnim chłopcem — odparował rezolutnie chłopczek, ale dalej targał ciężar i noga w nogę z koleżanką wspinał się po trzeszczących schodach.

Natura jednak nie daje się oszukać i dwa stopnie od szczytu słabe jeszcze mięśnie chłopca nie wytrzymały. Pudło wysunęło mu się z rąk, a że Ania nie była sama w stanie go utrzymać, spadło na niższy stopień. Zawartość rozsypała się na schody.

— Nieszczęścia chodzą parami — westchnąłem

— O nas pan mówi? — zapytała ruda dziewczynka podejrzliwie.

— Nie — odparłem z uśmiechem — po prostu to samo zdarzyło mi się wczoraj wieczorem w moim starym bloku.

— Wierzę panu — powiedział Maciek pewnym tonem. Próbował mi się podlizać, po tym, jak upuścił pudełko z moimi rzeczami.

— No, dobra — Ania w końcu przekonała się, że ich nie okłamuję. — Lepiej to pozbierajmy, zanim ktoś się zabije na pana gratach.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na to, co było w pudle — saperka, latarka-czołówka, kompas, stare ubrania, w które przebierałem się na swoje poszukiwawcze wypadki, mapy Konstancina i okolic zakupione dziś rano i komplet kopii dokumentów konserwatorskich, których luźne kartki, niczym biały obrus zaścierały teraz schody.

— Ale fajna saperka! — zachwycił się Maciek, który już dopadł do pudła.

— I jakie ciekawe plany — dodała Ania, podnosząc kolejne kserokopie, niczym kartoniki loteryjki obrazkowej. — O kurczę, tu są zdjęcia naszego domu — podniosła kolejną kartkę — i plan ogrodu!

Rzuciłem się do zbierania szpargałów. Nie chciałem, żeby ktoś zobaczył, że przywiozłem ze sobą plany „Anny”. Dzieci, zobaczywszy moją minę, pośpieszyły mi z pomocą. Bez słowa zapakowaliśmy pudło. Potem sam wniosłem karton z wystającymi z niego dokumentami do mieszkania. Ania i Maciek wtaszczyli pudło pozostawione przeze mnie, zamknęli za sobą drzwi i oparli się o nie plecami. Maciek zrobił to wszystko raczej dlatego, że naśladował zachowanie koleżanki, ale Ania miała w tym swój cel. Świadczyły o tym zaciśnięte usta i zmrużone oczy, zza których błyskały ogniki gniewu i zrozumienia.

— Zdaje się, że wiem, kim pan jest... — rzekła w końcu po chwili, robiąc krok do przodu i podnosząc rękę.

— Już ci mówiłem — odparłem odwracając twarz; nie mogłem powstrzymać napływających na policzki, palących rumieńców. — Przyjechałem do willi „Anny”, żeby napisać pracę o zabytkach Konstancina.

— Akurat! — zachnęła się nad wiek inteligentna dwunastolatka. — I dlatego tak się pan przestraszył, kiedy te dokumenty o naszym domu wypadły z pudełka? — jeszcze bardziej zmrużyła oczy i podparła dłonie na biodrach.

— I saperka — włączył się rozmowy Maciek.

— I saperka — dodała Ania takim tonem, jakbym z kartonu wypadł co najmniej zakrwawiony nóż. — Plany domu, ogrodu i saperka. Nam nie wciśnie pan kitu! Jest pan kimś w rodzaju Indiany Jonesa!

Przeszedł mnie dreszcz. Jeśli zdołała mnie zdemaskować dwunastolatka, czy sprawi to trudność zawodowym przestępcom? Zaraz jednak pomyślałem o okolicznościach, towarzyszących konspiracji i odetchnąłem z ulgą.

— W którym kartonie trzyma pan kapelusz i bicz? — nie ustępowała Ania.

Trzeba było ratować sytuację.

— Musimy porozmawiać — rzekłem pojednawczo.

— Ja myślę — Maciek zrobił krok do przodu, zrównał się z koleżanką i zrobił minę przenikliwego detektywa.

— Skoro wszyscy się co do tego zgadzamy, proponuję usiąść przy stoliku i omówić sprawę na spokojnie.

Maciek i Ania wymienili porozumiewawcze spojrzenia, potem skinęli jak na komendę i bez słowa podeszli do stołu. Odsunęli sobie krzesła z oparciami wykonanymi ze szczebelków i usiedli. Nogi Maćka zwisały nad ziemią.

Wyjąłem z kartonu czajnik, trzy kubki i puszkę czekolady w proszku. Kilka minut spędzonych w kuchni pozwoliło mi złapać oddech. Kiedy postawiłem parujące naczynia na stoliku i siadłem po przeciwnej stronie niż moi młodzi goście, miałem w głowie gotowy plan działania.

Zobaczywszy czekoladę, Maciek oblizał się, objął kubek dłońmi i już miał przystawić sobie brzeg naczynia do ust, kiedy lekko trąciła go Ania.

— Nie pij — szepnęła mu tak, żebym nie usłyszał, ale byliśmy za blisko. — Może być zatrute. Obudzimy się za dwie godziny i nie będziemy nic pamiętać.

Maciek zawahał się, ale tylko na chwilę. Potem odsunął dłonie od kubka z wyraźnym żalem i spojrzał na mnie w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: „Nie spodziewałem się czegoś takiego po panu”.

Udając, że nie zauważyłem ich manewrów i nie zwracając na nich uwagi, podmuchałem swoją czekoladę, a potem upiłem dwa porządne łyki, mruczając błogo.

— Pyszna — oceniłem napój, łyknąłem jeszcze trochę, a potem spojrzałem na nich i ze

zdziwieniem w głosie zapytałem:

— Dlaczego nie pijecie? Nie lubicie czekolady?

— Rodzice nie pozwalają nam brać niczego od obcych — próbowała wykręcić się Ania.

— Myślałem, że nie słuchacie rodziców — odrzekłem. — No, ale wasza wola... Gdybyście jednak zdecydowali się napić, radziłbym decydować się szybko. Czekolada na zimno jest dużo gorsza.

Mało brakowało, a przekonałbym Maćka, który już miał wyciągnąć ręce i skosztować czekolady, ale powstrzymało go groźne spojrzenie koleżanki.

— Może powie nam pan w końcu — dziewczynka spojrzała na czekoladę i przełknęła ślinę, ale się nie skusiła — po co tak naprawdę zamieszkał pan w „Annie”.

Pociągnąłem kolejny łyk z kubka i odchrząknąłem.

— Zgodzę się wam to wyjawić, ale pod warunkiem, że pozostanie to naszą tajemnicą... — rzekłem nadając swojemu głosowi odpowiednio enigmatyczny ton. Musiałem przygotować odpowiedni grunt pod słowa, które miały paść za chwilę.

Chwila zastanowienia, porozumiewawcze spojrzenie, kiwnięcie głową. Poszli w kąć i naradzali się szeptem przez trzy minuty. W końcu wrócili do stołu z uroczystymi minami i wyciągnęli ku mnie dłonie.

— Czy to oznacza zgodę na mój warunek?

Kiwnęli głowami w potwierdzeniu.

Podniosłem się z krzesła i przechylając nad stołem, uścisnąłem ręce Ani i Maćka.

— Skoro wszystko jasne, najpierw mam do was prośbę: napijcie się wreszcie czekolady, zanim zupełnie wystygnie — powiedziałem, ale nie odniosło to żadnego skutku. Kubki pozostały nietknięte. Młodzież wpatrywała się we mnie w niemym wyczekiwaniu.

— No dobrze — skubnąłem swoje ucho. — Nazywam się Paweł Daniec.

— Anna Wiktoria Stachyra — przedstawiła się dziewczynka, wstając i podając mi rękę.

— Maciej Adam Karpiński — dokończył prezentacji chłopaczek i również wymienił ze mną uścisk dłoni.

Żadnemu z nich nie drgnął przy tym nawet kącik ust.

— Dobrze, że się poznaliśmy — uśmiechnąłem się lekko zmieszany i rozbawiony śmiertelną powagą moich gości, rozpaczliwie usiłując uchwycić przerwany wątek; w końcu mi się to udało: — Pracuję w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w Departamencie Ochrony Zabytków.

— Jest pan detektywem? — zapytała Ania; w jej oczach błyskały ogniki nadziei.

— Czasami — odparłem. — Zazwyczaj dbam o to, żeby nikt nie wywoził nielegalnie z Polski zabytków, pomagam zdobywać pieniądze z Unii Europejskiej na konserwację, zdarza się, że sprawdzam, czy naprawy zabytków przebiegają tak jak powinny, a czasem... — zawiesiłem teatralnie głos, a dzieci nadstawiły uszu — ...czasem szukam skarbów.

Wyznanie zrobiło odpowiednie wrażenie. Maciek i Ania przez chwilę patrzyli na mnie rozszerzonymi oczami, twarze zbladły, usta były otwarte.

— Teraz też szuka pan skarbu? — wyszeptała w końcu dziewczynka.

Skinąłem głową bez słowa, za to z pewną miną.

— Myśli pan, że w naszym domu ukryty jest skarb? — dopytywała się Ania.

— W domu albo w ogrodzie — odparłem pewnie.

— Dlatego zabrał pan saperkę... — domyślił się Maciek.

— Skąd pan wie o skarbie? — w głosie Ani pojawiła się nutka podejrzliwości.

— Tego powiedzieć wam nie mogę. Wiąże mnie przysięga — dodałem od razu, żeby uciąć

kolejne pytania. — Mogę wam za to opowiedzieć pewną historię.

— I ona niby doprowadzi nas do skarbu? — powątpiewała Ania.

— Może... — odrzekłem, robiąc minę, która miała oznaczać: „Mądrej głowie dość dwie słowie.”

— Proszę nam ją opowiedzieć — Maciek kręcił się na krześle, nie próbując nawet ukryć zainteresowania.

Ale Ania nie do końca wierzyła w moją historyjkę. Oparła głowę na dłoni i patrzyła na mnie jak na oszusta. Trzeba było natychmiast coś zrobić.

— Nie tak szybko! — pogroziłem chłopcu palcem, nie zwracając uwagi na ostentacyjną nieufność Ani. — Najpierw musimy zamknąć okna i sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje pod drzwiami.

Z ulgą zobaczyłem, że moje wysiłki podziałały na Anię. Z trochę mniejszą niechęcią towarzyszyła Maćkowi, który prawie biegał od okna do okna, zamykając je po kolei. Na końcu otworzyli drzwi i sprawdzili nie tylko, czy nikt za nimi nie stoi, ale także, czy jakiś szpieg nie zaczął się na platformie półpiętra.

— Czysto. Może pan opowiadać — oświadczył po kilku minutach krzątający Maciek, siadając znów przy stole. Jego policzki zrobiły się czerwone od ruchu i ekscytacji. Twarz Ani nie wyrażała aż tak gwałtownych uczuć, raczej umiarkowane zainteresowanie.

„Dobre i to” — skomentowałem w myślach, a na głos powiedziałem:

— Żyła raz pewna piękna i bogata pani...

— Bardzo bogata? — wtrącił Maciek.

— Bardzo. Mieszkała sama z mężem w domu, który wystarczyłby dla dziesięciu rodzin, miała pięciu służących, cztery pokojówki i trzy kucharki, oprócz tego ogrodnika i szofera. Przed domem stały zawsze dwa samochody. Biały do dyspozycji pani, czarny — pana. Pokoje w domu wypełniały meble o pięknych wygiętych kształtach, a tak delikatne, że wydawało się, iż złamać by je mógł mocniejszy podmuch wiatru. Najpiękniejszy był pokój pani na samym szczycie domu. O poranku pokój zalewało słońce. Obok wielkiego okna wychodzącego na balkon stała wytworna toaletka z hebanu, rzeźbiona w tulipany, ze srebrną taflą lustra. Na niej perfumy we flakonikach z rżniętego szkła z pompkami w kształcie gruszek, kremy i pudry w srebrnych puzderkach, srebrne grzebienie z zębami z szylkretu. Jeśli pani znużyłoby się oglądanie swej twarzy w lustrze...

— Jak ona wyglądała? — zapytała nagle Ania.

Ucieszyłem się, że historia ją wciągnęła.

— Nie wiem, jak wyglądała. Nawet jeśli zachowało się jakieś zdjęcie, to ja do niego nie dotarłem, ale z tego co słyszałem i czytałem, była kobietą o pięknych oczach i bladej, gładkiej skórze, bardzo drobną i elegancką.

— Niech pan opowiada dalej — poprosiła dziewczynka.

— W swym pokoju na szczycie domu, przypominającym szczyt wieży, piękna pani każdego ranka robiła się na bóstwo, a potem piła kawę z filiżanki o cienkich ściankach i zjadała chrupiącego rogalika z czekoladą upieczonego specjalnie dla niej w znajdującej się dwa piętra niżej kuchni. Jeśli znużyłby ją widok własnej twarzy w kryształowej tafli lustra, mogła przenieść wzrok na obrazy zakupione dla niej przez męża w Wiedniu lub wstać i, odchyliwszy firanę zawieszoną u sufitu, przejść na taras, z którego rozciągał się widok na ogród otaczający dom.

Ogród był największą dumą pani domu. Lubiła po śniadaniu, jedzonym każdego dnia w towarzystwie męża na parterze, w ogromnym salonie, wyjść przez drzwi w kształcie podkowy do ogrodu i spacerować długo po wygiętych w łuk alejkach z tomikiem poezji w dłoni. Lubiła rośliny

tak bardzo, że mąż nazywał ją czasem „Leśną Wróżką”, a na któreś urodziny podarował jej diadem, po którego bokach umieszczono dwa złote maki.

— Musiała być bardzo szczęśliwa... — westchnęła Ania.

— Mnie też się tak wydaje. Tak przynajmniej mówią świadkowie tamtych dni — stwierdziłem. — Szczęście, niestety nie trwa wiecznie i po siedmiu latach powodzenia nad dom „Leśnej Wróżki” nadciągnęły czarne chmury.

— Co się stało? — zapytała ze strachem dziewczynka, podnosząc ręce do ust, żeby je zasłonić.

— „Leśna Wróżka” zachorowała i nikt nie był w stanie jej pomóc. Zaczęło się od tego, że pewnego dnia służąca, dzierżąc w dłoniach srebrną tacę z dymiącą filiżanką kawy i rogalikiem, nacisnęła łokciem klamkę u drzwi do pokoju swej pani, a potem pomogła sobie barkiem i weszła do środka.

Sekundę później poranną rozświetloną słońcem ciszę rozdarł wibrujący alt służącej, poprzedzony metalicznym uderzeniem srebrnej tacy o podłogę.

Powodem, dla którego zmarnowała się wspaniała brazylijska kawa i apetyczny rogalik nadziany belgijską czekoladą a w dodatku uległ zniszczeniu perski dywan, przywieziony zeszłego roku z podróży do Bagdadu, był widok pokoju pani.

Na łóżku leżała skołtuniona pościel, zasłona w drzwiach wiodących na balkon została odsunięta na bok i powiewała szarpana przez poranny wietrzyk. Na balkonie jednak nie było nikogo.

Walcząc z drżeniem rąk, które zawsze zwiastowało zbliżający się atak hysterii, służąca niepewnym krokiem przeszła przez pokój i wyszła na balkon, a z niego na taras. Pomału zbliżyła się do drewnianej barierki i spojrzała w dół.

Z jej ust wyrwało się ciche westchnienie ulgi, kiedy zrozumiała, że gdziekolwiek jest teraz jest jej pani, z pewnością nie ma jej dwa piętra niżej na trawniku.

Ale potem zdarzyło się coś, co sprawiło, że odważna pokojówka nie była w stanie nad sobą zapanować. Gdzieś za jej plecami, trochę powyżej poziomu tarasu rozległo się przeciągłe ziewnięcie, a potem odezwał się znajomy głos.

— Co Terenia tu robi? — zapytała jej pani.

Terenia odwróciła się powoli i spojrzała w górę. Zza wygiętego w lekki łuk gzymsu pomiędzy dwoma sześciennymi cokołami wychyliła się rozczochrana głowa jej pani. Twarz kobiety była brudna, przez lewy policzek biegła czerwona pręga, a oczy sklejały resztki snu.

Teresa zdusiła wysoki pisk otwartą dłonią. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w głowę bez ciała, która najpierw rozejrzała się rozmarzonym wzrokiem na boki, potem zastygła w niemym przerażeniu, a w końcu wydała z siebie donośny okrzyk wzywający pomocy.

Kwadrans później pani leżała w swoim łóżku, a pod willę podjeżdżała limuzyna mieszkającego dwie ulice dalej doktora. Lekarz stwierdził tylko lekkie przeziębienie, zalecił pozostanie w łóżku przez cały dzień oraz konsultację ze specjalistą od nerwów.

— „Leśna Wróżka” lunatykowała! — wyrwało się Maćkowi. Skinąłem głową w potwierdzeniu.

— Tak przynajmniej wykazało domowe śledztwo przeprowadzone przez majordomusa. Odkrył on tego samego dnia, że drabinka służąca do wychodzenia na dach, przechowywana w kantorku na drugim piętrze, zniknęła. Znalaziono ją chwilę później na dachu. Pani, pozostając w głębokim uśpieniu, musiała podstawić ją do okienka w suficie klatki schodowej drugiego piętra, wspiąć się po niej na dach, a następnie wciągnąć ją za sobą. Było to dość dziwne, bo drabinka,

wykonana z solidnego drewna, była sprzętem dość ciężkim i nawet majordomus zawsze nieźle się zasapał, gdy jej używał.

Tego samego dnia po południu przybył z Warszawy sławny psychiatra. Dokładnie zbadał panią domu, wprowadził ją nawet w stan hipnozy, ale jego wysiłki nie przyniosły większych rezultatów. Pani, nawet pogrążona w hipnotycznym śnie, nie była w stanie powiedzieć, w jaki sposób dostała się na dach ani ile czasu trwała jej nocna wyprawa. Nie pamiętała z niej zupełnie nic. Lekarz przepisał jej uspokajające toniki, zalecił dużo ruchu na świeżym powietrzu, a nawet specjalne ćwiczenia, które miały pomóc zmęczyć organizm przed snem i w ten sposób zapobiec kolejnym wycieczkom po zmroku.

— Trzeba było przywiązać ją do łóżka — palnął Maciek, zaraz jednak skulił się w sobie, bo dosięgło go karcące spojrzenie Ani.

— Spróbowano i tego — odparłem. — Ale nawet gdy panią skrępowano skórzanymi pasami, drzwi zamknięto na klucz, a okno zastawiono ciężką szafką nie powstrzymało to lunaticzki od spacerów przy świetle księżyca. Jakimś cudem zdołała zawsze wyzwolić się z więzów i pokonać wszystkie przeszkody. Ponieważ jednak majordomus przezornie ukrył drabinę w piwnicy, od której klucz trzymał zawsze na rzemyku zawieszonym na szyi, podróże na dach nie powtórzyły się i pani, wyciągając przed siebie ręce, spacerowała od tej pory łukowatymi alejkami ogrodu między wypielęgowanymi rabatami.

Mniej więcej w tym samym czasie z domu zaczęły ginać różne przedmioty — patelnia, klucze do spiżarni, koszyk na ziemniaki. Początkowo traktowano to jako wynik czyjegoś normalnego roztrzepania i normalną sprawę przy prowadzeniu dużego gospodarstwa, jednak gdy z kredensu zniknęła połowa srebrnej zastawy, sprawa stała się poważna. Podejrzenie padło oczywiście na służbę. Majordomus przesłuchał cały podległy mu personel, ale wszyscy zaklinali się, że nie mają z kradzieżą nic wspólnego. Prawdę mówiąc majordomus nie miał powodów, by podejrzewać kogoś ze swych podwładnych, a to dlatego, że do tej pory nie zdarzyło się, by z domu coś zginęło.

Zastawa jednak nie rozplynęła się w powietrzu i sprytny szef służby postanowił zacząć się nocą na złodzieja. Jakież było jego zdziwienie, gdy ze swojej kryjówki za grubą filcową zasłoną dostrzegł, jak przez ciemny pokój zmierza ku kredensowi pani domu. Kobieta szła z zamkniętymi oczami, z rękami wyciągniętymi przed siebie. W końcu dotarła do kredensu, otworzyła drzwiczki i złapała w dłonie po kilka widelców i łyżek. Nie opuszczając rąk wyszła z pomieszczenia.

Majordomus śledził ją do ogrodu. Pani przeszła kilka razy alejkami, jakby szukała odpowiedniego miejsca, następnie zatrzymała się przy dużej kępie rododendronów i gołymi rękami wykopała w ziemi głęboki dołek. Wrzuciła do niego srebrne sztucce, zakopała dół i ruszyła z powrotem do domu. Od razu skierowała się do kuchni, gdzie dokładnie umyła ręce, po czym udała się prosto do swojego pokoju na spoczynek. I chociaż majordomus czekał pod jej drzwiami do świtu, więcej jej nie zobaczył.

Mądry kamerdyner postanowił nie nadwierać i tak już słabych nerwów swej pani i udał się ze sprawą do pana domu. Ten początkowo nie chciał uwierzyć w relację służącego, ale kiedy ten zaprowadził go do ogrodu i na jego oczach odkopał sztucce, zmienił zdanie. Efektem dwugodzinnej narady, która miała miejsce po powrocie do gabinetu pana, było wtajemniczenie w sprawę kilku najbardziej zaufanych służących. Mieli oni, na zmianę z panem, pełnić nocne warty, by zapobiec kolejnym „kradzieżom”.

Przez kilka miesięcy wszystko udawało się doskonale. Pani, przez nikogo nie niepokojona ruszała na nocne „łowy”, ukrywała swój „łup” w jakimś szczególnie oddalonym punkcie ogrodu, myła ręce i wracała do łóżka, a pilnujący ją strażnik odkopywał cenny depozyt i odnosił go na

miejsce. Jedynym śladem, że w domu coś się w ogóle działo, było codzienne ziewanie jednego z domowników. Niestety, a dla nas może na szczęście, pewnej jesiennej nocy straże zawiodły. Na warcie stał wówczas sam pan domu. Po godzinie spędzonej bezsennie pod drzwiami żony, długie miesiące niedosypiania i zgryzoty dały o sobie znać i pan zasnął.

O świcie obudziła go Terenia idąca z kawą do pani. Służąca była na szczęście wprowadzona w tajemnicę i dlatego, nie zdziwiwszy się wcale, lekko trąciła pana w ramię.

— O Boże — rzekł mężczyzna, mrużąc oczy przed słabym światłem szarego świtu — przespałem całą noc!

— Niech się pan nie turbuje — odparła służąca. — Nic nie zginęło. Zenon rano sprawdzał.

Jakże się myliła. Przekonała się o tym zresztą zaraz, bo zastała swą panią przerzucającą pokój do góry nogami. Szybko się okazało, że w nocy zginął z jej pokoju diadem ze złotymi makami.

— Na pewno ona sama go schowała — rzekła szeptem Ania, zagryzając dolną wargę.

Rewizja przeprowadzona w rzeczach służby niczego nie wykazała. Całodzienne poszukiwania, podczas których zajrzano w każdy, nawet najbardziej zakurzony kąt domu, też okazały się bezowocne i wieczorem pani zaczęła się już godzić z dotkliwą stratą. Położyła się spać, a dwie godziny później znów lunatykowała, pilnie obserwowana przez majordomusa i pana domu, którzy liczyli, że tak jak się to już kilka razy zdarzało, pani zakopie swój nowy „łup” w tym samym miejscu, co poprzedniej nocy i w ten sposób uda im się odnaleźć cenny klejnot.

— Udało im się? — zapytał Maciek.

— Niestety — rozłożyłem bezradnie ręce. — Chociaż dalej pełniono straż, chociaż miesiąc później, przez kilka nocy, dokładnie przekopywano ogród, diadem zapadł się pod ziemię.

— Może jednak ukradł go któryś ze służących — zastanawiała się Ania. — Wykorzystał to, że jego pan zasnął, śledził panią i zabrał diadem.

— To możliwe, ale mało prawdopodobne. Z tego co wiem, służba była traktowana w tamtym domu bardzo dobrze, za co odwdzięczała się swym pracodawcom lojalnością. Ja — uśmiechnąłem się tajemniczo — wierzę, że pani ukryła diadem tak dobrze, że nikt go dotychczas nie odnalazł.

— No dobrze — Maciek ocknął się z dłuższego zamyślenia. — A jak nazywała się ta pani i gdzie mieszkała? I co to ma wspólnego z naszym domem?

— Wyglądacie mi na rezolutne dzieci — uśmiechnąłem się i mrugnąłem do Ani, której mina świadczyła, że dziewczynka wszystko już rozumiała. — Na pewno sami się domyślicie. A teraz — spojrzalem na zegarek; zbliżała się pora spotkania z panią Zakrzewską — dopijcie szybko czekoladę. Za dwadzieścia minut mam spotkanie.

Dzieci posłusznie umoczyły usta w zimnym napoju i skrzywiły się jak na komendę.

— Fuj! Ale smoła — skomentował w swoim bezpośrednim stylu Maciek. Ania nie powiedziała nic, ale po dwóch łykach odsunęła od siebie kubek na bezpieczną odległość.

— A radziłem, żeby pić, kiedy była gorąca — skomentowałem kręcąc głową jak nauczyciel, a widząc ich przeproszający i zakłopotany wzrok, dodałem zaraz: — Nie przejmujcie się tak. Spróbujecie gorącej następnym razem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

KUPA ZŁOMU • ROZWIĄZANIE ZAGADKI • RYBA NA HACZYKU • DLACZEGO TO ROBIĘ? • ULUBIENIEC KELNERÓW • MIESZKAŃCY „ANNY” • KWIACIARKA I DOCENT • DIABELSKIE NASIENIE • TAJEMNICZY EMERYT • PUŁKOWNIKOWA • STARA PANNA • BRAT I SIOSTRA • KLUB APATYCZNEGO STARUSZKA • NIE UMIEM POCIESZAĆ • „OD JUTRA BĘDĘ GRZECZNA” • CISZA PRZED BURZĄ • KLÓTNIA ZA ŚCIANĄ • INTRUZ O ZIELONYCH OCZACH • WIADOMOŚĆ OD ANI I MAĆKA

— Ale kupa złomu! — orzekł Maciek, ujrawszy wehikuł. — Chyba pan jednak jeszcze nie znalazł żadnego skarbu, że musi jeździć czymś takim...

— Lubię mój samochód — odparłem z przekorą — poza tym wszystkie skarby, które odnalazłem, oddałem do muzeum.

— Ja bym nigdy nie oddał skarbu — zarzekał się Maciek. — Sprzedałbym go i kupił sobie wypasiony strój zombie albo wilkołaka — rozmarzył się chłopak.

— Gdybym je zatrzymał, popełniłbym przestępstwo — wyjaśniłem. Dzieci spojrzały na mnie zdziwione. — A tak. Wszystko, co się znajdzie w ziemi albo w budynkach należy do państwa.

— To beznadzieja — skomentował Maciek. — Zamiast męczyć się za darmo i grzebać w ziemi, wolałbym pooglądać telewizję.

— Naprawdę?! — zdziwiłem się. — Pieniądze to nie jedyna korzyść, jaką można odnieść podczas szukania skarbów. Dzięki moim licznym przygodom, dowiedziałem się sporo o historii naszego kraju, poznałem mnóstwo świetnych ludzi...

— Znowu gada pan jak rodzice — machnął ręką zniechęcony chłopak — albo nauczyciele...

Zdałem sobie sprawę, że chłopak ma trochę racji. Po raz kolejny zdarzyło się coś, czego bardzo u siebie nie lubiłem — wpadłem w mentorski ton.

— ...no i jest jeszcze sława... — desperacko szukałem w swojej pracy punktów, zdolnych olśnić ośmiolatka.

— Pan wcale nie jest sławny — ocenił Maciek, robiąc przemądrzałą minę — nigdy nie widziałem pana zdjęcia w żadnej gazecie, nie występował pan też w telewizji. Może chociaż zna pan jakąś gwiazdę? Na przykład Dodę?

— Znam wielu wybitnych profesorów i naukowców — odparłem po sekundzie namysłu i zaraz dodałem, przypominając sobie swoje wielkie chwile sprzed kilku lat: — Byłem też raz w Pałacu Prezydenckim!

— Nudziarstwo — skwitował Maciek z kwaśną miną.

— Jest jeszcze znaleźne — dodałem, ostatkiem sił broniąc zawodowego honoru. — Jeśli znajdzie się coś cennego, na przykład złoto, klejnoty albo obraz i odda się państwu, można liczyć na znaleźne, stanowiące jakiś procent od wartości znaleźiska.

— A ile można by dostać za diadem ozdobiony złotymi makami? — zapytała Ania.

— Myślę, że niemało — odparłem, spojrzawszy na zegarek i pomyślałem, że jeśli zaraz nie wyruszę, pani Zakrzewska będzie musiała na mnie czekać. — Pogadamy o tym wieczorem, zgoda? — zaproponowałem, wsiadając do wehikułu.

Skinęli głowami.

Odpaliłem silnik i już miałem ruszyć, kiedy Ania podbiegła do wehikułu i zajrzała przez okno po stronie kierowcy, w którym opuściłem szybę.

— Nie zapytał mnie pan! — położyła ręce na dolnej framudze, próbując w ten sposób zatrzymać wóz.

— O co cię nie zapytałem?

— Kim jest kobieta narysowana na szybie — skinęła głową w stronę domu.

A kim ona jest?

— To Anna, pani, dla której zbudowano kiedyś nasz dom — odparła dziewczynka i po chwili ciszy, dodała szeptem, zagryzając dolną wargę: — Ona ma na głowie diadem ze złotymi makami.

Skinąłem głową z uśmiechem, zmrużyłem oko i bez słowa ruszyłem spod willi.

„A więc ryba chwyciła!” — uśmiechnąłem się do siebie, wyjeżdżając przez bramę na ulicę Jagiellońską. Udało mi się odciągnąć uwagę moich nastoletnich znajomych od prawdziwego powodu mego przyjazdu do willi „Anny” i skierować ich uwagę na poszukiwanie wymyślnego naprędce skarbu.

„Popytaj ludzi, dowiedzą się trochę o historii swojego domu, pokopią w ogrodzie, a przy okazji może uda im się znaleźć coś ciekawego. Ba! Kto wie, czy nawet nie będzie to coś naprawdę cennego? Jakaś srebrna łyżka, naparstek, kolczyk” — myślałem jadąc przez stary Konstancin w stronę kawiarni „Flora”.

Zastałem panią Zakrzewską nad dopitą w połowie filiżanką kawy. Siedziała w głębi kawiarni. Od innych gości oddzielały ją trzy puste stoliki. Dobrze wybrała miejsce na sekretne spotkanie.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziałem, odsuwając krzesło.

Starsza pani machnęła ręką z uśmiechem i zapytała, czego się napiję.

— Nie wypada, żeby kobieta płaciła... — próbowałem się bronić.

— Jestem już w takim wieku — uśmiechnęła się pani Barbara — że nie obowiązują mnie te śmieszne konwenanse. Poza tym jestem panu coś winna za pomoc.

— Na razie w niczym jeszcze nie pomogłem — zastrzegłem. — Dopiero co się wprowadziłem i rozejrzałem... — rzekłem i opowiedziałem jej o pierwszych godzinach w „Annie”.

— No, no, panie Pawle — pogroziła mi żartobliwie palcem. — Nieładnie tak okłamywać, dzieci, no ale miał pan dobre intencje. Miłe szkraby, chociaż nieco uciążliwe... Dziewczynka jest nad wiek bystra. Nie zdziwiłabym się, gdyby udało jej się znaleźć ten diadem...

— Tego diadematu nie da się znaleźć — odparłem. — Istnieje tylko w mojej wyobraźni.

— I na rysunku na szybie — przypomniała mi pani Zakrzewska, uśmiechając się przekornie. — A sam pan wie, jak to jest. Gdzie diabeł nie może...

Zamilkłem i zacząłem czytać menu.

— Zawsze okrasza pan zamówienia takimi dygresjami? — zapytała z uśmiechem. — Kelnerzy muszą pana uwielbiać.

— To zależy od rozmówcy — odrzekłem nieco opryskliwie wodząc oczami między americaną, macchiato i lungo. — I od kelnera. Poproszę latte z podwójnym espresso — zdecydowałem się w końcu.

Ponieważ w filiżance pani Barbary nic już prawie nie zostało, zamówiła dla nas po kawie i ciastku — dla mnie wuzetkę, dla siebie ptysia. Ciastko i kawa poprawiły mi humor. Pani Zakrzewska to zauważyła i przeszła do sedna naszego spotkania.

— Chyba nadszedł czas, by opowiedzieć panu o mieszkańcach „Anny”. Szkoda, że nie mogę zapalić — westchnęła ciężko. — No, ale takie czasy. Wracając, do „Anny”, dzieci już pan poznał...

— Sekundę, pani Barbaro — przerwałem jej — chciałbym sobie wszystko dokładnie zanotować.

Skinęła przyzwalająco głową, ja zaś sięgnąłem do torby po notesik. Piętnaście sekund później, uzbrojony w długopis, spojrzałem na nią wyczekująco.

— W domu jest osiem mieszkań. Cztery na parterze, tyle samo na pierwszym piętrze. Drugie piętro wynajmuje lokalny klub seniora. Jedno z mieszkań zajmuje pan, jedno ja, a więc pozostaje sześć rodzin. Zajmują pierwszy lokal po prawej stronie, patrząc od wejścia. Obok mnie mieszkają państwo Karpińscy, rodzice Maćka...

Długopis zatańczył nad kartką kreśląc obraz małej społeczności, zamieszkującej secesyjny budynek.

PARTER

MIESZKANIE NR 1

Barbara Zakrzewska

MIESZKANIE NR 2

Rafał i Sonia Karpińscy oraz ich syn Maciek. Młode małżeństwo na dorobku. Rafał kończy doktorat z historii i wykłada na Uniwersytecie Warszawskim, Sonia ma kwaciarnię w Konstancinie. Podobno mąż jest na jej utrzymaniu, ale nawet jeśli to prawda, dobrze się maskują. Rafał należy do Towarzystwa Miłośników Konstancina. Bardzo spokojni, mili i przyjaźni, może nawet trochę nudni.

MIESZKANIE NR 3

Teresa Dąbek, z córką Zośką. Samotna matka, wychowująca dziesięcioletnią córkę. Zaharowuje się całymi dniami pracując w biurze projektowym po to, żeby, to jej słowa: „zapewnić wszystko córeczce”. Intencje ma dobre i szczerze, ale wie pan, co jest takimi intencjami wybrukowane. Bachor, bo inaczej tego diabelskiego nasienia nazwać nie sposób, jest nie do zniesienia — hałasuje, rysuje po ścianach, podejrzewam nawet, że to ona wybiła mi szybę w lecie zeszłego roku. Widzą to wszyscy, oczywiście oprócz matki. Ona broni córki, my bronimy siebie i konflikt gotowy.

MIESZKANIE NR 4

Grzegorz Kruk. Emeryt. Milkliwy i nietowarzyski. Mieszkał w „Annie”, zanim ja się tu sprowadziłam, ale tak naprawdę nie rozmawialiśmy ze sobą ani razu. Wymieniamy tylko grzeczności na klatce schodowej. Całymi dniami przesiaduje w domu. Raz, podczas spaceru spojrzałam w jego okno, które nie było zasłonięte i zobaczyłam sztalugi w pustym pokoju. Patrzyłam, ale Kruk wszedł do pokoju i spojrzawszy na mnie wściekłym wzrokiem, zaciągnął zasłonę. To było jakieś dziesięć lat temu. Od tamtej pory nigdy nie widziałam, żeby odsłonił zasłony w oknie. Nie wiem, gdzie pracował wcześniej... Tak jak już wspomniałam, nigdy z nim nie rozmawiałam.

PIERWSZE PIĘTRO (patrząc od schodów — od prawej do lewej)

MIESZKANIE NR 8

Wdowa po pułkowniku Odrowążu — pani Stanisława. Bardzo sympatyczna

osoba. Całkowicie oddana pamięci po mężu, znakomitym wojskowym, który odznaczył się wielkim męstwem już w kampanii wrześniowej. Walczył też pod Monte Cassino. Przez wiele lat mieszkali w Wielkiej Brytanii. Mąż był od niej starszy o jakieś dwadzieścia lat, a w dodatku wyspiarski klimat mu nie służył. Pod koniec życia odnowiła się u niego nabyta w czasie wojny i zaleczona gruźlica. Po jego śmierci, jakieś piętnaście lat temu, pani Stanisława wróciła do Polski, a ponieważ pochodzi z Konstancina, zamieszkała w „Annie”. Proszę ją odwiedzić. Jest co prawda nieco sfiksowana na punkcie męża; urządziła nawet coś w rodzaju ołtarzyka ku czci pułkownika Odrowąża, ale to zupełnie nieszkodliwe, a nawet uroczne. Pani Stanisława potrafi wspaniale opowiadać o swoim mężu i życiu na emigracji.

„Chyba nie tylko o tym” — pomyślałem, przypominając sobie fragment przeprowadzonej dzisiaj rano rozmowy.

MIESZKANIE NR 7

Renata Pestka, nauczycielka w szkole podstawowej. Stara panna, chociaż nie wiem, czy dzisiaj to określenie pasuje do niespełna trzydziestoletniej kobiety. Całymi dniami pracuje i chyba bardzo lubi swoje zajęcie. Byłam u niej kilka razy na herbacie i widziałam całą ścianę wyklejoną laurkami i rysunkami wykonanymi przez dzieci. Podchodzi do swojej pracy poważnie — ma sporą biblioteczkę literatury pedagogicznej, prenumeruje nawet chyba jakieś specjalistyczne czasopismo. To bardzo miła dziewczyna. Pomaga zawsze, gdy ją o to poprosić, a przy tym się nie narzuca. Szkoda tylko, że nie ma żadnego kawalera, ale kto wie, może jeszcze poczuje wolę Bożą, jest w końcu taka młoda.

MIESZKANIE NR 6

Sułkowie — Damian i Daria. Brat i siostra. Daria to matka znanej już panu Ani. Cisną się razem we trójkę na kilku metrach kwadratowych, co powoduje częste i zrozumiałe w tej sytuacji kłótnie. Na szczęście oboje pracują — Damian jest konduktorem, Daria gotuje w restauracji. Często się mijają i tylko dlatego chyba jeszcze się nie pozabijali. Domyśla się pan, kto cierpi na tym najbardziej?

— Pod piątką mieszka pan, panie Pawle, i na tym kończy się lista stałych lokatorów. Na drugim piętrze jest suszarnia, lamus i klub seniora, w którym od rana do wieczora tłum apatycznych staruszków ślęczy nad szachami i brydżem, popijając ziołowe herbatki — ostatnie zdanie wypowiedziała z naganą w głosie: — Papierosa nawet nie zapalą nie mówiąc już o innych rozrywkach, godnych mężczyzny...

Przełknąłem ślinę, bojąc się zapytać, co pani Zakrzewska uważa za typowe rozrywki brzydszej połowy ludzkości.

— Czy od naszej ostatniej wizyty zdarzyło się coś dziwnego lub podejrzanego? — zapytałem po chwili.

Pokręciła głową w zaprzeczeniu, a potem dodała:

— Może teraz będzie już spokój? Może sprowadziłam pana do „Anny” bez sensu... — szepnęła bardziej do siebie niż do mnie, przyglądając się resztkom kawy na dnie swojej filiżanki.

— Proszę być dobrej myśli, przestępcy często próbują zwieść swoje ofiary dając im chwilę wytchnienia, by późniejszy atak był bardziej zaskakujący — rzekłem pocieszająco, zdając sobie dopiero teraz sprawę, jak absurdalnie brzmią moje słowa. Pani Zakrzewska też to zauważyła, bo uśmiechnęła się figlarnie.

— Chciałem tylko powiedzieć — tłumaczyłem się jak sztubak — że musimy spokojnie poczekać na ich kolejny ruch. Jeśli pani przypuszczenia są słuszne, uderzą prędzej niż później...

— Ale tym razem to pan, doświadczony detektyw, będzie na nich czekał — dokończyła z ufnością w głosie.

— Tak, będę czekał — odrzekłem, nie będąc jednak wcale pewnym, że to cokolwiek zmienia.

Na podwórku przed „Anną” o mało co nie rozjechałem dziesięcioletniej dziewczynki.

Wybiegła wprost przed maskę z za blaszanego garażu stojącego po lewej stronie. To, że nie wpadła mi pod koła, zawdzięczała tylko temu, że jechałem bardzo powoli i wduśliłem pedał hamulca, gdy tylko ją zobaczyłem. Krew odpłynęła mi z twarzy, wybałuszyłem oczy i przełknąłem ślinę, ale ona nie przejęła się zbytnio tym, że o włos minęła ją zimna kosa śmierci. W podskokach przebiegła przed maską wehikułu, przykucnęła obok kałuży i zaczęła w niej grzebać patykiem.

Bardzo powoli zaparkowałem tyłem do willi i drżącymi rękami przekręciłem kluczyk w stacyjce. Wziąłem trzy głębokie wdechy i zamknąłem oczy, żeby się uspokoić. Kiedy znów je otworzyłem, spojrzałem w lusterko nad przednią szybą. Ten mały diabeł ciągle tam był.

Uważnie przyjrzałem się dziewczynce. Miała jakieś dziesięć lat i dobrze się maskowała. Blond loki opadające wokół rumianej buzi z policzkami jak u kościelnego aniołka, niebieskie oczy i okularki w różowych oprawkach. Gdyby ubrać ją w różową sukienkę, mogłaby startować w konkursie na najgrzeczniejsze dziecko na kuli ziemskiej. Ale ona nie miała na sobie sukienki, tylko dzinsowe spodnie sięgające kolan i koszulkę z jakimś napisem.

Wysiadłem z wehikułu i pewnym krokiem przemierzyłem dystans dzielący mnie od kałuży. Stałem nad dziewczynką i powiedziałem poważnym tonem:

— Powinnaś bardziej uważać, moja panno. Nie wolno tak wybiegać na drogę. Pomyślałaś, co by się stało, gdybym jechał trochę szybciej.

Dziewucha na sekundę oderwała się od mącenia brudnej wody patykiem i wreszcie zaszczyciła mnie spojrzeniem. Podnosząc głowę, odsłoniła napis na koszulce, który głosił: „OD JUTRA BĘDĘ GRZECZNA”. Przez chwilę patrzyła na mnie obojętnie, a potem wróciła do swego bezsensownego zajęcia.

— Co za bachor — syknąłem pod nosem, zupełnie wyprowadzony z równowagi i ruszyłem do drzwi. Gdy się za mną zamknęły, usłyszałem jak coś mokrego uderza w ich szybę. Odwróciłem się i zobaczyłem, że do szkła przykleiła się grudka błota. Ziemia zmieszana z wodą rozmazała się i spływała powoli w dół okna. Wyrzałem na podwórko, ale dziewczynka, odwrócona do mnie plecami dalej zajęta była wodą w kałuży.

Domyśliłem się, z kim miałem przyjemność właśnie się spotkać.

— Mnie też jest miło cię poznać, Zosiu — mruknąłem i ruszyłem do mieszkania numer pięć po niemilosierdzie skrzypiących schodach.

Do wieczora było spokojnie. Całe popołudnie rozpakowywałem graty i urządziłem swoje nowe gniazdko. Pokój, z którego można było wyjść na werandę, przeznaczyłem na sypialnię, w drugim powstało coś na kształt salonu.

Około dziewiętnastej skończyłem wczesną kolację, na którą złożyły się sardynki z puszki i

dwie bułki, naląłem sobie do szklanki zimnej wody z chłodzącej doskonale lodówki i przeszedłem do pokoju.

Włączyłem przywieziony z kawalerki telewizor. Wyłożony na dywanie, podparty na wyciągniętych do tyłu ramionach, obejrzałem końcówkę serialu policyjnego, w którym rosły funkcjonariusz przypominający z twarzy hiszpańskiego granda, łamiąc wszystkie zasady przesłuchań, wyciągnął z podejrzanego prawdę o miejscu ukrycia skradzionego obrazu, potem zwyczajowa dawka reklam i na ekranie pojawiła się prezenterka w falbaniastej bluzce. Zapowiedziała wydarzenia dnia: początek kampanii przed zbliżającymi się wyborami samorządowymi, zwycięstwo Hiszpanii w mistrzostwach świata w piłce nożnej, kolejki na wschodnich granicach i schwytanie przemytników z ładunkiem papierosów, umieszczonym w dwóch TIR-ach oraz zbliżającą się nową falą upałów.

Usłyszawszy ostatnią z wiadomości, odruchowo spojrzałem za okno. Ponieważ nie miałem siły zawiesić firanek ani zasłon, mogłem podziwiać przesuwające się po szarym niebie zwały brych chmur. Popołudnie było parne i szeroko otworzyłem okna, które poruszały się delikatnie w rytm podmuchów wiatru, nie przynoszące jednak ani odrobiny ochłody.

„Jeśli wieczorem nie będzie burzy, to nie nazywam się Paweł Daniec” — pomyślałem, popijając z oszronionej szklanki i wróciłem do oglądania dziennika.

Na ekranie Andres Iniesta strzelił właśnie zwycięskiego gola dla drużyny z Półwyspu Iberyjskiego, a czerwono-żółte sektory na stadionie w Johannesburgu oszalały z radości, kiedy zza ściany dobiegły mnie jakieś niewyraźne pomruki.

Odezwała się moja detektywistyczna żyłka. Poszedłem za jej głosem. Ściszyłem telewizor i na palcach podkradłem się do ściany, którą dzieliłem z mieszkaniem numer 6. „Sułkowie — Damian i Daria. Brat i siostra” — przemknęło mi przez myśl zdanie zapisane kilka godzin temu w notatniku.

— Przecież nie robię tego specjalnie! — zabrzmiał podniesiony kobiecy głos.

— Ale mimo wszystko mnie obudziłaś... — zrzędził złośliwie rozespany tenor.

— I tak zaraz idziesz do pracy...

— Wiesz dobrze, że nie o to chodzi — w męskim głosie zabrzmiała stal. — Po prostu mnie nie szanujesz. Ty i twoja córka macie mnie za nic — mężczyzna nie podnosił głosu. Mówił tonem suchym i chłodnym; cierpła mi od tego skóra na karku. — I to tylko dlatego, że jestem konduktorem.

— Przede wszystkim jesteś mężczyzną! — odpaliła kobieta. — Powinieneś zawalczyć i...

— ...i się z stąd wynieść — wycedził mężczyzna przez zęby. — O to ci chodzi?

— Nie — kobieta spuściła z tonu — oczywiście, że nie o to... — przez chwilę panowała cisza; to kobieta ją przerwała: — Ale sam dobrze wiesz, że się tu dusimy, to klatka, a nie mieszkanie.

— Jeśli ci tu źle — w głosie mężczyzny zabrzmiała tym razem złośliwość — to sama poszukaj innego gniazdka dla siebie i swojej córeczki. Ja nie mam zamiaru się stąd nigdzie ruszać...

— Ale Damian! — krzyknęła kobieta z rozpaczą. Taką samą jak rozpacz niesłusznie wtrąconego do celi więźnia, który wreszcie zrozumiał, że choćby krzyczał i bił pięściami w drzwi celi przez cały dzień, nikt na to nie zareaguje.

Męskie imię rozbrzmiało w ciszy i było ostatnim słowem, które dobiegło zza ściany.

Wróciłem na dywan, ułożyłem się wygodniej, podkładając pod głowę jaśka i pogłośniłem telewizor. Wiadomości już się skończyły, teraz omawiano aktualności sportowe, które zdominował triumf Hiszpanii, potem pogoda i kolejna zapowiedź zbliżających się upałów, z drobnym

zastrzeżeniem, że kanikulę poprzedzą gwałtowne burze.

Zasnąłem, gdy na ekranie Luke Skywalker dowiedział się, kto jest jego ojcem, a ostatnią rzeczą, którą pamiętam nie była wcale spadająca w bezdenną otchłań odcięta laserowym mieczem ręka w czarnej rękawicy, ale wilgotna ciemność, która wkradła się do pokoju razem z zapachem ozonu.

Trzask. Metal upadł na kafelki.

Obudziłem się i podniosłem głowę. Eee, nie. Machnąłem ręką. Pomyliłem się. To skrzydło okna uderzało o framugę, dzwoniąc szybko wprawionymi w wypaczone deski. Opuściłem głowę. Od okna szedł wilgotny chłód, ale nie był na tyle dokuczliwy, żeby mi się chciało podnosić.

Przez błony powiek przedostało się trupie światło pioruna. Po chwili do uszu dotarł pomruk gromu, niczym wielki gong dając znak kroplom deszczu do crescendo na werblu rozklekotanego okna. O parkiet uderzyły miękko pierwsze drobinki wody.

Podniosłem się z podłogi i podszedłem do okna. Ozdobne, secesyjne rygle pracowały opornie, ale po chwili okno zostało zamknięte, a ja powlokłem się do sypialni.

Usiadłem na skrzypiącej kozetce, zdjąłem skarpetki i już miałem lec bez przytomności, ale z głębi mieszkania dobiegł mnie znajomy dźwięk. Coś metalowego chrobotало na kafelkach.

„Kafelki są tu tylko w kuchni” — pomyślałem odruchowo i nadstawiłem ucha. Dźwięk się powtórzył.

„Cokolwiek to jest, ma u mnie przerabane” — przemknęło mi przez głowę, kiedy szedłem do kuchni, z której płynął ku mnie podmuch zimnego powietrza.

W jej ciemnym wnętrzu poruszało się coś niedużego.

„Szczur, a może kuna?” — zgadywałem w myślach, przyrzekając sobie, że nigdy więcej nie zostawię tu otwartego okna, ale potem intruz podniósł głowę i wszystko stało się jasne.

Dziesięć centymetrów nad podłogą błysnęły zieleńią dwa okrągłe światełka przecięte w środku pionowymi wrzecionami zwężonych źrenic. Rozległ się niezadowolony, prawie syczący pomruk.

Nie patrząc na ścianę, znalazłem wyłącznik światła i zmieniłem jego pozycję.

Na podłodze kuchni, nad puszką sardynek wyciągniętą z reklamówki, w którą z braku kubła wrzucałem śmieci, stał chudy, bury kot. Poszarpana sierść w ciemniejsze pręgi, harde spojrzenie i odgryzione niemal w połowie ucho — tak mógł wyglądać tylko dachowiec.

Ujrawszy mnie pokazał zębki i zasyczał ostrzegawczo. Wyprężył się do skoku i zamarł.

— Zapraszam do wyjścia — rzekłem zmęczonym głosem, wskazałem ręką drzwi i zrobiłem mu miejsce, żeby mógł się wynieść.

Rzucił mi pogardliwe spojrzenie, zawinął ogonem, wyprostował go niczym drut i dostojnym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Po trzech sekundach jego pyszczek znalazł się w okolicach moich kostek, a ja poczułem nieprzyjemny chłód w okolicach karku.

Instynkt mnie nie omylił. Zbliżywszy się do mnie podstępnie, kocur machnął lekko łapą i zostawił na mojej gołej stopie pięć czerwonych kresk

— Skórkowany... -jęknąłem, czując pieczenie. — Czekaaj, niech cię dopadnę! — krzyknąłem.

Ale kot nie czekał. Porzucił sardynki i jednym susem wskoczył na szafkę, z szafki na parapet, z parapetu w szumiącą ulewą noc i znikł.

— Tchórz — mruknąłem pod nosem i powlokłem się do szafki, gdzie po południu schowałem apteczkę.

Przez całą noc padał deszcz, ale rano wiatr przegnał chmury i przez okna w mojej nowej sypialni wpadało mocne słońce. Promienie podrażniły ranę na stopie zostawioną tam wczoraj przez mściwego kota. Pieczenie wyrwało mnie ze snu. Poczłapałem do łazienki. Wziąłem prysznic, przemyłem ranę wodą utlenioną i zakleiłem ją plastrem.

— Do wesela się zagoi — pocieszyłem się, kończąc opatrywanie stopy.

Ogoliłem się, wymyłem zęby, a potem włożyłem świeżą koszulę i marynarkę pasującą do spodni w kolorze khaki. Wizyta, którą miałem zamiar dzisiaj złożyć, wymagała ode mnie, żebym porządnie wyglądał. Nie to żebym na co dzień przypominał kloszarda, ale swobodny strój preferowany przeze mnie zazwyczaj, nie nadawał się na spotkania z oficjelami.

Byłem gotowy o dziesiątej. Sprawdziłem jeszcze, czy wziąłem ze sobą ministerialną legitymację i wyszedłem na korytarz. Zamykając drzwi zauważyłem, że za pomocą taśmy klejącej przypięto do nich złożoną na pół kartkę z moim imieniem wypisanym na niej starannym, choć zdradzającym młody wiek nadawcy, charakterem pisma.

W środku znajdowała się wiadomość od Maćka i Ani:

Szanowny Panie Pawle!

Wczoraj wieczorem nie otwierał pan drzwi, dlatego zostawiamy ten list. Wracamy ze szkoły o pierwszej. Jak zjemy obiad, to do Pana przyjdziemy. Niech Pan na nas czeka, bo to BARDZO, BARDZO WAŻNE!!!

*Pozdrowienia i uściski
Ania i Maciek*

„Czyżby dzieciaki coś znalazły?” — zastanawiałem się zaintrygowany enigmatycznym listem zakończonym dramatycznie trzema wykrzyknikami. „Z drugiej strony, jeśli obiad jest dla nich ważniejszy... Zresztą przekonasz się o pierwszej, Pawle” — uciąłem rozważania, schowałem kartkę do kieszeni i, zamknąwszy mieszkanie na trzy spusty, ruszyłem do wyjścia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

„OGRYZEK” I JEGO PRZYJACIÓŁKA • CÓRKA I MATKA • SPISEK CZAI SIĘ WSZĘDZIE • PRZEŚWIETLONY • CZEGO ASPIRANT GRZYMAŁA NAUCZYŁ SIĘ W JAPONII • STATYSTYKA • TRZEBA CZEKAĆ • CHYTRY PLAN GWIAZDORA • Z PAMIĘTNIKA ANI • ŁAKOMCZUCH • SKRZYNECZKA Z HEBANU • FOTOGRAFIA • GLOBUS • CZY TO DZIECKO OSZALAŁO? • CZEKOLADOWY SZANTAŻ

Zosia siedziała na schodku przy wejściu i tuliła kota. Od razu rozpoznałem nocnego intruza — niekompletne ucho, pręgi na burym futerku, wyzywające spojrzenie. Kot też mnie rozpoznał. Bezpieczny w ramionach dziewczynki nie raczył nawet na mnie fuknąć, zmrużył tylko oczy, a na jego pyszczku pojawiło się coś w rodzaju uśmiešku.

— Spokojnie, „Ogryzek” — przemawiała do zwierzaka dziewczynka, głaszcząc go po łebku i traktując mnie jak powietrze. — Ten pan nic ci nie zrobi. Nie jest zły dla kotków. Woli krzyczeć na małe dziewczynki.

„Skąd u małego dziecka tyle ironii” — pomyślałem, a na głos rzekłem zdecydowanie:

— Nie powinnaś być w szkole?

Ogryzek napiął wszystkie mięśnie i spojrzał na mnie czujnie.

— Widzisz, kotku? — powiedziała dziewczynka. — Jest tak, jak ci mówiłam.

— Słuchaj — tym razem w moim głosie było trochę łagodności — twoja mama na pewno będzie się martwić, kiedy dowie się...

— Mamo! — krzyknęła nagle dziewczynka, podnosząc się na równe nogi i wypuszczając z rąk kota, który fuknął gniewnie w moją stronę, a potem zniknął za regiem domu.

Z okna na parterze wychyliła się trzydziestokilkuletnia kobieta o włosach w kolorze kasztanu. Jej ładna twarz była szara od zmęczenia. Uśmiechnęła się do córki i zapytała wysokim głosem:

— O co chodzi, kochanie?

— Ten pan pyta, czemu nie jestem w szkole i czy o tym wiesz. Jest tu chyba nowy, wprowadził się wczoraj.

Poczułem się nieswojo.

Kobieta przez chwilę uważnie mi się przyglądała, a potem rzekła spokojnym głosem:

— Proszę zaczekać na dole, zaraz wszystko wyjaśnię.

Chwilę później otworzyła drzwi wejściowe i zanim ona zjawiała się na podwórku, zapowiedział ją mocny zapach modnej wody toaletowej.

— Teresa Dąbek, mieszkam pod trójką na parterze — przedstawiła się, wyciągając do mnie jedną rękę, podczas gdy drugą poprawiała połą płaszczyka, narzuconego w pośpiechu na chude ramiona; zrobiła to w bardzo kobiecy sposób.

— Paweł Daniec, nowy lokator piątki na pierwszym piętrze — przedstawiłem się. — Przepraszam, że się wtrąciłem, ale myślałem, że mała biega tu sama bez opieki.

— Dziękuję za zainteresowanie — odparła kobieta bez cienia pretensji.

— Ale po raz pierwszy od niepamiętnych czasów udało mi się dostać od mojego szefa wolny dzień w tygodniu i dzięki temu mam aż trzy dni bez pracy pod rząd, a nie tylko niedzielę, więc postanowiłam, że wykorzystam ten długi weekend, żeby pobyć trochę z Zosią.

— Cieszę się, że mała jest bezpieczna — odparłem, czując się coraz bardziej głupio.

— A ja dziękuję za troskę — odparła pani Dąbek z uśmiechem.

— Chyba już pójdę — zerknąłem na zegarek. — Zaraz mam spotkanie.

— Miło było pana poznać — rzekła na pożegnanie pani Teresa i, poprosiwszy Zosię, by „nie siedziała na kamieniu, bo dostanie wilka”, zniknęła za drzwiami.

Poszedłem w kierunku ulicy Jagiellońskiej wolnym krokiem. Ręki sobie za to uciąć nie dam, ale miałem wrażenie, że odprowadzał mnie, cichnący w miarę jak oddalałem się od „Anny”, chichot małej dziewczynki.

Przyjął mnie sam komendant.

Wyjaśnienie z czym przychodzę zajęło mi kwadrans. Szef konstancińskiej policji, który czytał w prasie o kilku śledztwach, które prowadziłem, wysłuchał mnie uważnie, a potem odesłał do jednego ze swoich podwładnych — aspiranta Grzymały, który miał sprawdzić interesujące mnie dane i pomóc w razie czego w śledztwie.

— To świetny policjant — komplementował podwładnego szef komendy.

— Jest nieco drobiazgowy i uparty, ale w naszej pracy to raczej zalety niż wady. Bywa trochę oschły i czasami zbyt kurczowo trzyma się regulaminu, ale zyskuje przy bliższym poznaniu. Jestem pewien, że będzie się wam doskonale współpracowało.

Aspirant Grzymała rezydował w osobnym gabinecie na końcu korytarza na parterze komisariatu. Zapukałem, ze środka krzyknęto „Wejść!” i znalazłem się oko w oko z pięćdziesięcioletnim, którego ciało było tak chude i żylaste, jakby jego właściciel uprawiał wyczynowo biegi długodystansowe.

Szczupła, składająca się wyłącznie z mięśni bez grama tłuszczu szyja wystawała z zapiętego na ostatni guzik kołnierzyka koszuli, pozostawiając sporo luzu i gdyby nie widziało się pozostałej, doskonale dopasowanej do ramion i klatki piersiowej części ubioru, można by pomyśleć, że jest o kilka numerów za duża.

Aspirant pisał coś na komputerze. Nie odrywając wzroku od monitora i nie przestając wprawnie biegać po klawiszach cienkimi palcami, powiedział służbiście:

— Proszę spocząć i chwilę poczekać, zaraz skończę.

Nie rzucał słów na wiatr. Pół minuty później wcisnął energicznie enter i obrócił się w moją stronę. Dopiero teraz mogłem dokładnie przyjrzeć się jego twarzy.

Oblicze miał tak szczupłe, że widać było na nim każdą zmarszczkę, czoło przecinały trzy poprzeczne bruzdy, kreskę ust zaciskał tak mocno, że prawie nie widać było warg. Obrazu dopełniały duży, cienki nos, zapadłe policzki i czujne, prawie czarne oczy przypominające małe węgielki — jednym słowem twarz służbisty, który równie dużo wymaga od siebie, co od innych. Utrzymane w perfekcyjnym porządku biurko, za którym siedział, tylko pogłębiało pierwsze wrażenie.

— Słucham — rzekł bez cienia uśmiechu, tonem jednocześnie oschłym i pełnym zainteresowania. Widać było, że lubi swoją pracę i ciekawi go, co mam do powiedzenia, tylko wrodzony dystans nie pozwala mu tego okazać w bardziej wylewny sposób.

Opowiedziałem mu o prośbie pani Zakrzewskiej, tajemniczych incydentach i moich przypuszczeniach, że mógł za tym stać któryś z lokalnych rzezimieszków. Przeszedłem na policję, wyluszczyłem na koniec, by poprosić o namiary na tutejszych złodziejasków, którzy byliby w stanie dokonać podobnego przestępstwa.

— Włamanie do willi „Anna”... — wzrok aspiranta Grzymały na trzy sekundy przestał być czujny; funkcjonariusz najwyraźniej przypominał sobie zajście sprzed kilku dni i chyba sprawiało mu to dużą przyjemność, bo przez tych kilka chwil beztroski, na które sobie pozwolił, wyglądał jak zakochany wpatrzony w zdjęcie wybranki.

Szybko jednak doszedł do siebie. Znów spojrzał na mnie przenikliwie i trzeźwo.

— No, dobrze — powiedział. — Ale ja pana przecież wcale nie znam. Żąda pan ode mnie danych operacyjnych...

— Nie żądam, tylko proszę — zauważyłem grzeczenie.

— To nie zmienia istoty rzeczy — mówił dalej niezrażony. — Muszę mieć pewność, że rozmawiam z właściwą osobą, a nie jakimś hochsztaplerem.

— Nie ma co, szczerze stawia pan sprawę — rzekłem, lekko urażony tym „hochsztaplerem”.

— Inaczej nie potrafię i jestem z tego dumny — odparł niezrażony aspirant. — Czy ma pan jakiś dokument potwierdzający, że jest pan osobą za którą się pan podaje.

Podąłem mu legitymację, dodając nieco złośliwie:

— Może pan też zadzwonić do swojego szefa. Przed chwilę z nim rozmawiałem.

Sięgnął do szuflady biurka po szkło powiększające i za jego pomocą bardzo uważnie oglądał moją legitymację. Trwało to przynajmniej dziesięć minut.

— Wygląda w porządku, ale taki papier łatwo podrobić — skwitował oględziny. — Żeby się upewnić, muszę zadzwonić do ministerstwa.

— Mogę podać panu aspirantowi numer — rzekłem usłużnie, ale on tylko uśmiechnął się w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: „Jeszcze ci, ptaszku, nie ufam”, po czym przeniósł swoje zainteresowanie na ekran komputera. Przez kilka sekund manipulował myszką a potem, ciągle ignorując moją obecność, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

— Poproszę z działem kadr — rzucił do słuchawki, uzyskawszy połączenie. Chwilę czekał, a potem powiedział: — Dzień dobry, starszy aspirant Tomasz Grzymała z komendy policji w Konstancinie. Dzwonię do państwa, by potwierdzić tożsamość jednego z pracowników ministerstwa — zamilkł, a potem dodał: — Oczywiście — i odłożył słuchawkę. Zapatrzył się na aparat telefoniczny, jakby wykonano go ze szczerego złota, a nie chińskiego tworzywa sztucznego.

Po minucie odezwał się sygnał aparatu. Grzymała natychmiast podniósł słuchawkę.

— Komenda policji w Konstancinie — zameldował — starszy aspirant Tomasz Grzymała przy telefonie. Witam ponownie. Bardzo się cieszę — przy tych słowach uśmiechnął się półgębkiem do aparatu. — Bardzo dziękuję. Mogę dyktować? — zerknął do mojej legitymacji i podał osobie po drugiej stronie wszystkie dane w niej zawarte, łącznie z numerem dokumentu. — Powtórzyć?... Doskonale... Cieszę się — znów krzywy uśmiech. — Tak. Proszę mi przefaksować jego zdjęcie, pesel oraz numer i serię dowodu osobistego. Tak, ten sam. Dziękuję za współpracę i życzę miłego dnia. Do widzenia.

Skończył rozmowę i znów odłożył słuchawkę. Tym razem czekał na sygnał tylko trzydzieści sekund, a kiedy zabrzmiał dzwonek, słuchawka natychmiast poszybowała do jego ucha. Ktoś po drugiej stronie musiał poprosić go o sygnał faksu, bo Grzymała nacisnął guzik na stojącej obok maszynie z wbudowaną drukarkę. Odłożył słuchawkę i chwilę później wyjął z podajnika kartkę papieru, na której dostrzegłem swoją niezbyt wyraźną podobiznę.

— Poproszę o pański dowód — zwrócił się wreszcie do mnie, a uzyskawszy dokument po raz trzeci stracił zainteresowanie moją osobą. Czekałem przynajmniej dwadzieścia minut, zanim sprawdził dowód za pomocą szkła powiększającego, porównał zdjęcie z dokumentu z tym przysłanym faksem, a oba z siedzącym przed nim oryginałem.

— W porządku — stwierdził w końcu z miną świadcząca o satysfakcji z dobrze wykonanej roboty. — Proszę wybaczyć, ale wróg czai się wszędzie i trzeba być czujnym — nie mogłem się nadziwić, że wypowiedział ten frazes zupełnie na poważnie. — Zwracam dowodzik — przesunął dokument po lśniącej blacie biurka, a kiedy schowałem go do portfela, podniósł się i wyciągnął w

moją stronę kościstą dłoń.

— Nie mieliśmy okazji się poznać — rzekł ze sztucznym uśmiechem. — Aspirant Tomasz Grzymała.

Podniosłem się i, chociaż miałem spore wątpliwości, co do sensowności prezentacji, biorąc pod uwagę procedurę, której przed chwilą byłem świadkiem i obiektem, odparłem:

— Paweł Daniec z Departamentu Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki w randze starszego kustosza.

— Bardzo mi miło — aspirant skinął lekko głową ściskając jednocześnie moją rękę. — Kawa czy herbata?

— Herbata — odparłem i opadłem na krzesło. Obserwując oszczędne, jakby wymierzone linijką ruchy aspiranta Grzymały zastanawiałem się, czy w podobny sposób jak to uczynił ze mną sprawdza każdego nowego znajomego i, jeśliby tak było, ile osób liczy grono jego przyjaciół.

Po chwili zanurzyłem usta w herbacie.

— Znakomita — rzekłem bez cienia kurtuazji i zgodnie z prawdą. Aspirant znał się na przyrządzaniu mojego ulubionego napoju równie dobrze jak na spiskach. — Gdzie pan się nauczył tak świetnie parzyć herbatę? — spróbowałem nieco rozładować atmosferę.

— W Japonii — odparł i żeby nie było żadnych wątpliwości, co robił w Kraju Kwitnącej Wiśni, dodał szybko — podczas wyjazdu służbowego na konferencję poświęconą prewencyjnym działaniom policji z różnych stron świata. To była podróż mojego życia — uśmiechnął się do swoich wspomnień w taki sposób, że biura podróży gotowe byłyby zapłacić duże pieniądze, by sfilmować w tym momencie jego twarz i pokazywać w swoich reklamach, jako przykład zadowolenia z ich usług. — Zachowałem nawet notatki z wykładów i często do nich sięgam.

„Można było się tego spodziewać” — skomentowałem jego wynurzenia w myślach.

— Ale na tych wykładach nie uczono chyba parzenia herbaty? — zapytałem z niewinną miną.

— Oczywiście, że nie — odparł aspirant Grzymała śmiertelnie poważnym tonem. — Ceremonię parzenia herbaty poznałem podczas zajęć fakultatywnych.

— Rozumiem — rzekłem i zanurzyłem usta w znakomitym naparze.

Przez chwilę piliśmy bez słowa. Jako pierwszy ciszę przerwał aspirant.

— Wracając do sprawy, która pana do mnie sprowadziła, to obawiam się, że nie będę panu w stanie pomóc...

Zakrztusiłem się herbatą usłyszawszy te słowa. A więc traciłem czas na ten upokarzający policyjny rentgen zupełnie bez sensu?!

Dzięki Bogu napar nie był już gorący. Aspirant Grzymała z kamienną twarzą wstał błyskawicznie zza biurka, dwoma wyciągniętymi krokami znalazł się za moimi plecami i wymierzył mi trzy uderzenia, które wydobyłyby jabłko z przełyku niedźwiedzia.

— Lepiej? — zapytał z troską, gdy przestałem kaszleć. Skinąłem głową. — Niech się pan napije wody — zakrzętnął się i po kilku sekundach postawił przede mną kubeczek z błękitnego tworzywa, wypełniony wodą. Poszedłem za jego radą.

— Do naparzu musiał dostać się jakiś listek — wyjaśnił policjant. — To niewybaczalny błąd w sztuce, ale może się zdarzyć, gdy ktoś, tak jak ja, ćwiczy się w ceremoniale zaledwie siedem lat. Według mojego sensei do prawdziwego mistrzostwa można dojść najwcześniej po ćwierć wieku...

— To nie wina herbaty — rzekłem zachrypniętym głosem — ale moja. Jest tak dobra, że piłem po prostu zbyt łapczywie — na potwierdzenie swoich słów odsunąłem na bok kubek z wodą i pociągnąłem kolejny łyk herbaty. Wspomniał pan, że nie może mi pomóc...

— Wyraziłem się nieprecyzyjnie — aspirant Grzymała spróbował nadać swej twarzy

przepraszający wyraz; niezbyt dobrze mu poszło — wyglądał jakby zjadł coś nieświeżego. — Nie mogę panu pomóc w takim zakresie, jakbym chciał. Sporządzenie listy wszystkich żyjących i przebywających na wolności osób, które kiedykolwiek dokonały włamania na terenie Konstancina, jeśli nawet byłoby realne, wymagałoby przynajmniej — aspirant zamyślił się na chwilę — kilku miesięcy. Pomijając już fakt, że w momencie sporządzenia takiej listy, byłaby ona już nieaktualna, trzeba brać pod uwagę, że istnieją przestępcy, którzy zdołali ująć sprawiedliwości albo zostali schwytani podczas popełniania innego przestępstwa.

— Może istnieje jakiś inny sposób? — zapytałem. Aspirant Grzymała rozważał przez chwilę moje słowa.

— Statystyka jest bezlitosna — rzekł z żalem, jakby robił mi osobistą przykrość: — Trzeba by objąć inwigilacją sporą liczbę osób, a nasza komenda przy obecnej obsadzie kadrowej ledwie daje sobie radę z bieżącą działalnością i nie widzę możliwości oddelegowania żadnych ludzi do tej sprawy, nawet gdyby nie zaczęłyby się ona od mglistych obaw starszej pani.

Argumenty były zbyt silne, by im nie ulec.

— Co pan zatem radzi, panie aspirancie?

— Można tylko czekać — stwierdził Grzymała zdecydowanie. — I być czujnym. Jeśli pani Zakrzewska ma rację, a skoro taki doświadczony detektyw jak pan zdecydował się działać, musi być coś narzeczy, przestępcy uderzą znowu. Może wtedy uda się ich schwytać na gorącym uczynku albo chociaż zdobyć jakieś tropy. Nie mówię już nawet o odciskach palców albo śladach DNA, ale gdyby chociaż udało się ustalić jakiś charakterystyczny *modus operandi*, to z pewnością zdołalibyśmy ograniczyć krąg podejrzanych.

Herbata się skończyła, mój zapał też. Wizyta w komendzie okazała się tym razem strzałem kulą w płot. Podziękowałem aspirantowi Grzymale za poświęcony czas. Wymieniliśmy numery telefonów. Padły zapewnienia, że jeśli wydarzy się coś istotnego dla sprawy włamania do „Anny”, natychmiast się o tym nawzajem zawiadomimy. Wstałem i uściskawszy rękę policjanta, ruszyłem do drzwi.

— Wie pan co, panie Pawle — głos aspiranta zatrzymał mnie w połowie drogi. — Właśnie wpadła mi do głowy pewna myśl. Niby trochę oderwana od tego, o czym rozmawialiśmy, ale...

Odwrociłem się i spojrzałem na policjanta.

— Proszę mówić — rzekłem z naciskiem.

— Wspomniał pan na początku, że pani Zakrzewska boi się tego, że ktoś wykupi „Annę” i ją zburzy.

— Wspomniałem...

— Otóż znam jedną osobę, która podobne plany ogłaszała publicznie.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Rafał Weiss.

— Ten piosenkarz?

— Ten sam — aspirant skinął głową.

„Siódme niebo”, „Lepiej być z Tobą” i „Szukałem Cię” — te przeboje znał każdy, kto słuchał radia i oglądał telewizję. Bez Rafała Weissa nie mógł się od kilku lat odbyć żaden przegląd piosenki ani festiwal muzyczny w tym kraju. Złośliwi recenzenci żartowali, że Weiss niedługo będzie wyskakiwał z lodówki, a tłumy wielbicielek jego romantycznych szlagierów i nieskazitelnej urody zapełniały sale i wykupywały ze sklepów kolejne nakłady płyt, z których każda pokryła się już dawno kilkakrotnie platyną.

— Czemu Weiss miałby chcieć zburzyć „Annę”? — zapytałem.

— Powód jest banalnie prosty — odparł aspirant. — Potrzebuje miejsca na ogród.

Wracając piechotą do „Anny” rozmyślałem o tym, co przed chwilą opowiedział mi aspirant Grzymała. Rafał Weiss sprowadził się do Konstancina pięć lat temu. Wykupił od miasta działkę, leżącą po zachodniej stronie „Anny”, na której, jak wiedziałem to z planów konserwatorskich, znajdowała się niegdyś większa część ogrodu posiadłości Klimplów. Zbudował na tej działce własną willę, całkiem zresztą nieźle zaprojektowaną ale przytłaczającą rozmiarami. Była przynajmniej dwa razy większa od innych willi i w związku z tym na terenie posiadłości niemal zupełnie nie było miejsca na ogród. Weiss zazdrośnie spoglądał w stronę ulokowanej po lewej stronie „Anny” i raz nawet zdradził się publicznie ze swoimi planami. Było to podczas dorocznego przyjęcia noworocznego w urzędzie gminy, na które zapraszano wszystkie co znaczniejsze osoby mieszkające w Konstancinie. Gwiazdy takie jak Weiss, mimo słanych zaproszeń, rzadko zaszczycaly podobne przyjęcia swą obecnością, więc jego pojawienie się na przyjęciu wywołało zrozumiałe poruszenie i zachwyty.

Jak się po dwóch godzinach okazało, piosenkarz nie przybył na przyjęcie bezinteresownie. Wypytywał, niezbyt zresztą dyskretnie, rozmaitych urzędników gminnych o możliwość wykupienia działki, na której znajdowała się secesyjna willa i szansę, by zgodzili się oni na rozbiórkę obiektu. Miał jednak pecha. Usłyszał go bowiem prezes Stowarzyszenia Miłośników Konstancina. Prezes zaprotestował głośno i w ten sposób plan Weissa spalił na panewce. Niektórzy, tak jak aspirant Grzymała, pamiętali jeszcze, jak wypiwszy szampana i rozbiwszy kryształowy kieliszek o podłogę głównej sali ratusza, piosenkarz rzucił groźbę, że „On im jeszcze pokaże” i oddalił się jak niepyszny. Aspirant Grzymała zaznaczył z naciskiem, że działo się to kilka lat temu i od tamtego czasu „pan Weiss nigdy więcej nie wspominał o swoich planach” i z tego co Grzymała wie, nie zjawiał się nawet ani razu w urzędzie.

„Jak by z nim nie było — podsumowałem swoje rozważania — Weiss jest w tej chwili moim głównym podejrzanym, przynajmniej jeśli chodzi o zburzenie willi. Ma nie tylko motyw, ale i środki, a co do trzeciego warunku niezbędnego, by można podejrzewać kogoś o przestępstwo, czyli sposobności, może ją zyskać, jeśli dopisze mu szczęście lub odpowiednio się o nią postara. Nie zmienia to jednak faktu — myślałem dalej — że ciągle nie wiem, kto i po co włamał się do »Anny« Zresztą o wilku mowa” — pomyślałem, patrząc na nerkowate okna werand mojego nowego domu.

Przechodząc przez bramę zerknąłem jeszcze na monumentalną budowlę wzniesioną po sąsiedzku przez Rafała Weissa. Nazwano ją pieszczotliwie „Stokrotką”, chociaż moim zdaniem bardziej pasowałyby nazwy typu „Elsynor”, „Olimp” albo „Kasztel”. Na podjeździe przed domem stały dwa samochody: czerwone sportowe ferrari i czarny mercedes.

Podwórko „Anny” było puste. Odetchnąłem z ulgą bo miałem już serdecznie dosyć spotkań z krnąbrną Zosią. Spojrzałem na zegarek. Było dwadzieścia po trzynastej. Wszedłem do środka i wspiąłem się po skrzypiących schodach na piętro. Ania siedziała razem z Maćkiem u szczytu schodów.

— Nareszcie pan jest! -wykrzyknęli niemal jednocześnie na mój widok i podnieśli się z miejsca. Zaraz jednak się zmytygowali, że może przesadzają z serdecznością, biorąc pod uwagę, to że wczoraj wieczorem nie chciałem otworzyć im drzwi. Usiedli i posłali mi pełne wyrzutu spojrzenia.

— Dostałem wasz list — rzekłem, udając że nie zauważam tej huśtawki nastrojów. — Cóż to za bardzo ważna wiadomość, o której w nim pisaliście?

— Nie wiemy, czy to pana jeszcze interesuje — powiedziała Ania, patrząc na deski pod

swoimi nogami.

— A czy was interesuje gorąca czekolada?

Z PAMIĘTNIKA ANI

Kochany Pamiętniku!

Poznałam wczoraj bardzo ciekawego człowieka. Nazywa się pan Paweł i szuka skarbów. Poczęstował mnie i Maćka gorącą czekoladą, ale jej nie wypiliśmy, bo baliśmy się, że jest zatruta. W końcu okazało się, głupio zrobiliśmy, ponieważ pan Paweł okazał się bardzo miły i opowiedział nam po prostu FASCYNUJĄCĄ (jakie to ładne słowo) historię o skarbie, który został ukryty ponad sto lat temu w ogrodzie naszego domu, czyli willi „Anna”. Ukryła go tam jego pierwsza właścicielka. Nie będę na razie opisywała tej historii, bo jest długa, a mnie już się kleją oczy. Ale bądź spokojny, pamiętniku drogi, kiedyś o tym na pewno napiszę. Oczywiście postanowiliśmy razem z Maćkiem poszukać tego skarbu i zaczynamy od jutra! Nawet wiem już, od czego... Hurra! Nareszcie coś się dzieje!

Pamiętniku Drogi!

Dzisiaj po śniadaniu dostałam okropnej wysypki. To pewnie przez suszone banany, których dosypałam sobie do płatków. Mama dała mi jakieś tabletki i powiedziała, że do wieczora powinno zejść.

Poszukiwania rozpoczęte! Wczoraj po południu poszliśmy do pani Stasi niby na ciastka. Poczęstowała nas pysznymi ptysiami i herbatą. Maciek to łakomczuch — zjadł aż dwa ptysie, ale ja starałam się zachowywać jak dama. Jadłam swoje ciastko powoli, rozkoszując się każdym kęsem i patrząc na srebrną łyżeczkę ozdobioną kwiatem lilii.

Potem niby od niechcienia powiedziałam, że bardzo mi się podoba twarz pani Anny Klimpel, która jest narysowana na oknie w korytarzu i ciekawi mnie okropnie, jak ona naprawdę wyglądała.

Pani Stasia z początku udawała, że mnie nie słyszy i dziabala łyżeczką w swoim ptysiu, ale potem zrobiła taką minę jak mama, kiedy godzi się w końcu dać mi pieniądze na jakiś dodatkowy ciuch albo zabawkę i powiedziała, że jeśli tak bardzo mnie to interesuje, to ona może mi pokazać jej zdjęcie.

Zrobiłam wielkie oczy, bo naprawdę się zdziwiłam. Pani Stasia podeszła do szafki, na której stoi portret pana pułkownika w mundurze i z dolnej szuflady wyciągnęła czarną drewnianą szkatułkę. Położyła szkatułkę na szafce, zdjęła z szyi srebrny łańcuszek, na którego końcu był kluczyk i otworzyła tym kluczykiem szkatułkę. Wyjęła ze szkatułki czarną książeczkę, jakieś poskładane i pożółkłe papiery, a na końcu kilkanaście zdjęć. Szybko je przerzuciła, wybrała jedno i odłożyła je na bok. Resztę rzeczy włożyła z powrotem do szkatułki, zamknęła ją na kluczyk, łańcuszek zawiesiła na szyi i schowała czarne pudelko z powrotem do szuflady. Potem podeszła do stołu i położyła przede mną zdjęcie. Było brązowe i trochę poplamione, ale bardzo wyraźne. Przedstawiało mężczyznę i kobietę w ogrodzie.

— To jest właśnie pani Anna Klimpel i jej mąż Albert — wyjaśniła pani Stasia. — Zdjęcie zrobiono prawie sto lat temu, niedaleko naszego domu. Jeśli dobrze się przyjrzyysz, zobaczysz między krzakami willę „Annę”.

Wpatrywałam się w zdjęcie przez minutę, aż oczy zaszyły mi łzami, ale wreszcie dostrzegłam drewnianą werandę. Pokazałam pani Stasi to miejsce na zdjęciu, a ona pochwaliła mnie,

pogłaskała i powiedziała, że jestem bardzo spostrzegawczą dziewczynką.

Zapytałam ją, czy mogę zrobić zdjęcie komórką, a ona się zgodziła.

Potem jedliśmy ptysie nic nie mówiąc, a Maciek wykorzystał okazję i właśnie wtedy wziął sobie dokładkę. W końcu zdobyłam się na odwagę i zapytałam panią Stasię, skąd ma to zdjęcie, a ona odparła, o czym już mi kiedyś opowiadała, że jej matka była osobistą pokojówką pani Anny i dostała to zdjęcie na pamiątkę, kiedy odchodziła ze służby.

— Pani Anna chyba bardzo lubiła rośliny? — zapytałam. — Na portrecie w oknie wygląda jak Królowa Kwiatów... Ciekawe, jakie kwiaty lubiła najbardziej?

— Złote maki — odparła szybko pani Stasia i zaraz zamilkła, jakby powiedziała coś głupiego.

Stwierdziłam głośno, że chyba nie ma na świecie złotych maków, przynajmniej ja widziałam tylko czerwone. Pani Stasia odparła na to, że jest już późno i powinniśmy chyba iść do domu, bo nasi rodzice będą się niepokoić. Maciek, który miał chęć na trzeciego ptysia, skłamał, że jego rodziców nie ma jeszcze w domu i wolalby zostać. Pani Stasia złapała się wtedy za głowę i powiedziała, że dostała strasznej migreny. Pociągnęłam tego pasibrzucha za sobą, podziękowałam pani Stasi za ciastka i herbatę i życzyłam jej szybkiego powrotu do zdrowia.

Od razu jak od niej wyszliśmy, pobieглиśmy na górę, żeby opowiedzieć o wszystkim panu Pawłowi, ale jego chyba nie było w domu, bo chociaż pukaliśmy trzy razy, nikt nam nie otworzył.

— Mogę zobaczyć to zdjęcie? — rzekłem, wysłuchawszy relacji dziewczynki; przed każdym z nas stał opróżniony do dna kubek.

— Nie — odparła Ania.

— Skasowałaś je? — poczułem chłód na karku. Tak to jest, gdy zostawia się śledztwo w rękach dziecka.

— Tak — padła odpowiedź. Dziewczynka uśmiechała się do mnie przebiegle, a ja zastanawiałem się, czy nie powiedziałem czegoś, co mogłoby ją do mnie zrazić.

— O co chodzi? — bąknąłem po chwili kompletnie zbity z tropu, przenosząc wzrok z jednego dziecka na drugie. Ania ciągle się uśmiechała, a Maciek myślał nad czymś intensywnie, zaglądając do swego kubka.

— Jak mi pan zrobi jeszcze czekolady — odezwał się w końcu — to panu powiem.

— Ależ z ciebie grzeczny chłopiec — skomentowała szantaż kolegi Ania.

„Co za Meksyk!” — pomyślałem, kręcąc głową i poszedłem do kuchni, by spełnić żądanie małego terrorysty.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

DZIEŃ NA OPAK • ODKRYCIE MAĆKA • WYKOPKI • WERANDA OBSERWACYJNA • OKO W OKO Z GWIAZDĄ • „WIDZĘ CIĘ!” • GŁOS Z DOŁU • UWIĘZIONY • NA DOLE ROBI SIĘ GORĄCO • GŁOS Z GÓRY • W PŁACZ • „ON NAS OKRADŁ!” • WŚCIEKŁY BYK • W DRZAZGI • ROBI SIĘ GORĄCO • NA GÓRZE • SPRINT I ULGA • GDZIE MOJA SAPERKA? • KOT JAK Z EGIPTU • MÓWIŁ DZIAD... • BRZYDKA SPRAWKA

— Dzień na opak — stwierdził Maciek, napiwszy się czekolady.

— Możesz wyrażać się jaśniej — poprosiłem go.

— Dziś jest dzień na opak. Jak w każdy poniedziałek — wytarł upačkaną czekoladą buzię za pomocą otwartej dłoni i odepchnął Anię, która usiłowała zmusić go do milczenia kuksańcem. — Mamy taki zwyczaj w szkole, robimy to dla żartu. Mówi się i robi wszystko odwrotnie.

— I nauczyciele nie mają nic przeciwko?

— Niektórzy mają ale ponieważ wymyślił to dyrektor, większość boi się sprzeciwić, a niektórzy nawet to lubią, na przykład moja wychowawczyni, pani Renata. No, a teraz są wakacje, więc nie mają nic do gadania.

„Bardzo sprytnie” — pomyślałem. „Niezły pomysł na wentyl bezpieczeństwa. Coś jak karnawał dla plebsu w średniowieczu, kiedy na kilka tygodni zawieszano na kołku obowiązujące prawa i hierarchie, żeby lud mógł się wy-szaleć, a potem tańczyć jak im władcy zagrają.”

— Czyli nie skasowałaś zdjęcia i pozwolisz mi je zobaczyć? — zwróciłem się do Ani.

Dziewczynka się uśmiechnęła.

— Czy moglibyśmy na chwilę zawiesić zasady dnia na opak? — zaproponowałem. — Będzie nam dużo łatwiej rozmawiać o śledztwie w sprawie skarbu pani Anny.

— Nie zgadzam się — odparła Ania.

— Ja też nie — dodał Maciek.

— Hehe — udałem, że bardzo mnie to bawi — a więc ja też nie.

— Niech pan obejrzy zdjęcie — powiedziała dziewczynka i podała mi swój aparat telefoniczny, na którym widać było fotografię w sepia. Zgodnie z opowieścią Ani, przedstawiała ona parę w ogrodzie, ubraną zgodnie z zasadami szyku i elegancji obowiązującymi na początku poprzedniego stulecia. Chociaż zdjęcie, jak to zwykle z fotkami wykonanymi komórką w zamkniętych pomieszczeniach bywa, nie wyróżniało się ostrością ale w zupełności wystarczało, by stwierdzić, że kobieta na zdjęciu i na rysunku na szkle była jedną i tą samą osobą — Anną Klimpel.

— Dobra robota — pochwaliłem małych detektywów, a oni natychmiast się rozpromienili. — Gdyby jeszcze tak wiedzieć, skąd pani pułkownikowa wie o złotych makach. Z tego, co mówiłaś, Aniu, chce źródło swej wiedzy utrzymać w tajemnicy. Ciekawe dlaczego? — myślałem na głos.

— Chyba wiem, skąd nasza sąsiadka wie tyle o pani Annie — odezwał się niespodziewanie Maciek.

Razem z Anią spojrzeliśmy na niego z zainteresowaniem.

— No co? — zachnął się chłopaczek. — Myślałaś, że potrafię tylko się opychać? — rzucił Ani z wyrzutem. — Ja też mam oczy — dodał i jakby jego słowa potrzebowały potwierdzenia, wytrzeszczył oczy i wskazał na nie wyciągniętymi palcami wskazującymi obu rąk.

— No i co takiego ciekawego zobaczyłeś? — zapytała wąpiącym tonem jego koleżanka.

— Litery.

— Nie wiedziałam, że umiesz czytać — w tonie Ani pojawiła się nutka złośliwości.

Maciek spojrział na nią z politowaniem, popukał się powoli w czoło i rzekł:

— Jakbyś nie wiedziała, to jestem już w drugiej klasie. Ania wzruszyła ramionami.

— Mów dalej — zachęciła kolegę.

— Pamiętasz, jak pani pułkownikowa szukała zdjęcia i wyjęła wszystko z czarnej skrzyneczki?

— No jasne.

— Wyjęła stamtąd między innymi książkę w oprawie ze skóry. Książka na chwilę się otworzyła i wtedy zobaczyłem, że to wcale nie jest książka, tylko jakiś zeszyt, w środku ktoś pisał piórem. A na okładce były złote litery: „A” i „K”, tak jak Anna Klingel.

— Klimpel, głuptasku — poprawiła go koleżanka. — Ale to jeszcze nic nie znaczy. Litery mogły być skrótem od czego innego.

— Ale te były fikuśne, a książeczka wyglądała na starą. To mógł być pamiętnik pani Anny — nie poddawał się Maciek.

— Co masz na myśli, mówiąc „fikuśne” — zapytałem z zainteresowaniem.

— No takie poskręcane... Jak chwasty albo gałęzie starej czereśni, która rośnie w ogródku u moich dziadków.

Bez słowa wstałem i podszedłem do półki, na której wczoraj ułożyłem przywiezione z kawalerki książki. Zdjąłem z niej gruby album, chwilę go wertowałem, a kiedy znalazłem interesująca mnie ilustrację, wróciłem do stołu i położyłem album przed Maćkiem.

— Czy litery na okładce pamiętnika były podobne?

— Nie takie same, ale prawie — ucieszył się chłopak.

Ja też się ucieszyłem, a przy okazji poczułem jak ogarnia mnie fala zainteresowania. Litery, które Maciek ocenił jako „prawie takie same” widniały na ozdobnym plakacie „Hamleta” Szekspira, w którym główną rolę grała Sarah Bernhard. Sam zaś plakat był dziełem Alfonsa Muchy, czeskiego malarza i grafika, jednego z czołowych przedstawicieli europejskiej secesji.

Po odkryciu dokonany przez Maćka rozmowa przestała się kleić. Jak to często w śledztwie bywa, doprowadziło nas ono do ściany. Żeby ją przeskoczyć potrzebowaliśmy nowych faktów, a te skrywał w sobie pamiętnik z wytłoczonymi złotem inicjałami. Problem polegał jednak na tym, że jego właścicielka wolała trzymać istnienie pamiętnika w tajemnicy.

— Może pójdziemy do niej jeszcze raz i zapytamy wprost? — rzuciła pomysł Ania.

Pokręciłem głową.

— Nie pokazała go wam wtedy, nie pokaże i teraz — orzekłem. — Zostawcie to mnie.

— Ma pan jakiś pomysł? — oczy dziewczynki rozbłysły ekscytacją.

— Jeszcze nie, ale w przeciwieństwie do Indiany Jonesa nie pędzi za mną potężna kula z litej skały, więc mogę się chwilę zastanowić nad następnym krokiem.

— To my już pójdziemy — Ania podniosła się z krzesła. — Żeby mógł pan w spokoju pomyśleć.

Zaproponowałem im jeszcze herbatę, ale odmówili. Byli już przy drzwiach, kiedy Maciek szturchnął Anię i syknął z pretensją w głosie:

— Nie zapytałaś...

Ania westchnęła ciężko, podnosząc chude ramiona i obróciła się w moją stronę:

— Panie Pawle — zaczęła. — Mamy prośbę...

— Chętnie wam pomogę — oświadczyłem.

— Czy mógłby nam pan pożyczyć swoją łopatę — wypalił Maciek, najwyraźniej już

zmęczony oporami koleżanki. — Tę wojskową.

— A do czego jej potrzebujecie?

— Chcemy pokopać trochę wokół domu — wyjaśniła Ania. — Oczywiście chcemy dalej szukać informacji o pani Annie — zastrzegła się sprytnie — ale dopóki nie mamy pamiętnika...

„Jest jeszcze biblioteka” — odparowałem w myślach, ale ponieważ wiem, jak łatwo zgasić zapal młodzieży, a poza tym uznałem, że za dotychczasowe wysiłki należy się Maćkowi i Ani jakaś nagroda, skinąłem tylko głową i przyniosłem im saperkę z szafki pod kuchennym zlewem. Była stara i wysłużona. Odrapania i rysy oraz pociemniały trzonek pozwalały snuć przypuszczenia, prawdziwe zresztą że odkopano nią już niejedyn skarb.

— Dziękujemy, panie Pawle — odparł Maciek oglądając łopatkę z błyskiem w oku.

— Tylko pamiętajcie, żeby zasypać po sobie każdy dołek i w miarę możliwości nie niszczyć trawy. Eksplorator nie może dewastować otoczenia.

— Nikt się nie zorientuje, że gdzieś w ogóle kopaliśmy — zapewniła mnie Ania i popychając przed sobą dumnie dzierzążącego saperkę Maćka, wyszła z mojego mieszkania, rzucając mi jeszcze pożegnanie godne „dnia na opak”:

— Witam, panie Pawle!

— Witam was, witam... — odparłem, zamykając drzwi.

Zrobiłem sobie herbaty i wyszedłem na werandę. Już w dniu przyjazdu znalazłem wciśnięte w kąt dwa drewniane leżaki i teraz rozłożyłem jeden z nich tak, że wyłożywszy się wygodnie na płótnianym oparciu, twarz miałem skierowaną na zachód. Herbatę postawiłem na taborecie przywleczonym z kuchni.

Z otwartego okna dobiegł mnie najpierw tupot stóp, a potem głos Maćka.

— Ja będę kopał pierwszy! — krzyknął chłopak. — To mnie pan Paweł dał saperkę.

— Co za dzieciuch! — skwitowała jego wypowiedź Ania, ale najwyraźniej ustąpiła, bo po chwili gdzieś pode mną po prawej stronie dały się słyszeć miarowe uderzenia metalu wgrzającego się w miękką po deszczu ziemię, do których po chwili dołączyło sapanie Maćka.

Słońce przypiekało przyjemnie, a we wnętrzu przeszklonej werandy, mimo otwartego okna, przez które wpadało do środka świeże powietrze, było duszno prawie jak w szklarni. Ale ja nie miałem zamiaru się opalać. Upiwszy kilka łyków herbaty, sięgnąłem ręką do futerału stojącego po prawej stronie leżaka i wyjąłem z niego lornetkę.

Przyłożyłem ją do oczu, wyregulowałem ostrość i kąt obu lunet. Dwa okrągłe obrazki złożyły się w jeden. Z zainteresowaniem przyglądałem się balkonowi na drugim piętrze willi „Stokrotka” wybudowanej po sąsiedzku przez Rafała Weissa. Długa i niska balustrada z otynkowanego na beżowo betonu, wzdłuż niej pozawieszane kwietniki z kwitnącymi pelargoniami, w głębi duże, przesuwane drzwi ze szkła. W szybach odbijało się słońce, nie pozwalając zajrzeć do środka i stwierdzić, czy ktoś przebywa w domu.

Po mniej więcej dziesięciu minutach rozboleły mnie ręce i opuściłem lornetkę. Odchyliłem głowę i spod przymkniętych powiek obserwowałem balkon. Nie minął kwadrans, a poczułem, że powieki opadają mi na oczy, ale wtedy stało się coś, co zadziało lepiej niż dwa red bulle wypite jeden po drugim.

Na balkonie pojawił się mężczyzna. Był za daleko, żeby rozróżnić rysy, ale w jego twarzy było coś znajomego. Sięgnąłem po lornetkę i przecucie przeszło w pewność. Po balkonie przechadzał się, ubrany w biały T-shirt i dżinsy, właściciel domu, Rafał Weiss.

Natura obdarzyła gwiazdora piosenki rosłą postawą i przystojną twarzą. Dyskretna opalenizna podkreślała orzechowy brąz oczu i szlachetne rysy. Prostokątną twarz, zakończoną podbródkiem z

wgłębieniem na środku, okalały czarne jak heban, proste włosy, sięgające do szyi i przycięte w taki sposób, że przypominały nieco grzywę lwa. Dzięki nim tak efektownie prezentował się na scenie, śpiewając swoje kliwne ballady.

— Teraz ty kopiesz! — usłyszałem zza okna zdyszany głos Maćka.

Oderwałem na chwilę oczy od lornetki i trzymając ją ciągle wysoko, wsłuchałem w rozmowę.

— A co? Chłopczyk już się zmęczył? — zadrwiła z niego Ania.

— Nie — odrzekł jej Maciek — po prostu chcę dać ci szansę.

— Co ty powiesz? — w jej głosie słychać było ironię. — No dobra, dawaj łopatę.

Po chwili popołudniową ciszę mąciło tylko szuranie saperki. Znów spojrzałem w lornetkę.

— O kurde! — syknąłem pod nosem, ale powstrzymałem się od gwałtownych ruchów.

Mleko i tak się już rozlało. Rafał Weiss, w chwili gdy ja przysłuchiwałem się rozmowie małych detektywów, musiał wejść do domu i przynieść stamtąd lornetkę, bo teraz stał wyprostowany na balkonie i celował we mnie dwoma błyskającymi w słońcu szklami.

Ostrożnie przesunąłem lornetkę w prawo i długo szukałem jakiegoś nowego obiektu do obserwacji. W końcu natrafiłem na drzewo i przypatrywałem się przez jakieś trzydzieści sekund jego gałęziom. Potem odsunąłem lornetkę od oczu i z duszą na ramieniu spojrzałem w stronę balkonu.

Weiss tylko na to czekał. Pozwolił lornetce zawisnąć na klatce piersiowej i spojrzał na mnie z uśmiechem, od którego dreszcz przeszedł mi po karku. Potem, powtarzając gest z jakiegoś amerykańskiego filmu, rozłożył palce wskazujący i środkowy tak, że utworzyły literę „V” i zbliżył je do oczu. Potem wycelował je we mnie. Komunikat był jasny: „Widziałem cię”.

Przełknąłem ślinę i przez chwilę patrzyłem, jak obraca się i znika w głębi domu.

„Pewnie zaraz tu przyjdzie i będzie się awanturował” — pomyślałem, czując się jak sztubak, którego nauczycielka złapała na paleniu papierosów w ubikacji i teraz jest prowadzony za kołnierz do dyrektora.

Otrząsnąłem się z niemiłych emocji i w tym samym momencie zdałem sobie sprawę, że już przynajmniej od kilku minut nie słyszę odgłosów kopania.

— ...mogę zobaczyć? — odezwał się z dołu niski głos mężczyzny.

— Proszę — odpowiedziała Ania. Stuknięcie buta o drewno i skrzypienie okiennej framugi świadczyło, że wspięła się na podest werandy.

— Co tam się dzieje? — mruknąłem pod nosem i szarpnąłem się, aby wstać z leżaka. Zrobiłem to tak gwałtownie, że coś pode mną chrupnęło i poczułem, że złamała się któraś z części drewnianego stelażu leżaka, więżąc mnie jednocześnie w ruinie ogrodowego mebla.

Usiłując się z niej wyplątać, słuchałem odgłosów coraz bardziej dramatycznych wydarzeń rozgrywających się u stóp werandy.

Najpierw nerwowe, ale niezbyt mocne pukanie w okno i towarzyszący temu głos Ani:

— Proszę pana, niech pan tak sobie nie żartuje. Proszę mi to oddać.

Nie przyniosło to żadnego skutku, więc pukanie się nasiliło, a w głosie pojawiła błagalna nuta:

— Bardzo pana proszę! Dlaczego pan to robi?

Pukanie przeszło w łomot, a prośba w groźbę:

— Jak zaraz nie otworzysz, stary złodzieju — głos Ani zadrżał, zwiastując zbliżający się płacz — to wezwę policję. Zgnijesz w więzieniu.

Uff! Wyplątałem się wreszcie z więzów i, w pozycji na czworaka, odkopnąłem w tył to, co zostało z ogrodowego mebla.

Łomotanie w trzęsące się jak liście osiki szybki werandy ustało nagle jak nożem uciął. Zamiast niego o ziemię uderzyły biegnące stopy.

Skoczyłem na równe nogi i wyjrzałem przez okno. Nieco na prawo z ziemi ziała spora dziura, obok niej leżała saperka. Ani dzieci, ani osoby, do której mógłby należeć niski głos, nie było widać. Za to gdzieś z góry dobiegł mnie chichot. Obróciłem głowę i spojrzałem w stronę dachu.

Zza jego krawędzi wychylała się i patrzyła prosto na mnie ze złośliwym uśmiechem twarz cherubinka o złotych lokach. Obok widać było bury pyszczyk „Ogryzka”.

— Co ty tam robisz, Zosiu?! — krzyknąłem. — Złaż natychmiast. Niech no tylko twoja mama się dowie — pogroziłem jej palcem.

— Czemu zadaje się pan z takimi głupkami? — zapytała dziewczynka poważnie i schowała się za krawędzią. Kot poszedł w jej ślady.

Obróciłem się i ruszyłem w stronę drzwi wyjściowych. Nim jednak zdołałem do nich dotrzeć, załomotano w deski.

— Proszę! — powiedziałem.

Klamka przesunęła się w dół, skrzydło drzwi, pchnięte lekko, zatoczyło łuk nad podłogą i w progu mieszkania numer pięć stanęła zapłakana dziewczynka.

— On nas okradł! — żaliła się dziewczynka, krztusząc się łzami. — Ten ohydny staruch! Jak on mógł, jak mógł? Jesteśmy przecież tylko dziećmi!

Maciek, który płakał chyba bardziej dla towarzystwa niż z przekonania, każde zdanie koleżanki kwitował kiwnięciem głowy.

Usadziłem ich przy stole, pocieszając, że „wszystkiemu da się zaradzić” i pozwoliłem się wypłakać. Zrobiłem herbaty i przyniosłem paczkę chusteczek higienicznych. Na środku stołu położyłem tabliczkę mlecznej czekolady i zachęciłem, by się częstowali.

Po pięciu minutach płacz zastąpiły sążniste pociągnięcia nosem i ciche siorbanie. Brudne od ziemi ręce sięgnęły po kostki czekolady.

— Wyglądacie jak górnicy — skomentowałem ich czarne ręce, ramiona i twarze.

Zaśmiali się z żartu, przelykając ostatnie łyż.

— Jedzcie czekoladę — poleciłem im.

— Przecież nie ostygnie — zażartowała Ania, dając tym samym znak do zakończenia żałoby.

— Dobry dowcip — zmrużyłem oczy i wycelowałem w nią palce wskazujące. — Widzę, że komuś tu wraca humor. No, mili państwo, jeszcze po kosteczce — nakazałem. — Tak dla utrwalenia efektów.

Zjedli i znów spoważnieli.

— A teraz mówcie, co się stało... — zachęciłem ich, ale nie dane mi było od razu wysłuchać tej opowieści. Ktoś bowiem zapukał do drzwi.

— Sąsiad mnie do ciebie skierował — powiedział Rafał Weiss, stając w drzwiach mieszkania numer pięć. Zanim tutaj przyszedł założył ciemne okulary. Pewnie bał się, że go ktoś rozpozna. — To ty podglądałeś mnie przez lornetę?

Gwiazdor był zdenerwowany. Zupełnie inaczej niż miał to w zwyczaju na scenie i podczas telewizyjnych wywiadów śmiesznie przechylał głowę to w lewo, to w prawo, niczym mały piesek, który się czemuś przygląda.

— Nie wiem, o czym pan mówi — rzekłem grzecznie, unosząc brwi w udawanym zdziwieniu. — Poza tym nie przypominam sobie, abyśmy pili brudersaft...

— Inteligencik, co? — znów przechylił głowę. — Ale powiem ci coś... — nacisnął mnie

wskazującym palcem w miejscu gdzie obojczyk łączy się z mostkiem. Zabolalo. — Jesteś taki sam jak ci paparazzi. Dyplom tego nie zmienia. Gdzie masz lunetę?

— Niech pan stąd wyjdzie — odparłem ostrzej niż na początku. — Natychmiast, bo inaczej...

— Co inaczej? — zapytał groźnie, opuścił okulary na nos i spojrzał na mnie oczyma o przekrwionych białkach. Miał w sobie teraz coś z rozjuszonego byka. Odruchowo cofnąłem się o krok, a on to wykorzystał. Wkroczył do mieszkania rozstawiając nogi szeroko jak kowboj i rozejrzał się po wnętrzu.

— Powinieneś wynająć lepszego dekoratora wnętrz — ocenił krytycznie. — Ten, który tu robił, spieprzył sprawę. Twoje pociechy? — zapytał, wskazując na dzieci, a nie doczekawszy się odpowiedzi, wyjął z kieszeni spodni zmiętą paczkę papierosów i zapalił, zaciągając się mocno. Ania i Maciek patrzyli na niego z niemym zachwytem, jak zahipnotyzowani.

— W tym domu nie pali się papierosów — oświadczyłem twardo.

Skrzywił się, podniósł oczy i nieznacznie pokiwał głową na boki w przedrzeźniającym geście. Potem zapytał:

— Ale na werandzie mogę chyba zapalić? — i nie czekając na zgodę ruszył w stronę zabudowanego tarasu. — To chyba stamtąd mnie podglądałeś... Co, doktorku?

Zanim zdążyłem zareagować, z werandy doszedł mnie brzęk tłuczonego szkła.

— Co pan wyprawia? — wrzasnąłem i skoczyłem w tamtą stronę.

Było za późno. Po podłodze werandy wały się szczątki lornetki.

— Ty idioto! Wydałem na nią całą swoją pensję! — wykrzyknąłem i złapałem się w rozpacz za głowę.

— Może to cię nauczy rozumu — Weiss pociągnął nosem i przepchnął się do pokoju. Rozpacz i wściekłość walczyły we mnie z równą siłą nie pozwalając na zrobienie nawet małego kroku. Patrzyłem za odchodzącym piosenkarzem zaciskając z całej siły pięści.

I wtedy, jak by tego było mało, Ania podbiegła do Rafała Weissa i podała mu karteczkę oraz długopis.

— Autograf? — zapytał gwiazdor, a kiedy dziewczynka skinęła głową zaczerwieniona z emocji, złożył na kartce zamaszty podpis.

Potem obrócił się, posłał mi tryumfujące spojrzenie znad ciągle opuszczonych okularów, zaciągnął się ostatni raz. Cisnął dymiący niedopałek na parkiet, zdusił go końcem obcasa i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Rzuciłem się, żeby ratować drewnianą posadzkę. Niedopałek już co prawda nie dymił, ale i tak zostawił na desce czarny ślad. Wziąłem ze stołu chusteczkę, naplułem na nią i potarłem ślad. Dzięki Bogu zszedł niemal w całości.

— Jak następnym razem wycyklinują podłogę, nie będzie nic widać — oceniłem i, ostentacyjnie ignorując siedzących jak trusie na swoich krzesłach Anię i Maćka, powlokłem się na werandę, żeby zobaczyć, w jakim stanie jest lornetka, a raczej to, co z niej zostało.

Niestety, nie było co zbierać. Rafał Weiss, mimo że dokonywał dzieła zniszczenia w gniewie i pośpiechu, zemścił się z zadziwiająco skuteczną skutecznością. Szkła porozbijane, obudowa z tworzywa wygięta i połamana, skórzane pasek i futerał osobno — oto, co rzuciłem na stół w salonie.

Ania i Maciek patrzyli ze smutkiem na kupkę śmieci, która jeszcze kwadrans temu była najnowszym modelem lornetki.

— Może „Super Glue” by pomógł? — nieśmiało zaproponował Maciek, ale usłyszawszy parsknięcie, które wydobyło się z moich ust i spojrzawszy mi w oczy, natychmiast zamilkł i opuścił głowę.

To wystarczyło, by wrócił mi rozum.

„Dlaczego karzesz te dzieci za coś, co zrobił ci ktoś inny, Pawle” — napominał mnie głos sumienia. „Uważasz, że Ania cię zdradziła, że wyłamała się z zespołu? A czy nie żądasz czasem za dużo lojalności od nastolatki. Przecież nie co dzień spotyka się idola.”

Jakby na potwierdzenie moich myśli, odezwała się Ania:

— Mimo wszystko sam jest pan sobie trochę winien — orzekła dziewczynka. — Nieładnie jest podglądać niewinnych ludzi. W ogóle nieładnie jest podglądać.

„Poczekajcie, aż ten niewinny człowiek wjedzie tu buldożerem i zrówna wasz dom z ziemią!” — chciałem wykrzyknąć, ale zaraz odezwał się znowu głos sumienia: „A skąd ty właściwie wiesz, że on jest winny? Przecież chciał zburzyć »Annę« pięć lat temu. Może od tego czasu zmienił zdanie. A tak w ogóle, to wyżywasz się na tych dzieciach za swoją głupotę i nieostrożność”.

— No, dobra — machnąłem ręką. — Masz chyba rację. Zapomnijmy o lornetce. Kupię sobie nową. Przesadziłem trochę z jej ceną żeby go nastraszyć.

Dopiero teraz dzieci, uwolnione spod ciężaru poczucia winy, którym je niesłusznie obarczyłem, zaczęły mi współczuć.

— Może Maciek ma rację? — zastanawiała się Ania, przyglądając się uważnie szczątkom lornetki. — Może da się to jeszcze posklejać? Niech pan spojrzy — wybrała ze stosu prawie kompletną soczewkę i jej brakującą część — rysa pewnie zostanie, ale będzie można patrzeć. U nas w klasie jeden chłopak też sobie zbił okulary, ale posklejał je i nosił jeszcze przez kilka tygodni, zanim rodzice kupili mu nowe.

— Jest pan najmądrzejszą osobą jaką znam — uśmiechnął się do mnie Maciek — i na pewno znajdzie pan sposób, żeby jakoś to poskładać do kupy.

— Spróbuję — obiecałem i sięgnąłem na dolną półkę biblioteczki stojącej obok po puste pudełko po butach. Zostawiłem je tam z myślą że „a nuż się przyda.”

„Przecucie mnie nie myliło” — pomyślałem z goryczą zgarniając do kartonu szczątki lornetki. Odłożyłem chrześzczące pudełko z powrotem na dolną półkę i już miałem zwrócić się do Ani, by wreszcie opowiedziała mi, co zaszło przed półgodziną na podwórku, ale w tym samym momencie przebiegła mi przez głowę straszna myśl.

— Zaczekajcie tu chwilę z łaski swojej — nakazałem małym detektywom, sam zaś wypadłem na korytarz i popędziłem na drugie piętro.

Metalowa drabinka stała oparta o krawędź wjazdu prowadzącego na dach willi.

Wykazując się zręcznością godną strażaka, wspiąłem się na szczyt i, brudząc sobie ręce o rozgrzaną od słońca papę, wszedłem na dach. Ale na dachu nikogo nie było.

„To jeszcze gorzej” — jęknąłem w duchu i błyskawicznie zszedłem po drabinie, po czym puściłem się w szalony bieg w dół, biorąc naraz po trzy, cztery schody. Po drodze spotkałem Maćka i Anię, wyglądających na klatkę schodową przez szparę między drzwiami a framugą.

— Siedźcie w domu — krzyknąłem pędząc w dół.

Na parterze usłyszałem odgłos zatraskiwanych drzwi. „Mam nadzieję, że mnie posłuchali” — pomyślałem i wypadłem na podwórko.

Natychmiast pobiegłem pod swoją werandę, ale nie znalazłem tam ani Zosi, ani, ku memu zdziwieniu, saperki. Obiegiłem willę w sprinterskim tempie i kiedy znów przystanąłem pod swoją werandą dosłownie i w przenośnie odetchnąłem z ulgą. Nie znalazłem tego, czego się obawiałem. Nagle usłyszałem nad sobą jakiś trask. Podniosłem głowę. Na mojej werandzie mignął jakiś cień.

„To pewnie znów ten cholerny kot...” — przemknęło mi przez myśl, ale nie miałem czasu dłużej się nad tym zastanowić, bo oto zza rogu budynku, z przeciwnej strony, niż ta, w którą

biegłem, wyszli Ania z Maćkiem.

— Czemu nie zostaliście w domu? — zapytałem.

Wzruszyli ramionami i zagryźli wargi.

— Nieważne — powiedziałem. — Widzieliście gdzieś Zośkę?

— Siedzi schowana za tym dużym drzewem, które stoi przed domem i bawi się pana saperką. Chcieliśmy jej zabrać, ale poszczuła nas... — Maciek się zawahał. Zastanawiał się pewnie, czy to co chciał powiedzieć, nie przyniesie ujmy jego honorowi.

— ...kotem? — dokończyłem za niego. — Miałem już przyjemność poznać „Ogryzka”. Zostawił mi nawet po sobie pamiętkę.

— Wredny kocur — oceniła charakter zwierzaka Ania. — Nasikał nam kiedyś na wycieraczkę za to, że wujek przegnał go spod drzwi.

„A więc nie tylko na mnie się uwziął” — skomentowałem w myślach z pewną ulgą i, prowadzony przez małych pomocników, poszedłem w stronę garażu.

Zosia siedziała na starej skrzynce i za pomocą szpica saperki cięła na kawałki zgniłe jabłko. „Ogryzek” przyglądał się temu siedząc na zadku i opierając się na wyprostowanych przednich łapach. Przypominał teraz kota z egipskich rzeźb. Co chwila jednak psuł ten dostojny obraz, bo za każdym razem, gdy dziewczynka podnosiła do góry saperkę, próbował łapką odtoczyć jabłko na bok i nieodmiennie przeszkadzało mu w tym spadające na owoc ostrze.

Chrząknąłem znacząco, ale nie zrobiło to oczywiście na Zosi żadnego wrażenia. Bawiła się dalej w najlepsze, jakbym był powietrzem.

— Dzień dobry, Zosiu — przywitałem się uprzejmie. — Czy mogłabyś oddać mi moją łopatkę?

— Znalazłam ją — odparowała dziewczynka nie podnosząc wzroku i po raz kolejny trafiła ostrzem w jabłko.

— A ja ją zgubiłem — wyjaśniłem grzecznie.

— Skąd mam wiedzieć, że to pana własność?

— Mogą to potwierdzić Ania i Maciek — rzekłem, tracąc pomału cierpliwość.

— To głupki. Powiedzą co im pan każe.

Maciek już zacisnął ręce w pięści, Ania zaś zrobiła się czerwona. Powstrzymałem ich gestem.

— W takim razie proponuję — rzekłem zjadliwie — aby nasz mały spór rozstrzygnęła twoja mama. Przy okazji opowiem jej, że ma bardzo odważną córkę, która chodzi zupełnie sama po dachach.

Zosia podniosła główkę i posłała mi spojrzenie, które, gdyby wzrok potrafił zamieniać w kamień, uczyniłoby ze mnie elegancki postumencik ku czci muzealników.

— Znudzila mi się ta głupia łopotka — rzekła, rzucając saperkę w moją stronę. — Tylko dzieci się czymś takim bawią. W piaskownicy — dodała dla wzmocnienia efektu i uciekła. „Ogryzek” podążył za nią jak cień.

Podniosłem narzędzie i oczyściłem szpadel o trawę. Robiłem to trochę za długo, a to dlatego, że chciałem czymś się zająć i uciszyć sumienie, krzyczące niczym pięćdziesiąt tysięcy kibiców podczas finału mistrzostw świata w momencie, gdy ich ukochana drużyna traci bramkę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WSTYD • INCYDENT U STÓP WERANDY • RUBINY I ONYKSY • CZŁOWIEK, KTÓRY OKRADŁ DZIECKO • ZAPROSZENIE NA MECZ • STRAŻ NOCNA • BUDOWNICZY „ANNY” • KASA IMIENIA MIANOWSKIEGO • SZLACHETNY NAFCIARZ • O MĄDRALINIE, TESTAMENCIE I OSIEDLU PROFESORSKIM • NOTATKI KONSERWATORÓW • BEZCZELNA WIZYTA • STAROKAWALERSTWO WYPISANE NA TWARZY • PRZEZ PRÓG

Policzki paliły mnie ze wstydu.

„Wobec przestępców takie metody są dopuszczalne, ale jak mogłeś zniżyć się do szantażowania dziecka?” — pytałem sam siebie i nie znajdowałem odpowiedzi.

Po chwili byliśmy już pod drzwiami wejściowymi do „Anny”. Maciek nacisnął klamkę. Stare drzwi zaskrzypiały, na korytarzu rozległy się nasze kroki. Po chwili dobiegł nas z góry trzask zamykanych drzwi.

— Mogliście chociaż zamknąć drzwi do mojego mieszkania — rzekłem z wyrzutem.

„Pograżasz się, Pawle” — pomyślałem od razu. „Najpierw szantażujesz Zośkę, a teraz wyżywasz się na tych Bogu ducha winnych dzieciach.”

Ania musiała chyba myśleć tak samo, bo przystanęła z jedną nogą na pierwszym stopniu i odwróciła się do mnie.

— Jak wychodziliśmy, to zamknęliśmy drzwi! — powiedziała dziewczynka, broniąc się przed niesłusznym oskarżeniem. — Maciek może to potwierdzić... No, powiedz panu Pawłowi, jak było, Maciek!

— Trzasnąłem drzwiami, żeby nie mieć wątpliwości — oświadczył ośmiolatek z pewną miną.

— A ja spojrzałam za siebie, jak zbiegaliśmy. Drzwi były zamknięte — dodała Ania.

W tym momencie na klatce pierwszego piętra ponownie trzasnęły drzwi. Spojrzałem na nich pytająco i skrzywiłem usta w taki sposób, jakbym chciał powiedzieć: „I co na to powiecie?”

— Może po prostu ktoś włóczy się po korytarzu? — wyraził przypuszczenie chłopaczek i nie czekając na moją reakcję, wszedł do środka.

— Nieważne, to na pewno przeciąg — machnąłem ręką i jak struty powlokłem się za Anią i Maćkiem, którzy z energią dostępną tylko ludziom w ich wieku, wspięli się na pierwsze piętro.

Zanim wszedłem do mieszkania, poszedłem jeszcze na górę i, sprawdziwszy na wszelki wypadek, czy Zośka nie wdrapała się znów na dach, zamknąłem okno dachowe i postawiłem drabinę przy ścianie. Moją uwagę zwrócił duży, ręcznie malowany afisz zawieszony na drzwiach z tabliczką „KLUB SENIORA”. Afisz informował, że na dzisiejszy dzień zaplanowano wycieczkę do ogrodu botanicznego w Warszawie i dlatego klub będzie nieczynny.

Wróciłem do mieszkania. Mój doktor Watson w dwóch osobach już siedział przy stole. Czekali z minami niewinnie skrzywdzonych, szukających kogoś, kto pomściłby ich krzywdę.

— No, nie gniewajcie się — rzekłem, siadając za stołem. — Wierzę, że zamknęliście drzwi.

— Nie o to chodzi — wyrwało się Maćkowi.

Przypomniałem sobie o tajemniczym złodzieju, który przed chwilą ograbił dzieci.

„Lepszy od niego nie jestem” — pomyślałem z goryczą. „Ale może tym razem chociaż się na coś przydam.”

Spojrzałem na Maćka i Anię, westchnąłem.

— Opowiadajcie — zachęciłem ich — tylko powoli. Mam nadzieję, że tym razem nikt nam

nie przerwie.

— Po tym jak od pana wyszliśmy — zaczęła Ania — od razu się pokłóciliśmy. Maciek chciał kopać pod drzewami...

— Bo widziałem, jak na jednym horrorze — wszedł jej w słowo chłopaczek — „W czarnym, czarnym lesie...” się nazywał, król wilkołaków zakopał pod drzewem kociołek pełen złotych monet.

— ...a ja pod werandą bo pomyślałem, że może pani Anna kiedyś wychyliła się z okna i coś jej wpadło w trawę, a ponieważ była bogata, nie chciało jej się tego szukać — wyjaśniła swoją motywację dziewczynka. — W końcu stanęło na tym, że rzucimy monetą. Ja wybrałam reszkę...

— ...a ja orła — Maciek koniecznie chciał do dyskusji wtrącić swoje trzy grosze.

— Wypadła reszka — postanowiłem popchnąć opowiadanie naprzód.

— Skąd pan... — zdziwił się chłopaczek, ale zaraz skojarzył i umilkł na chwilę.

— Kopaliśmy na zmianę. Maciek nic nie znalazł, aleja... — dziewczynka uśmiechnęła się w taki sposób, jakby właśnie bardzo jej się udała recytacja podczas szkolnej akademii.

— Gdybym ja nie kopał najpierw, nic byś nie znalazła! — zaprotestował chłopczyk.

— Możecie mi powiedzieć, co znaleźliście? — rozsządziłem błyskawicznie spór. Poczulem, że zaczyna mnie boleć głowa.

— Możemy to nawet panu pokazać, bo zrobiłam zdjęcie — Ania zdjęła z szyi swój telefon komórkowy i przesunęła go po stole w moją stronę.

Na ekranie widać było nieco poczerwiała, ale z całą pewnością srebrny drobiazg ozdobiony czerwonymi kamieniami. Zaczep u jednego ze szczytów sugerował, że to kolczyk albo wisiorek.

Miał on kształt srebrnej obręczy, w której okrąg wpisano ażurowy kwiat maku. Wokół prostej łodygi płożły się i strzelały zawijasami w górę srebrne, włochate liście wypełniające całą przestrzeń wewnątrz okręgu, a jej szczyt wieńczył kwiatostan wykonany, na pierwszy rzut oka z rubinów, płonących na płatkach, i onyksów, czerniejących tajemniczo w środkowej „główce”. Klejnoty, rozświetlone popołudniowym słońcem, błyskały refleksami czerni i karminu.

— Jakie to piękne — zachwyciłem się jak dziecko. — Znaleźliście prawdziwy skarb!

— Ale zaraz ukradł nam go ten stary dziadyga! — oburzyła się Ania.

— Co to za „dziadyga”? — zapytałem i zaraz dodałem tonem pedagoga: — A w ogóle jak ty się wyrażasz o starszych ludziach? Należy im się szacunek.

— Temu się nie należy, bo jest złodziejem — odparowała dziewczynka. „Ma rację, ale czy będzie pedagogicznie, jeśli to przemilczę?” — zastanowiłem się, jednak Ania sama wybawiła mnie z kłopotu:

— No więc ten pan, który ukradł nam kolczyk nazywa się Grzegorz Kruk i mieszka na parterze pod czwórka. Musiał nas dość długo obserwować, bo jak wykopaliśmy i oczyściliśmy kolczyk...

— I jak zrobiłaś mu zdjęcie... — przypomniał Maciek.

— I jak zrobiłam mu zdjęcie, wychylił się nagle z okna.

— Strach był lepszy niż na „Drapiących w trumny” — podekscytował się chłopak. — Dostałem gęsiej skórki.

— No, ja też się trochę przestraszyłam, ale on się uśmiechnął i spytał, co trzymam w ręce. Powiedziałam prawdę. Że to chyba kolczyk pani Anny, która tu dawno temu mieszkała. On na to, że kolczyk jest bardzo piękny i czy mógłby go na chwilę zobaczyć. No to mu go dałam — Ania przelknęła ślinę, z trudem powstrzymując się od ponownego wybuchu płaczu.

— Co się działo potem, słyszałem — rzekłem, zwalniając ją w ten sposób od konieczności powtórnego przeżywania niemiłych wydarzeń.

— I co teraz zrobimy? — zapytała Ania, wzdychając, jakby była osobą która dowiedziała się właśnie, że ścigający ją od lat wierzyciele, postanowili nagle umorzyć jej wszystkie długi.

— Wy nie macie tu już nic do roboty — odparłem zdecydowanie. — To sprawa dla pracownika Departamentu Ochrony Zabytków.

Odesłałem Anię i Maćka do domu, sam zaś zszedłem piętro niżej i zapukałem do drzwi oznaczonych numerem „4”.

Długo nikt nie otwierał, a kiedy wreszcie w korytarzu po drugiej stronie rozległy się kroki, dzieliło mnie, jak się po chwili okazało, jeszcze całkiem sporo czasu, od momentu, w którym mogłem spojrzeć w twarz człowieka, który okradł Anię.

Oto bowiem za drzwiami odegrano całą symfonię na zasuwy, zamki i łańcuchy. Gdyby tylko po tych odgłosach sądzić o zamożności lokatora numeru czwartego, trzeba by uznać, że znajduje się on na liście pretendentów do najwyższego miejsca na liście stu najbogatszych mieszkańców Konstancina.

W końcu drzwi się uchyliły i ukazała się w nich szczupła i pomarszczona twarz z dwoma kępkami siwych włosów przypominających kaczy puch po obu stronach głowy. Wiotka, gładko ogolona skóra układająca się w wałeczki pod brodą i oczami sugerowała, że mężczyzna był kiedyś otyły i schudł dopiero na starość. Krzaczaste brwi, przywodzące na myśl puszczyka nadawały twarzy nieco groźny wygląd.

— Czego pan chce? — zapytał obcesowo, taksując mnie jednocześnie ruchliwymi oczami uważnego obserwatora.

— Dzień dobry — odparłem uprzejmie. — Przychodzę w imieniu Ani Sułek, wie pan, tej dziewczynki z góry — uniosłem rękę z palcem wskazującym. — Ania pyta — starałem się nadać swojemu głosowi taki ton, żeby nie było wątpliwości, kto tak naprawdę kieruje do niego pytanie i czym może grozić niewłaściwa na nie odpowiedź — czy mógłby pan już oddać jej kolczyk, który wypożyczył pan przed kilkoma godzinami.

— Kim pan w ogóle jest? — zapytał, a ja pomyślałem, że coś chyba do niego dotarło, skoro nie zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

— Paweł Daniec z Departamentu Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki — zdekonspirowałem się, żeby zrobić na panu Kruku odpowiednie wrażenie. Dużo nie ryzykowałem, bo z opowieści pani Zakrzewskiej wynikało, że mieszkaniec spod „czwórki” to odludek, stroniący od reszty mieszkańców.

— Chyba z Departamentu Ochrony Bachorów — żartował grubo, a potem dodał poważnym już tonem: — Nie wiem, o czym pan mówi. Jaki kolczyk?

— No cóż — odrzekłem chłodno. — Chciałem dać panu szansę... Ale skoro tak stawia pan sprawę, to chyba czas wezwać kogoś, kto będzie w stanie kompetentnie rozstrzygnąć nasze małe nieporozumienie.

Sięgnąłem po telefon komórkowy i, nie zwracając uwagi na patrzącego na mnie z uwagą Grzegorza Kruka, wybrałem numer konstancińskiej komendy i przełączyłem telefon na tryb głośnomówiący. Trzy sygnały i zgłosiła się sekretarka.

— Poproszę z aspirantem Grzymałą. I niech mu pani powie, że dzwoni Paweł Daniec.

Kruk szybko zmiękł.

Grzymała nie zdążył nawet odebrać, a Grzegorz Kruk już trącił mnie w ramię, jakby chciał mi z niego wytrącić telefon.

— Daj pan spokój — szepnął drżącym głosem. — Tylko żartowałem.

Przerwałem połączenie i spojrzałem na niego wyczekująco.

Chwilę się wahał, ale potem pokręcił głową i zniknął w mieszkaniu, zamykając za sobą drzwi. Kiedy znowu je otworzył, trzymał w ręku kolczyk znaleziony dzisiaj przez Anię. Klejnocik został dokładnie oczyszczony z brudu i śniedzi. Dopiero teraz można było w pełni docenić mistrzostwo jubilera i jakość materiałów, których użyto do wytworzenia ozdoby.

— Nie chciałem po prostu, żeby wpadł w niepowołane ręce — jęknął ciężko wciskając mi kolczyk w otwartą dłoń, którą przed siebie wyciągnąłem.

— To wspaniale, że myśli pan z taką troską o zabytkach — nasyciłem swoją pochwałą odpowiednią dawką ironii. — Naprawdę to doceniam — kiwnąłem poważnie głową. — Ale pozwoli pan, że jako człowiek mający do czynienia z podobnymi wypadkami na co dzień i zajmujący się nimi profesjonalnie, zdejmę z pana jarzmo odpowiedzialności za ten piękny drobiazg.

— Zgadzam się — wysyczał Kruk przez zęby i trzasnął mi drzwiami przed nosem.

Musiałem wbiec bardzo szybko po schodach, żeby nie zakrzusić się śmiechem, któremu upust dałem dopiero przekroczywszy próg mego mieszkania.

— Pan w jakiej sprawie? — zapytał mnie zaniedbany szpakowaty czterdziestolatek o zmęczonym spojrzeniu ciemnych oczu i trzydniowym zarostie. W ręku trzymał pilota od telewizora. Podkoszulek, który w jednym miejscu wystawał z dżinsowych spodni, wyglądał na niezmienny od kilku dni.

— Czy zastałem Anię? Przyniosłem jej coś, co zgubiła po południu.

Damian Sułek, bo to właśnie on, jak się bez trudu domyśliłem, otworzył mi drzwi, spojrzał na mnie podejrzliwie, a kiedy uznał, że jestem niegroźny, cmoknął i krzyknął „Anka, chodź tutaj” w głąb bardzo długiego i bardzo wąskiego mieszkania, które niemal w całości można było obejrzeć z korytarza — pod ścianami dwie wersalki, jeden tapczanik, biurko z komputerem, telewizor plazmowy, regał wypełniony kryształowymi naczyniami, na podłodze dywan, na parapecie kwiaty, na jednej ze ścian fototapeta przedstawiająca egzotyczną plażę z palmami i szmaragdowym morzem. Ze środka wybiegła Ania.

— Proszę — podałem jej kolczyk. Podniosła klejnot i chwilę mu się przyglądała, jakby nie wierzyła własnym oczom.

— Ponieważ go znalazłaś, niech zostanie u ciebie na przechowanie — rzekłem poważnie. — Za kilka dni trzeba go będzie oddać do muzeum, tak jak każdy skarb znaleziony w ziemi.

Dziewczynka skinęła głową i, nie pytając nawet wujka o zgodę, pobiegła w dół po schodach. Po chwili rozległ się dzwonek, a po nim podekscytowany krzyk:

— Zobacz, Maciek, co mam!

— A więc to pan jest tym sławnym poszukiwaczem skarbów — w oczach Damiana Sułka pojawiło się coś na kształt rozbawienia. — Ania od wczoraj nie mówi o nikim innym... — dodał ironicznie.

— Paweł Daniec — wyciągnąłem rękę w kierunku mężczyzny.

— Damian Sułek — przedstawił się. — Może wpadłby pan na mecz? — skinął głową w stronę mieszkania i dodał zachęcająco: — Mam płatny kanał z ligą hiszpańską a i jakieś piwko by się znalazło w lodówce. Moglibyśmy przy okazji pogwarzyć co nieco o skarbach. Skoro moja siostrzenica zdołała odkopać takie cudo już po dwóch dniach znajomości z panem, to może ja... — przerwał na sekundę i zmienił temat. — Zdaje się, że za ten srebrny drobiazg będzie dostać sporo kasy.

— Ma wartość przede wszystkim historyczną — spróbowałem wcisnąć mu kit, ale na jego twarzy pojawił się uśmiezek świadczący, że mi się nie udało. — Poza tym, tak jak powiedziałem

Ani, kolczyk i tak musi trafić do muzeum. Takie jest u nas prawo — dodałem z naciskiem. — Można najwyżej wystąpić o znaleźne.

— Nie omieszkam tego zrobić w imieniu małej. Przyda jej się parę groszy. To co, wejdzie pan?

— Dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam — odparłem uprzejmie. — Miałem ciężki dzień i czuję, że znowu zaczyna mnie boleć głowa. Piwo tylko pogorszyłoby sprawę. Może innym razem...

— Jak pan chce — wzruszył ramionami Damian Sułek i rzekł nieco obrażonym tonem: — Skoro pan taki zmęczony, to dłużej nie zatrzymuję.

— Dobranoc — pożegnałem się, ale to nie był koniec rozmowy. Wchodziłem już pod piątkę, kiedy drzwi u sąsiadów się otworzyły i wyjrzał z nich Sułek.

— Ale z tym, żeby dawać takie cenne rzeczy na przechowanie nastolatkom, to słabo pan wymyślił — powiedział, kiedy odwróciłem głowę i spojrzałem na niego przez ramię. — Dziewczynka może łatwo zgubić ten kolczyk...

W jego głosie usłyszałem jakiś dziwny, niepokojący ton i odwróciłem się całym ciałem, żeby dokładniej przyjrzeć się twarzy sąsiada, ale on już zniknął za drzwiami.

„No trudno” — machnąłem ręką. „Pewnie mi się zdawało.”

Jeśli dzień był ciężki, to noc, która po nim nastąpiła, trzeba by nazwać koszmarem na jawie.

Zaczęło się od bólu głowy. I nie potrzeba było wcale piwa Damiana Sułka, by nieprzyjemne ómienie w skroniach zamieniło się w łupanie kamieni o czaszkę.

Spróbowałem wszystkiego — ciepłego prysznica i zimnego okładu, wietrzenia mieszkania i podwójnej dawki paracetamolu, wreszcie spokojnego leżenia. Dopiero mieszanka tych dwóch ostatnich sposobów przyniosła odrobinę ukojenia i pozwoliła zasnąć.

Ale ból wrócił i to ze zdwojoną siłą. Obudziłem się w środku nocy i, chociaż przewracałem się długo z boku na bok, piłem wodę i wychodziłem kilka razy do łazienki, nic to nie dało. Uczucie jakby ktoś ścisnął moją głowę w wielkim imadle nie pozwalało zasnąć.

Wstałem i czując, że głowa ciąży mi jak ołowiana kula, dotarłem do kuchni. W apteczce odszukałem środek ostateczny — pyralginę. Zazwyczaj staram się unikać silnych leków przeciwbólowych, ale tym razem sytuacja była szczególna.

Zażyłem pigułkę, popiłem ją obficie wodą i, wiedząc że nie zadziała szybciej niż za pół godziny, poszedłem na werandę, zabierając po drodze krzesło z salonu.

Noc była piękna i ciepła. Na pogodnym niebie zaszedł już księżyc i widać było sporo gwiazd. Popijałem wodę małymi łydkami i patrzyłem na pomarańczowe światło latarni padające na liście rosnącego blisko ulicy drzewa.

W młodości, jeszcze zanim trafiłem do wojska, uczyłem się w szkole z internatem i tam miałem podobny widok z okna. Wtedy jego bezruch napełniał mnie niepokojem, jak cisza przed burzą ale teraz, po tylu latach, przestał działać na mnie w ten sposób. Był tylko wspomnieniem beztrudnej młodości, która gdy trwała zdawała się być czasem szaleństw i ryzyka, a teraz, gdy zasmakowałem już prawdziwych niebezpieczeństw i trosk, jawiła się jako nie-przerywane niczym pasmo spokojnych dni i nocy.

Po kwadransie ból głowy zelżał na tyle, że mógłbym właściwie wrócić do łóżka, ale zasmakowałem w nocnym czuwaniu.

„Korzystaj z luksusów, póki możesz” — pomyślałem, przypominając sobie industrialny krajobraz rozciągający się wokół mojego bloku i mikroskopijny balkon, z którego można było go

„podziwiać”.

Siedziałem więc i rozkoszowałem się nocną ciszą. Nawet niewygodne krzesło nie było w stanie zepsuć mi przyjemności.

Pamięć, szczególnie wzrokową mam dobrą więc po godzinie obserwowania ogrodu znalazłem na wrywki część widoczną z mojej werandy. Zachciało mi się pić i poszedłem po wodę do lodówki.

„Nawet dobrze, że zaciągnąłeś nocną wartę, Pawle” — pomyślałem, łapiąc w dłoń oszronioną butelkę. „Powinieneś to zrobić w pierwszą noc po przyjeździe. Tylko szczęściu zawdzięczasz, że nic się nie stało.”

„Jeśli istotnie nic się nie stało” — dodał przyuczajony we mnie głos przekory.

W te pędy wróciłem do okna i zasiadłem na zydelku, ale moje obawy były na szczęście płonne. Godzinę później niebo zrobiło się granatowe, a potem szare. Odezwały się ptaki. Poszedłem spać.

Później, już po wszystkim, zastanawiałem się wiele razy, czy było tak, jak mówili policjanci. Że prawie od razu zorientowali się, kim jestem i że każdego dnia po zmroku któryś z nich przez wiele godzin obserwował „Annę”, ukryty za płotem sąsiedniej willi o nazwie „Julia”.

A jeśli tak było, dlaczego już tamtej nocy nie zauważyłem sylwetki przyuczajonej w cieniu wysokich drzew?

Odespawszy pół zarwanej nocy i posiliwszy się jajecznicą na kielbasie, zrobiłem sobie mocnej kawy i z zamiarem pożytecznego spędzenia późnego poranka i wczesnego popołudnia, wróciłem do salonu, żeby w trzech, jeszcze nie rozpakowanych pudłach, poszukać kopii książek i dokumentów dotyczących „Anny”, zdobytych po części dzięki mojemu koledze z Wojewódzkiego Urzędu Zabytków, po części dzięki szybkiej kwerendzie w ministerialnej bibliotece.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że zawartość dwóch pudeł nie zgadzała się z tym, co zapamiętałem.

„Przecież papiery schowałem do kartonu po proszku do prania, a gary do skrzynki po jabłkach. A teraz jest odwrotnie. Tylko dzieci były w moim mieszkaniu same. Czyżby grzebały w moich rzeczach, kiedy mnie tu nie było?” — pomyślałem, czując w brzuchu niemiły skurcz, pojawiający się zawsze, gdy się na kimś zawiodłem. Natychmiast jednak odrzuciłem tę myśl. Nie miałem powodów, żeby nie ufać moim pomocnikom.

„Może w takim razie coś mi się pomieszało” — pomyślałem, drapiąc się po karku.

I wtedy sobie przypomniałem.

Wczoraj, po konfrontacji z Zosią, zanim wróciliśmy z dziećmi do willi, ktoś w krótkim okresie czasu dwukrotnie trzasnął drzwiami. To co wówczas wziąłem za niedopatrzenie Ani i Maćka oraz działanie przeciagu, dało się wytłumaczyć w inny sposób.

„Był tu ktoś jeszcze. Ktoś obcy” — przemknął mi przez głowę gotowy wniosek.

Ten „Obcy” usłyszał rumor na korytarzu. Spojrzał przez Judasza” i zobaczył najpierw mnie, a potem Anię i Maćka zbiegających po schodach. Wyszedł z mieszkania, odkrył, że drzwi do mieszkania numer pięć są otwarte i postanowił przeszukać moje rzeczy. Kiedy usłyszał jak wracamy, przestraszył się i wrzucił rzeczy do pudeł, nie zwracając uwagi, że zrobił to niewłaściwie. Wybiegł z mojego mieszkania, trzaskając drzwiami i wpadł do swojego.

Moje rozumowanie prowadziło do trzech wniosków.

Po pierwsze: „Obcy” wiedział lub podejrzewał, że nie jestem tym za kogo się podaję i szukał

w moim mieszkaniu potwierdzenia dla swojej tezy.

Po drugie: „Obcy” musiał od pewnego czasu mnie obserwować i czekać na dogodny moment, by przeszukać moje mieszkanie.

Po trzecie: „Obcy” mieszkał na tym samym piętrze co ja lub miał tu współnika, który pozwolił mu umknąć przed nami do swego mieszkania. Na dachu się nie schował, bo zobaczyłbym go, gdy sprawdzałem, czy nie polazła tam Zośka, schowki na drugim piętrze były zamykane na klucz i, jak to obliczyłem, „Obcy” miałby za mało czasu, by między dwoma trzaśnięciami drzwi, wbiec na drugie piętro, otworzyć zamek i zniknąć w schowku. Klub seniora zaś, ostatnie miejsce, w którym mógłby się skryć, był wczoraj nieczynny z powodu wycieczki.

Wszystko to razem oznaczało, że w „Annie” czai się tajemniczy przeciwnik, a nitki do niego prowadzącej należy szukać w trzech mieszkaniach: pod numerami szóstym, siódmym i ósmym. Konduktor, a może jego siostra? Przedszkolanka czy wdowa po pułkowniku Wojska Polskiego? Nie miałem pojęcia. Ani pomysłu, w jaki sposób to odkryć. Przeszukałem oczywiście całe mieszkanie, ale poza zamianą rzeczy w kartonach „Obcy” nie zostawił po sobie żadnych śladów. Nakazałem sobie jeszcze większą czujność i uwagę, a potem, żeby nie tracić czasu na płonne rozmyślenia, zabrałem ze sobą kopie fragmentów książek, w których wspomniano o „Annie” oraz odbitki dokumentów konserwatorskich i poszedłem na werandę.

— Dzień dobry, panie Pawle! — przywitani mnie z dołu Ania i Maciek, których umorusane twarze świadczyły dobitnie, że od rana nie próżnowali. Wczorajszy sukces spowodował u nich wybuch entuzjazmu i niczym niehamowanego ataku „gorączki złota”.

Uzbrojeni w moją saperkę zdążyli już przeryć sporą część ogrodu. I chociaż zakopywali pieczołowicie każdy dołek, otoczenie „Anny” i tak wyglądało jakby przeszło tędy stado kretów z ADHD.

Rozłożyłem sobie drugi, jedyny ocalały, leżak, przysunąłem do niego zydelek przyniesiony w nocy i ustawiłem na nim kubek z kawą po czym zabrałem się do czytania.

Godzinę później wiedziałem już, że willę „Anna” zbudowano w latach 1902-1905, według projektu Jana Heuricha, tego samego, którego dziełem jest monumentalny gmach Banku Towarzystwa Spółdzielczych, znany lepiej jako „Dom Pod Orłami” przy ulicy Jasnej, półokrągły budynek Towarzystwa Higienicznego przy ulicy Karowej, gdzie ma swą siedzibę między innymi jeden ze stołecznych domów aukcyjnych, a także neoklasycystyczny gmach Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy przy ul. Koszykowej.

Pomysłodawcą budowy konstancińskiej rezydencji był Albert Klimpel, warszawski adwokat, który wznosił budowlę dla swojej żony Anny, od której imienia dom wziął swą nazwę.

Przez pierwsze dwadzieścia pięć lat willa służyła rodzinie Klimplów. Najpierw obojgu, a od 1913 roku, gdy Anna zmarła, już tylko Albertowi, który zresztą zamknął oczy w jej murach w roku 1930, zapisując budynek Kasie im. Józefa Mianowskiego.

Warto w tym miejscu przerwać na chwilę opowieść, by przywołać ducha tej sławnej w dwudziestoleciu międzywojennym organizacji istniejącej zresztą do dziś, z przerwą w latach 1952-1991, pod nazwą Fundacji Popierania Nauki.

Powołana została do życia w 1881 roku przez 45 członków założycieli, związanych wcześniej z warszawską Szkołą Główną wśród których znalazły się znakomitości ówczesnej polskiej sztuki, nauki i biznesu, z takimi nazwiskami, jak Prus, Sienkiewicz, Natanson i Kronenberg na czele. Renoma założycieli i szczytny cel — wspieranie polskiej nauki i informowanie społeczeństwa o jej potrzebach spowodowały, że nowo powstała instytucja w szybkim czasie dysponowała znacznymi środkami: w ciągu półtora roku potroiła się suma do rozdysponowania potrzebującym naukowcom i

periodykom. Pod koniec zaborów Kasa nie miała sobie równych pod względem zasobności na ziemiach polskich — w ciągu pierwszych dwudziestu pięciu lat istnienia otrzymała prawie milion dolarów od około trzech tysięcy osób oraz dwa i pół razy tyle od jednego tylko ofiarodawcy — Witolda Zglenickiego, jednego z pionierów azerskiego przemysłu naftowego, który oddał Kasie dochody z wziętego w dzierżawę pola naftowego w Surachanach koło Baku, wpisując się tym samym złotymi zgłoskami w annałach polskiej nauki.

Działalność Kasy przyniosła jej uznanie w oczach społeczeństwa, które nazwało ją „ministerstwem nauki polskiej w latach niewoli”.

Wielka wojna 1914-1918 przyniosła złą passę. Zyski z pola naftowego w Surachanach przestały płynąć na konto Kasy, a kryzys wywołany przez wojnę uszczuplił dochody z akcji. Po raz kolejny jednak otrzymała Kasa wsparcie od społeczeństwa, a od roku 1928 także liczącą się pomoc państwową. Jej znaczenie, wobec powstania normalnych w niepodległym kraju urzędów centralnych, zmalało.

To właśnie w latach międzywojennych doszło do wydarzenia, które mogło być inspiracją dla szlachetnego czynu Alberta Klimpla.

Oto w 1922 roku, szewc z Warszawy, Stanisław Hiszpański podarował Kasie posiadłość Kilińskie w Mładzu niedaleko stolicy, gdzie utworzono dom pracy i wypoczynku dla ludzi nauki, przewany „Mądralinem”.

Osiem lat później, zgodnie z ostatnią wolą adwokata z Warszawy, „Anna” podzieliła los „Mądralina”. Również w jej murach znaleźli azyl ludzie nauki, a willa zyskała nowe miano wśród mieszkańców Konstancina. Nazywano ją odtąd „Osiedlem Profesorskim”.

Przez dziewięć lat w jej przestronnych, jasnych pokojach pracowało wiele znakomitości, spośród których, z braku miejsca, wymieńmy tylko trzy: Anielę Zagórską tłumaczkę Josepha Conrada, Władysława Tatarkiewicza, autora kanonicznej „Historii filozofii” i wybitnego językoznawcę Stanisława Szobera.

Po wojnie budynek znacionalizowano i urządzono w nim kilka mieszkań czynszowych. Na listę zabytków „Anna” trafiła 20 maja 1977 roku.

Dokumenty z Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków zawierały także, sporządzony przez konserwatora pod koniec lata osiemdziesiątych XX wieku, szczegółowy opis budynku, napisany językiem dość hermetycznym i naszpikowanym zwrotami typu: „fryz elipsoidalnych tarcz w wieńcu roślinnym na wysokości śłemia górnej kondygnacji”, ale dzięki specjalistycznej terminologii precyzyjnie oddający rzeczywistość. Na koniec swego raportu konserwator postulował „dokonanie dokładnych badań technicznych budynku” i oceniał stan zachowania „Anny” jako „zadowolający”.

Oprócz raportu konserwatora miałem jeszcze do dyspozycji fachowo opracowaną ewidencję ogrodu. Jej autorzy stwierdzali, że „pierwotny układ części ozdobnej [czyli tej w najbliższym sąsiedztwie domu] nawiązywał do secesyjnej architektury budynku” i „jest czytelny w śladach”. I chociaż stan zachowania ogrodu jest zły, to jednak specjaliści od architektury krajobrazu zdołali odtworzyć zarys „pierwotnego układu” i przedstawić go na szczegółowym planie dołączonym do ekspertyzy.

Widać było na nim trzy łukowate alejki odchodzące koncentrycznie od południowej werandy willi i łączące się z u góry i dołu z długimi alejami obiegającymi dłuższe ściany domu od zachodu i wschodu; wschodnia alejka wyginała się ku wschodowi, niczym drzewce napiętego łuku, po czym otaczała dom od północy i łączyła się z zachodnią odnogą kilka metrów od północno-zachodniego krańca willi.

W ewidencji wymieniono wszystkie gatunki drzew i krzewów od *Acer negundo*, czyli klonu jesionolistnego do *Tilia platyphyllos*, to jest lipy szerokolistnej, zaznaczając jednak, że „stan drzew jest bardzo zły”, a „większość świerków usycha”. Sam ogród zdaniem ekspertów powinien znaleźć nowego właściciela, zdolnego zapewnić drzewom „fachową opiekę” i „pielęgnacją alejek”, które w przeciwnym razie staną się zupełnie nieczytelne.

Na ostatniej kartce z pliku przekazanego mi przez kolegę-konserwatora znalazłem zdjęcie „Anny” wykonane wiele lat temu. Była to pocztówka wydrukowana w Zakładach Graficznych A. Hurkiewicz i S-ka w roku 1916, a więc zaledwie jedenaście lat po ukończeniu budowy.

Porównanie z obecnym stanem budynku wypadło pocieszająco. Owszem, na starej fotografii „Anna” prezentowała się nieco lepiej — idealnie zharmonizowane linie okien, balkonów, tarasów i dachów nienadgryzione były jeszcze zębem czasu, a wrażenie, że oto patrzymy na wielkopańską posiadłość wzmacniała kształtna markiza oceniająca balkon na szczycie domu od ulicy i znajdujący się nad nią wykonany secesyjną czcionką napis „Anna”, którego próżno szukać dzisiaj w tym miejscu, ale zamysł architekta ciągle był idealnie widoczny i tak samo jak przed wiekiem cieszył oko.

Miałem dość. Słońce stało wysoko. Wpadało na werandę przez liczne szybki i odbijało się od białych kartek papieru, drażniąc coraz bardziej oczy. W czasie czytania zamykałem co chwila powieki, ale to tylko pogarszało sprawę, bo kiedy je otwierałem, na siatkówce pozostawały czerwone, seledynowe i złote plamy powidoków.

Obejrzawszy reprodukcję kartki pocztowej, uznałem, że nadszedł czas na fajrant i chociaż został mi do przeczytania jeszcze spory stosik odbitek, podniosłem się z fotela i łapiąc jedną ręką plik przeczytanych już dokumentów, które po kolei odkładałem na kolana, wstałem na równe nogi. Wyrównałem plik kartek uderzając jego szerszym brzegiem o siedzisko zydelka i włożyłem go pod spód stosu nieprzeczytanych papierów. Zbiłem kartki w równy blok, schowałem je na dno szafy i zamknąwszy ją starannie na klucz, udałem się do kuchni, by za pomocą zawartości ukrytej w lodówce butelki ożywić nieco zmęczony myśleniem i promieniami słońca umysł.

Gazowana woda przyjemnie chłodziła spalony przetyk. Odstawiłem szyjkę od ust dopiero wtedy, gdy w pełnym przed chwilą naczyniu pozostała najwyżej jedna trzecia napoju. Westchnąłem z błogością zakręciłem butelkę i wstawiłem ją do lodówki.

Wróciłem na balkon po pustą i brudną szklankę po kawie. Zabierając ją stamtąd, spojrzałem na kopiące zawzięcie dzieci i przypomniałem sobie o ich wczorajszej wizycie u pułkownikowej Odrowążowej i tajemniczym pamiętniku z wytłoczonymi na skórze inicjałami „A.K.”.

Niedbałym ruchem wsadziłem szklankę do zlewu i spojrzałem w kuchenne okno, za którym widać było majestatyczną koronę świerku rosnącego obok „Anny”. Moje oko zatrzymało się na jednej z gałęzi. Odruchowo zacząłem liczyć odrosty...

„Nie mogę przecież tak po prostu pójść do mojej sąsiadki i zapytać ją: »Co pani wie o Annie Klimpel i o złotych makach? Czemu ukrywa pani pamiętnik właścicielki willi? Czyżby zawierał jakąś tajemnicę?«”

„Chociaż...” — pomyślałem w końcu tknięty intuicją. „Czemu by właściwie tak nie zrobić? Najprostsze i najbezpieczniejsze rozwiązania są czasem najlepsze.”

W chwilę potem zamykałem już drzwi wejściowe do swego mieszkania. Chciałem przekuć swój zamiar w czyn jak najszybciej, by żadna zbędna wątpliwość nie zdążyła mnie od tego odwieść.

— Kim pan jest? — zapytała pułkownikowa.

Była staruszką której zdjęcie można by z powodzeniem umieścić na opakowaniu domowych ciasteczek. Siwy koczek, rumiane policzki, zapach wody z aromatem kamfory i róż. Uśmiech. Teraz walczący na twarzy z nieufnością.

— Paweł Daniec. Sąsiad spod piątki — odpowiedziałem, przywołując na twarz szeroki i przyjazny uśmiech. — Mieszkam już w „Annie” od kilku dni i uznałem, że nadszedł najwyższy czas, żeby się przedstawić.

— Bardzo mi miło — sąsiadka odpowiedziała sympatycznym uśmiechem niemal zupełnie pozbawionym już obaw. — Tacy grzeczni kawalerowie jak pan rzadko się już dzisiaj trafiają... Och, przepraszam — zakryła usta dłonią w geście, o który można by raczej podejrzewać pensjonarkę, a nie emerytkę; zachichotała cichutko — pan może wcale nie jest kawalerem...

— To aż tak widać? — podniosłem brwi w udawanym zdziwieniu. — Rzeczywiście nie znalazłem jeszcze swojej drugiej połówki — dodałem z ociąganiem.

— Zawstydziłam pana — staruszka była najwyraźniej zadowolona ze swego wyczynu. — W rewanżu zapraszam na kawę. Proszę wejść.

„Każda, nawet najdłuższa, droga zaczyna się od pierwszego kroku” — przypomniałem sobie słowa klasyka i przestąpiłem próg.

ROZDZIAŁ ÓSMY

**U PUŁKOWNIKOWEJ • „OŁTARZYK” • SZARLOTKA • DZIEJE PUŁKOWNIKA
ODROWĄŻA • APETYT I SZCZEROŚĆ • CO PORABIA KSIĄŻĘ WILLIAM? • DO
ATAKU! • CZY MOJA GOSPODYNI JEST PANNĄ MARPLE? • NA WYCIĄgniĘCIE
RĘKI • FOTOGRAFIE, KTÓRYCH NIE MA W ARCHIWACH • „ANNA” OD ŚRODKA •
ZAGRABIONE DZIEDZICTWO ANNY KLIMPEL • INTERESIK • DWA ŚLEDZTWA •
SĄ!**

O dziwo, mieszkanie nie pachniało wcale kurzem i starymi, noszonymi aż do zdercia, ubraniami. Już w korytarzu wpadał w nozdrza wchodzącego zapach kwiatów, świeżo upieczonego ciasta i przyprawionego ze znanostwem mięsa i kartofli.

Z ciemnego, niewyróżniającego się niczym przedpokoju weszliśmy do salonu. Jasny pokój wypełniały ciężkie meble z jasnobrązowego, politurowanego drewna — stół i stoliki, krzesła, sofa obita czerwonym pluszem i, naprzeciwko okna, potężna komoda, na której ustawiono pamiątki po pułkowniku Odrowążu.

Tak jak to trafnie ujęła pani Zakrzewska, było to „coś w rodzaju ołtarzyka”.

Centralne miejsce zajmowała wyretuszowana i podkolorowana fotografia oficera, przypominająca stylem wykonania monidło.

Przedstawiała ona przystojnego mężczyznę po trzydziestce, z krótkimi, wypielęgnowanymi wąsami, gładko ogolonymi policzkami, sympatycznym, chociaż uważnym spojrzeniu i ustami o mocno zaznaczonych wargach, układających się w minę poważną ale przez delikatne uniesienie jednego z kącików ust, zdradzającą skłonność do żartów. Mężczyzna był ubrany w mundur i czapkę, a ponieważ zdjęcie obejmowało również jego ramiona, można było na nich dostrzec dystynkcje kapitana.

Nad portretem oprawionym w drewniane ramki wytarte od polerowania wisiała szabla w czarnej pochwie. Po prawej stronie portretu, w wąskiej gablocie umieszczono odznaczenia z dwoma charakterystycznymi krzyżami *Virtuti Militari* w centralnym miejscu, po lewej zaś kilkanaście dokumentów w ramkach. Z fotela, w którym usadziła mnie gospodyni nie sposób było dostrzec ich treści, mogłem tylko rozróżnić, że część z nich została napisana na maszynie, część zaś odręcznie.

— Przepraszam, że nie poczęstuję pana czymś konkretniejszym — powiedziała pani Stanisława, wnosząc do pokoju srebrną tacę z porcelanowym dzbankiem, filiżankami, talerzykami i niewielkim półmiskiem z tego samego materiału, na którym piętrzyła się pokrojona w duże kawałki szarlotka. — Ale chwilkę przed pańskim przyjściem, skończyłam jeść obiad. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że szarlotkę piekę naprawdę pyszną... Nawet mój... — w tym miejscu urwała, przypomniawszy sobie widać, o czymś przykrym, bo jej pogodna twarz na trzy sekundy zrobiła się poważna. Kobieta bez słowa postawiła tacę na stoliku i bardzo powoli, najwyraźniej żeby się uspokoić, rozłożyła na przykrytym obrusem blacie dzbanek z herbatą, zastawę i ciasto.

— Pani krewny musiał być znakomitym żołnierzem — rzekłem, gdy gospodyni naląła mi mocnego naparzu i położyła na moim talerzyku ogromny kawałek szarlotki; chciałem w ten sposób przerwać krępujące milczenie. — Nie każdy otrzymuje dwa razy najwyższe polskie odznaczenie wojskowe — dodałem, robiąc delikatny ruch głową w stronę gablotki z krzyżami *Virtuti Militari*.

— To mój mąż — odparła pułkownikowa, wyraźnie zadowolona ze zmiany tematu. — I ma pan co do niego rację. Pierwszy krzyż dostał za udział w obronie Warszawy w 1939 roku, drugi za

Monte Cassino. Ale mówiąc szczerze, wolałabym, żeby nie wisił tu żaden z tych wspaniałych medali.

Ponieważ usta wypełniała mi szarlotka, a nie chciałem pluć kruszonką na wykrochmalony obrus pułkownikowej, ograniczyłem swoją reakcję do zdziwionego podniesienia brwi.

— Tak, tak — pokiwała smutno głową kobieta. — Podziwiam go oczywiście za jego odwagę i patriotyzm, ale wolałabym, żeby w ogóle nie brał udziału w wojnie, jeśli zamiast tego mógłby tu teraz siedzieć cały i zdrowy.

— Czy pani mąż...? — zapytałem, przełknąwszy kęs ciasta.

— Nie — pokręciła głową. — Nie zginął w czasie wojny. Ale to wojna go zabiła. Po klęsce wrześniowej przebijał się jesienią i zimą na wschód. Nocował w wilgotnych szopach i piwnicach, na zgniłej słomie, czasem w rowie, na gołej ziemi. Kiedy wreszcie przebił się do naszych w Kazachstanie, był w tak złej formie, że wojskowi lekarze dawali mu najwyżej dwa miesiące życia. Jakimś cudem się wykaraskał i poszedł dalej z Andersem, ale gruźlica, której nabawił się w czasie przeprawy została tylko zaleczona. Nie dawała znaku życia przez kilkanaście lat. Zaatakowała dopiero w Anglii, kiedy byliśmy już na emigracji. Nie dała mu żadnych szans. W pół roku zamieniła prawie zdrowego sześćdziesięciolatka w stuletniego, wychudzonego starca. I chociaż mój mąż walczył zawsze do końca, tym razem nie miał szans. Przeklęta gruźlica dokończyła to, co zaczęli Hitler do spółki ze Stalinem... Pułkownik Odrowąż... — wymieniła szarżę i nazwisko męża z dumą przemieszaną z pewnego rodzaju pokorą i zmieszaniem, jakby nie czuła się godna, by być jego żoną; — leży na cmentarzu Gunnersbury w Londynie. Wtedy jeszcze nie byłam pewna, czy wrócę do Polski. Zresztą istotnie, upłynęło sporo czasu, zanim znów pojawiłam się w kraju.

— Przykro mi — odparłem i milcząc, wpatrzyłem się w pusty talerzyk. Cisza trwała do chwili, gdy pułkownikowa opacznie zrozumiała mój gest.

— No proszę! — zachnęła się. — Nie ma pan już nic na talerzu... Może nie smakuje?

Zapewniłem ją solennie, że nic podobnego nie ma miejsca i, żeby potwierdzić moje słowa, pozwoliłem sobie dołożyć nowy kawałek ciasta. Spałaszowałem go w iście sprinterskim tempie i zapytałem, czy możliwa jest druga dokładka.

— Oczywiście — uśmiechnęła się gospodyni, sięgając po srebrną łyżkę. — Taki młody człowiek jak pan może bezkarnie opychać się słodyczami... Obrazi się pan, jak nie wezmę następnego kawałka? Staruszka w moim wieku musi uważać na wątrobę...

— Zostanie więcej dla mnie — zazartowałem trochę grubo, ale pułkownikowej najwyraźniej spodobał się mój dowcip:

— Apetyt i szczerość — skomentowała gospodyni. — Oto dwie oznaki zdrowia. Cieszę się, że zostaliśmy sąsiadami, młody człowieku...

Odpowiedziałem uśmiechem i zagłębiłem zęby w szarlotce.

Rozmowa zesłała na lżejsze tematy — pogodę i ploteczki o zbliżającym się ślubie brytyjskiego następcy tronu, księcia Williama, bo moja gospodyni w czasie pobytu na Wyspach Brytyjskich, podobnie jak nieprzeliczone rzesze poddanych Elżbiety II, śledziła z zapartym tchem perypetie królewskiej rodziny. Przeprowadzka do Polski nie położyła kresu tej pasji. Jej pielęgnowanie było tym łatwiejsze, że od wielu lat można było u nas dostać brytyjskie bulwarówki. Omawianie manier przyszłej księżnej, jej pochodzenia oraz pierścionka zaręczynowego z szafirem było dla mnie tym łatwiejsze, że od kiedy zobaczyłem w telewizji przyszłą towarzyszkę życia księcia Williama, zostałem, platonicznie oczywiście, wielbicielem jej urody.

Dopiero po półgodzinie rozmowa zesłała na temat, który sprawił, że poczułem miłe mrowienie w okolicach krzyża, zwiastujące zbliżanie się momentu rozwiązania zagadki.

— Ciekawe, gdzie pojadana miesiąc miodowy? — na twarzy pułkownikowej pojawił się taki wyraz, jakby przed oczami przepływały jej w tym momencie bajecznie kolorowe migawki z rajskich wysepek, miast pełnych najwspanialszych pamiątek ludzkiej cywilizacji i targowisk, na których można kupić owoce o nazwach niemożliwych do wymówienia dla Europejczyka.

— Gdybym to ja miał decydować, wybrałbym się na południe Francji...

— Żartuje pan?! — pułkownikowa ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy. — Pan, jako anonimowy turysta bawiłby się tam może dobrze, ale księżę William i jego małżonka? Przecież paparazzi nie daliby im spokojnie zrobić jednego kroku! Pamięta pan te ohydne zdjęcia, które zrobiono tam kilka lat temu matce tego nieszczęsnego chłopca...

W jej głosie zabrzmiała pewność. Najwyraźniej uważała za oczywiste, że fotki strzelone z ukrycia Lady D. i Dodiemu Alfayettowi, są znane każdemu równie dobrze jak „Słoneczniki” van Gogha.

— Oni muszą się ukryć — powiedziała takim tonem, jakby z parapetu okna w salonie zwisało ostatkiem sił kilku paparazzi, czekając tylko, aż pułkownikowa wyjawi cel poślubnej podróży księcia Williama i jego żony. — Najlepiej na jakiejś bezludnej wysepce... To byłoby takie romantyczne.

„Teraz, Pawle, teraz!” — pomyślałem i przystąpiłem do ataku.

— Skoro tak stawia pani sprawę... — rzekłem z namysłem, a potem pojechałem po bandzie: — to może powinni wybrać się do Konstancina. Tu jest tyle pięknych willi. Na przykład „Anna”...

— Chciał pan zdaje się powiedzieć, że tu kiedyś było wiele pięknych willi — zachnęła się pułkownikowa, akcentując z naciskiem czasownik. — To dotyczy także „Anny”.

— Chyba pani przesadza — rzekłem z powątpiewaniem — widziałem przedwojenną pocztówkę ze zdjęciem „Anny”. Nie da się ukryć, że budynek trochę się zmienił, ale...

— Pocztówka, o której pan mówi — starsza pani weszła mi w słowo — nie pokazuje willi w środku.

— Piszę pracę doktorską o konstancińskich willach — rzekłem, ciesząc się, że wymyślona przeze mnie legenda wreszcie może się do czegoś przydać — i nigdy nie widziałem zdjęć z wnętrza „Anny”.

— Nie wszystkie zdjęcia są w archiwach — odparła, popijając kawę i patrząc na mnie znacząco. — Chyba pan o tym wie jako doktorant?

Poczułem spływającą po krzyżu strużkę potu. „Na pierwszy rzut oka nie wyglądała na pannę Marple” — pomyślałem i przeszedłem do kontrofensywy:

— Wiem o tym — odparłem, starając się nadać mojej twarzy zdecydowany wygląd. — I dlatego przeniosłem się na pewien czas do Konstancina. Liczyłem, że spotkam tu ludzi, którzy pomogą mi dotrzeć do nieznanych opowieści i dokumentów...

Pułkownikowa przez kilka sekund badawczo mi się przyglądała, a potem lekko skinęła głową jakby udzielała pozytywnej odpowiedzi na zadane samej sobie pytanie.

— Wygląda mi pan na porządnego człowieka — przerwała pełną napięcia ciszę i, nie wyjaśniając niczego więcej, podniosła się z krzesła i podeszła do komody ze zdjęciem zmarłego męża. Przykucnęła z pewnym trudem i otworzyła dolną szufladę.

Wyjęła z niej pudełko wykonane z hebanu i, trzymając je w prawej ręce, lewą wsunęła szufladę z powrotem. Wróciła do stołu z hebanową skrzynką i postawiła ją przed sobą. Uchyliła wieczka i zaczęła wykladać zawartość na stół.

Paczka dokumentów z urzędowymi pieczęciami przewiązana błękitną wstążką kolczyk z makiem, taki sam jak ten znaleziony przez Anię i Maćka w ogrodzie i wreszcie pamiętnik

oprawiony w skórę z wytłoczonymi na niej inicjałami „A. K”.

Odkładała rzeczy po kolei na stosik po prawej stronie puzderka, a ja czułem rosnące podniecenie, które opanowywało mnie zawsze, gdy znajdowałem się blisko jakiegoś cennego artefaktu. Uczucie to potęgował jeszcze fakt, że chociaż pamiętnik znajdował się na wyciągnięcie ręki, nie było na razie sposobu, by po niego sięgnąć, nie narażając się na wyrzucenie za drzwi.

Położywszy pamiętnik na stole, pani Stanisława wyjęła z pudełka plik zdjęć podklejonych tekturkami. Wprawnym ruchem zatrasnęła pudełko i położyła szkatułkę po swojej lewej stronie, robiąc miejsce przed sobą na stole.

Potem zaczęła selekcję zdjęć. Trzymając przed sobą plik fotografii w ten sposób, że widziałem tylko ich niezadrukowane rewery, oglądała szybko zdjęcie po zdjęciu, dzieląc je na dwa stosy. Po prawej łądowały zdjęcia przedstawiające wnętrze „Anny”, po lewej fotografie, których pułkownikowa najwyraźniej nie chciała mi pokazać, bo kładła je zadrukowaną stroną do dołu.

Pięć minut później skończyła.

— Z tego co wiem, to jedyne ocalałe odbitki — rzekła z uśmiechem, podając mi cztery fotografie.

Ostrożnie wziąłem je od niej i uważnie obejrzałem. Trzy zdjęcia wykonano w salonie na parterze, ustawiając aparat w różnych jego punktach.

Domyśliłem się tego, bo na dwóch fotografiach widać było drzwi w kształcie podkowy, wiodące do ogrodu. Na środku pokoju znajdował się podłużny stół o zaokrąglonych brzegach obstawiony dwunastoma krzesłami z wygiętymi oparciami, pociętymi pionowo wąskimi szczelinami.

Nad stołem zwisał kryształowy zyrandol. Pod ścianami ustawiono cztery wysokie szafy o przeszklonych drzwiczkach wypełnione srebrami, szkłem i porcelaną. Żałowałem, że zdjęcie nie jest kolorowe, bo z wizyt w licznych muzeach posiadających w swych zbiorach secesyjną sztukę użytkową wiedziałem, jaką inwencją kolorystyczną wykazywali się artyści tamtego okresu.

W przerwach pomiędzy szafkami widać było japońskie grafiki, a pod nimi na specjalnie do tego celu wykonanych stojakach o smukłych nogach pyszniły się niskie i pękate wazon, przypominające miski, w których zwracały uwagę skomponowane ze znanstwem bukiety świeżo naciętych kwiatów. Kielichy irysów, maków i lilii wodnych strzelały w górę, podczas gdy liście opadały w dół, poza brzegi wazonów.

Czwarte zdjęcie już znałem. Była to fotografia pokazana mi wczoraj przez Anię, przedstawiająca państwa Klimplów w ogrodzie.

— Czy to pierwsi właściciele willi? — zapytałem, pokazując pułkownikowej ostatnie zdjęcie. — Albert i Anna Klimplowie?

Skinęła głową w potwierdzeniu.

— Czy mógłbym? — spytałem, wyciągając z kieszeni telefon i wskazując na niego nieznacznym skinieniem głowy.

— Proszę się nie krępować — powiedziała pułkownikowa. — Zawsze chętnie pomagam młodym ludziom.

Strzelając fotki, zastanawiałem się, w jaki sposób skłonić panią Stanisławę, by pozwoliła mi obejrzieć pamiętnik.

— Niesamowity dokument — rzekłem, kopiując fotografię Klimplów w ogrodzie. — To niemal cud, że dotrwał do naszych czasów.

— Raczej zapobiegliwość mojej świętej pamięci mamy — odparła starsza pani.

— To znaczy, że jest pani spokrewniona z Klimplami? — dedukowałem.

— Nie — na twarzy pułkownikowej pojawił się wyrozumiały uśmiech. — Moja matka była osobistą pokojówką pani mecenasowej aż do jej przedwczesnej śmierci. Opiekowała się nią w ostatnich dniach jej życia. Przez te kilka lat służby pani mecenasowa bardzo przywiązała się do mojej matki, która stała się dla niej w końcu kimś w rodzaju najbliższej przyjaciółki. Takiej, wie pan, której można powierzyć każdy sekret. Dlatego też kilka godzin przed swoją śmiercią powierzyła pieczy mej matki hebanową szkatułkę ze swoimi prywatnymi skarbami. Wśród nich były zdjęcia, pamiętnik, trochę urzędowych papierów, kilka ulubionych sztuk biżuterii...

— Pamiętnik? — zapytałem, przelatykając ślinę. — Gdybym mógł go przejrzeć... — spojrzałem na nią błagalnym wzrokiem. — Na pewno wniósłby wiele do mojej pracy.

Pułkownikowa sięgnęła na szczyt stosu piętrzącego się po jej prawej stronie i wzięła z niego książeczkę z wytłoczonymi złotem literami.

— Obawiam się, że nie na wiele się panu przyda — orzekła tajemniczo, podając mi książeczkę. Przyjąłem ją od niej ze ściśniętym gardłem, drżącą dłonią.

Położyłem pamiętnik przed sobą przejechałem palcem po złobieniach w skórze i uchyliłem okładkę. Pani Stanisława miała rację.

Tylko trzy pierwsze ze stu stron były wypełnione drobnym, ładnym pismem, jakiego od dawna nie uczą w szkole. Zapiski pochodziły z czerwca i lipca 1913 roku. Dotyczyły wyłącznie samopoczucia autorki, leków i pogody. Ostatni nosił datę 14 lipca i został napisany drżącą i bardzo słabą ręką, o czym świadczyły litery co chwila wyłamujące się z karnych szyków i pofalowana kreska atramentu, z której się składały.

— Pani mecenasowa pisała to tuż przed swoją śmiercią 15 lipca 1913 roku — wyjaśniła pułkownikowa.

— Ciekawe, czy zaczęła prowadzić dziennik tuż przed śmiercią czy istniały może jakieś wcześniejsze tomy.

— Istniały — oświadczyła z mocą pani Stanisława. — Mama mówiła, że kiedy dostała szkatułkę od pani mecenasowej, były w niej jeszcze trzy takie same zeszyty, w całości wypełnione.

— Co się z nimi w takim razie stało?

— Wojna — odparła krótko pułkownikowa, jakby to słowo wszystko tłumaczyło, a widząc moje pytające spojrzenie dodała: — Ukradli je Niemcy po upadku powstania. „Anna” nie była już wówczas prywatnym mieszkaniem, ale pensjonatem dla naukowców. Moja matka jednak ciągle tam pracowała. Była ochmistrzynią i kierowała służbą pracującą w pensjonacie. Niemcy zjawili się wkrótce po tym jak padła Warszawa i kazali wynosić się z konstancińskich willi ich poprzednim właścicielom i mieszkańcom.

Przerwała na sekundę. Chyba po to, żeby napić się herbaty.

— Przyszli też do „Anny” — podjęła po chwili opowieść. — Spędzili wszystkich mieszkańców do ogrodu, a potem przez kilka godzin przeszukiwali dom. Pozwolili mieszkańcom wrócić i zabrać swoje rzeczy dopiero, kiedy skończyli. Mama pobiegła od razu do swojego pokoju. Panował tam okropny bałagan, a szkatułka z hebanu leżała na podłodze. Wieczko zostało oderwane od skrzynki. Zniknęły z niej prawie wszystkie kosztowności i trzy tomy pamiętnika. Zostały zdjęcia, dokumenty, ostatni tom pamiętnika i ten kolczyk — w tym momencie pułkownikowa wskazała na ozdobę z makiem wpisanym w srebrne kółko.

— Mógłbym go zobaczyć? — zapytałem, a kiedy pani Stanisława podała mi cacko, przyglądałem mu się długo i z zainteresowaniem, żeby nie mogła pomyśleć, że już gdzieś widziałem podobny przedmiot.

— Nie wie pani, jak nazywał się Niemiec, który kierował rewizją? — rzekłem, wiedząc, że

czasem naiwne pytania najszybciej pozwalają dotrzeć do prawdy. — Może zostawił jakieś zapiski, które pozwoliłyby trafić na ślad skradzionych rzeczy?

— Niestety — starsza pani rozłożyła ręce w bezradnym geście. — Nawet jeśli się przedstawił, w co szczerze wątpię, mama tego nie zapamiętała.

Na kilka chwil zapadła cisza.

— Może jeszcze szarlotki? — zapytała pułkownikowa, ujmując w dłoń łypatkę do ciasta.

— Serdecznie dziękuję, ale nie — zaprzeczyłem energicznie i położyłem dłonie na brzuchu w znaczącym geście. — Sama pani rozumie... — uśmiechnąłem się.

— To może herbatki? — jej ręka przesunęła się w stronę ucha porcelanowego dzbanka.

— Też dziękuję. Zresztą będę się chyba zbierał — podniosłem się z krzesła. — Zająłem pani już dość czasu.

— I tak mam go za dużo na emeryturze — odparła. — Poza tym to zawsze miło porozmawiać z młodym inteligentnym człowiekiem.

— Dziękuję, że pokazała mi pani te wszystkie skarby... — wskazałem na hebanowe pudełko i leżącą obok niego zawartość. — Nie każdy zaufałby obcemu człowiekowi.

— Dobrze panu patrzy z oczu — odparła pułkownikowa — a poza tym mam w tym swój mały interes.

Uniosłem brwi w geście łagodnego zdziwienia.

— Proszę się nie bać — staruszka zrobiła uspokajający gest ręką — pokazałam panu to wszystko, bo liczę na to, że odnajdzie pan zagubione tomy pamiętnika. Jako doktorant jest pan na pewno dobry w przeszukiwaniu archiwów — znów posłała mi znaczące spojrzenie. Takie samo, jak przed kilkoma minutami, gdy po raz pierwszy nawiązała do mojej fikcyjnej pracy doktoranta.

— Co nieco potrafię — oparłem skromnie i zapewniwszy pułkownikową że powiadomię ją o efektach moich poszukiwań natychmiast, gdy tylko się pojawią pożegnałem się i wróciłem do mieszkania numer pięć.

Wrzucając mrożoną mieszankę chińską na patelnię i sprawdzając, czy ryż jest już odpowiednio ugotowany rozmyślałem nad tym, w jakim kierunku zmierzało śledztwo, a raczej dwa śledztwa prowadzone jednocześnie.

Historyczna zagadka dotycząca żony pierwszego właściciela, wywołana z zaświatów za pomocą wymyślonej przeze mnie historyjki nieoczekiwanie rozwinęła się interesująco i, ku memu zdziwieniu, co chwila pojawiały się w niej nowe tropy, nad którymi można było pracować — tajemnicze zachowanie pułkownikowej, gdy Ania zapytała ją o złote maki, znaleziony w ogrodzie kolczyk, zaginiony pamiętnik. Bez względu na to, do czego miało mnie to doprowadzić, kusilo tajemnicą i odpowiadało moim zainteresowaniom.

Tymczasem śledztwo w sprawie zagrażającej „Annie” ruiny mocno się skomplikowało. Robert Weiss był co prawda ciągle moim głównym podejrzanym, jednak konfrontacja, do której doszło po moim niefortunnym występie w roli podglądacza, znacznie utrudniła sprawę i zmuszała mnie do zastosowania subtelniej szych środków. I chociaż ciągle chciałem pomóc pani Zakrzewskiej, to coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że obrona „Anny” przed ewentualnym zburzeniem to zadanie przeznaczone raczej dla policji niż samotnego detektywa-amatora wyspecjalizowanego w odzyskiwaniu skradzionych dzieł sztuki.

Ledwie zdążyłem wypić poobiednią kawę na werandzie, kiedy przyszli Ania z Maćkiem. Nie udało im się niczego znaleźć, ale zapał ich nie opuszczał.

— Dzisiaj nie mamy już siły, ale jutro kopieemy od rana — oświadczyła dziewczynka, podając mi saperkę.

— W takim razie trzymajcie łopatę u siebie. Coś mi się zdaje, że przez kilka następnych dni nie będę jej potrzebował...

— Wpadł pan na jakiś trop? — zapytał Maciek, zniżając głos i rozglądając się wokół, chociaż staliśmy na środku pokoju.

— Napijcie się herbaty? — zaproponowałem, robiąc tajemniczą minę.

— Myśli pan, że da się znaleźć ten pamiętnik? — zapytała Ania, wysłuchawszy relacji z wizyty u pułkownikowej.

— Trudno powiedzieć — oświadczyłem. — Jutro spróbuję się rozejrzeć w bibliotekach i archiwach. Wtedy będę mądrzejszy niż dzisiaj.

— Ale jakieś szanse są? — dopytywał się chłopaczek. W jego oczach błyszczała nadzieja.

— Zobaczymy — stwierdziłem ogólnie, a ponieważ zbliżała się już pora dobranocki, dzieciaki dopiły tylko herbatę i poszły do siebie, klóćąc się, które z nich ma przechować przez noc saperkę.

Było jeszcze jasno, więc postanowiłem zdrzemnąć się przed kolejną nocną wartą.

— Tak czy siak muszę pojechać jutro do ministerstwa i poprosić o kolejny tydzień urlopu — westchnąłem kładąc się do łóżka w dresach, by móc w każdej chwili z niego wyskoczyć. Wcześniej zasłoniłem szczelnie okna i nastawiłem budzik na dwudziestą trzecią.

„I tak nie powinni się zjawić przed północą” — stwierdziłem w myślach i przyłożyłem głowę do poduszki.

Dopiero teraz zrozumiałem, jaki byłem zmęczony. Nie zdążyłem nawet obrócić się na drugi bok, a już spałem.

Obudził mnie dzwonek telefonu. Było ciemno jak na dnie studni, a ja jeszcze nie do końca się rozbudziłem, więc trzy sekundy zajęło mi przypomnienie sobie, gdzie się znajduje.

Telefon dzwonił nieubłaganie, więc odwróciłem się do kartonu służącego mi jako nocna szafka i podniosłem aparat. Opadłem na poduszkę i nie patrząc nawet kto dzwoni, odebrałem.

— Dobry wieczór, panie Pawle — odezwał się po drugiej stronie znajomy szept.

— Dobry wieczór, pani Barbaro — odpowiedziałem po sekundzie, zorientowawszy się, że telefonuje pani Zakrzewska. — Coś się stało?

— Przed domem znów stoi ten samochód — odparła tonem, w którym usłyszałem rozwibrowane nuty przerażenia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z PAMIĘTNIKA ANI • CZY ON TU TYLKO PARKUJE? • INTRUZ W CZERNI • POGOŃ
ZA CIENIEM • PRZEZ PŁOTY I PODWÓRKA • „CHŁOPAKI, CHODU!” • HUK W
SKRONIACH... • ...I SKRZYPIENIE NAD GŁOWĄ • PŁONĄCE SZMATY • GORE! •
NIERÓWNA WALKA • FORSUJĘ DRZWI • NA RATUNEK • ŚWIEŻE POWIETRZE •
„RATUJCIE MOJE OBRAZY!” • DZIEŁA ZDOLNEGO AMATORA • SPOJRZENIE,
KTÓRE OSKARŻA • PRZEOCZENIE

Z PAMIĘTNIKA ANI

Drogi Pamiętniku!

Dzisiaj mama na mnie nakrzyczała. Stwierdziła, że wyglądam jak kocmołuch i że jeśli dalej będę brała nowe ubrania do zabawy w piachu, to wkrótce zbankrutuje na proszku do prania. W PIACHU!!! Powiedziała „w piachu”, a przecież tyle razy jej mówiłam, że nie bawimy się z Maćkiem w piaskownicy, tylko prowadzimy WYKOPALISKA. Będę musiała jej to jutro znowu wytłumaczyć. Może zrozumie.

Za to wujek Damian rozumie mnie doskonale i jest ciekawy tego, co robimy z Maćkiem. Przy kolacji pytał, czy udało się nam coś nowego znaleźć, no ale się nie udało, więc musiałam go rozczarować.

*

Nie mogłam zasnąć i przed chwilą wpadłam na NIESAMOWITY POMYSŁ. Chyba wiem, gdzie można zapytać o ZŁOTE MAKI!!! No, ale cicho sza! Zobaczmy, co znajdzie jutro pan Paweł. Może wszystko się potwierdzi?

Dobranoc. Pchły na noc. Karaluchy pod poduchy. Żyrafy do szafy, a szczypawki pod zabawki. Teraz już NAPRAWDĘ dobranoc.

Szedłem ostrożnie. Tak, żeby nie skrzypiały schody.

Pani Zakrzewska, ubrana w ortalionowy dres wyglądała lęklwym wzrokiem na ciemny korytarz. Oczy starszej pani błyszczały w mroku. Wpuściła mnie do mrocznego mieszkania i powiodła do zasłoniętego okna, wychodzącego na ulicę Żeromskiego.

— Stoją od jakiegoś kwadransu — rzekła. — Niech pan sam zobaczy. Między framugą a zasłoną jest szpara.

Co powiedziawszy, zostawiła mnie samego przy oknie, sama zaś zniknęła w głębi mieszkania.

Przysunąłem się do smugi pomarańczowego światła ulicznej latarni, wpadającego przez szparę i wysunąłem nieznacznie oko. Jakies trzydzieści metrów w górę ulicy stał czarny mercedes klasy S z przyciemnianymi szybami. Światła miał zgaszone i na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby tu po prostu zaparkował.

Skupiłem się na obserwowaniu samochodu tak bardzo, że trzask zapalniczki, który doszedł z głębi domu, wystraszył mnie śmiertelnie. Obróciłem się odruchowo w tamtą stronę. Najpierw poczułem

zapach tytoniowego dymu, a potem zobaczyłem wyłaniającą się z mroku panią Zakrzewską, która zakrywała dłonią żarzący się na końcu papierosa czerwony ognek. Starsza pani zaciągała się łapczywie.

— Coś się dzieje? — zapytała szeptem.

— Nie — odparłem i spojrzałem przez szparę.

„W samą porę” — pomyślałem, patrząc na tylne światła odjeżdżającego w górę ulicy samochodu.

Silnik mercedesa pracował bardzo cicho. Nie głośniej od odkurzacza nowszej generacji. Nie mógł więc obudzić nikogo w oddalonej o kilka metrów „Annie” ani w żadnym z pobliskich budynków.

Pani Barbara poprowadziła mnie bez słowa do drugiego pokoju z oknem wychodzącym na wschód. Ponieważ nie zaciągnięto tu zasłon, a tylko delikatne firanki, mogliśmy przez nie obserwować, jak mercedes powoli odjeżdża w kierunku ulicy Batorego i znika, zasłonięty przez willę „Julia”. Słyszeliśmy też jego cichnący coraz bardziej odgłos, bo okno było uchylone.

— I już po wszystkim? — zapytała pani Zakrzewska, gasząc papierosa w stojącej obok jej łóżka popielniczce. Ciągle bała się podnieść głos.

— Chyba tak — odparłem i już miałem się odwrócić do wyjścia, kiedy w ogrodzie przed nami dostrzegłem poruszający się cień. Sylwetka ubrana na czarno przeskoczyła przez płot odgradzający „Julie” od „Anny”, chwilę przy nim stała, a potem skryła się w cieniu drzewa. Zamarła.

Chociaż od szyby odgradzała nas tylko firanka, to przez okno prawie nie wpadało światło z ulicy, więc ubrana na czarno osoba skradająca się przez ogród, nie mogła nas dostrzec. Mogła nas jednak usłyszeć, więc na wszelki wypadek pokazałem pani Zakrzewskiej gestem, żeby zachowała ciszę. Skinęła w potwierdzeniu głową.

Czarna postać ruszyła do przodu. Dźwigała coś w obu rękach. Z powodu ciemności trudno było zidentyfikować, co niesie. Dopiero gdy zbliżyła się do willi na jakieś trzy metry, usłyszeliśmy dźwięk jakiegoś płynu obijającego się o ścianki z metalu. Jakby woda biła o ściany motorówki albo...

— A to drań! — syknąłem cicho i rzuciłem się do okna.

Gdy do niego biegłem, jednym ruchem zdzieralem firankę, podciągałem się na framudze i wyskakiwałem na zewnątrz, jak przez mgłę docierały do mnie odgłosy z zewnątrz — zduszony dźwięk przerażenia pani Barbary, metaliczne strzały żabek wyrywanych przemocą z karniszy, chlupotanie benzyny obficie wylewającej się z kanistra. Stukanie zapałki o zapałkę w kartonowym pudełku, trzask zielonej, obtoczonej w siarce główki o draskę. Cichy syk zapałki gasnącej natychmiast po tym jak zapłonęła.

Skoczyłem, dotknąłem stopami gruntu i ciągle kucając, obróciłem się wokół własnej osi. Intruz w czerni, oddalony ode mnie o kilka metrów dostrzegł mnie i na moment się zawahał. Miałem szczęście, że pierwsza zapałka okazała się bublek i zawiodła podpalacza w najważniejszym momencie.

Zanim zdążył wyciągnąć drugą zapałkę, już biegłem w jego stronę. Chwycił jeden z kanistrów i cisnął we mnie z całą siłą. Zasłoniłem się odruchowo rękami, ale na unik nie starczyło już czasu. Śmierdzący benzyną baniak uderzył mnie boleśnie i obalił na ziemię.

To dało bandycie chwilę czasu. Kiedy się podnosiłem, wysforował się do przodu i był już zaledwie pięć metrów od płotu „Anny”. Ponieważ musiał się na niego wspiąć, zdołałem zmniejszyć przewagę i dopadłem płotu w momencie, gdy on zeskakiwał z niego po drugiej stronie. Służyłem

kiedyś w wojsku i teraz byłem wdzięczny sierżantowi Moskalikowi, który zawsze dawał nam wycisk na torze przeszkód. Ciało zapamiętało odpowiednie ruchy i przesadziłem płot w trzy sekundy.

Od razu ruszyłem za biegnącym wzdłuż fasady „Julii” podpalaczem. Gdy przesadziłem solidny stalowy płot dzielący nas od kolejnej posesji, miałem do niego już tylko trzy metry straty.

Znajdowaliśmy się na terenie willi „Zbyszek”, zrujnowanego i opuszczonego przez ludzi budynku, który zwrócił moją uwagę już pierwszego dnia po przyjeździe do Konstancina. To właśnie tam biegł intruz w czerni. Ze zdziwieniem dostrzegłem, że na piętrze budynku pali się światło.

— Chłopaki, chodu! — wrzasnął podpalacz i zniknął w zrujnowanym wnętrzu. Światło zgasło.

Wpadłem do środka trzy sekundy po nim i od razu się zatrzymałem. Pomyślałem, że jeśli będę cicho, uda mi się usłyszeć odgłosy ewentualnej ucieczki. Niestety, po szybkim biegu krew pulsowała mi w skroniach tak mocno, że skutecznie zagłuszała wszystkie inne odgłosy. Oczekałem chwilę, aż oczy przyzwyczajają się do nieprzeniknionych ciemności, a puls zwolni.

Trwało to trzy minuty.

W tym czasie zrozumiałem, że stoję w zrujnowanym hallu, którego kiedyś zapewne drewniana podłoga obróciła się już dawno w próchno, odsłaniając wnętrzości domu aż do fundamentów. Przez pokój prowadziła kładka z grubej wiórowej płyty, kończąca się u stóp szerokich schodów wiodących na pierwsze piętro.

Starając się oddychać jak najciszej, wsłuchałem się w otaczające mnie odgłosy, ale poza normalnym w starym, zrujnowanym domu skrzypieniem desek, powiewami wiatru wpadającego przez jedno i wypadającego przez drugie otwarte okno oraz chrobotaniem myszy i szczurów nic nie mąciło nocnego spokoju.

Jeśli podpalacz i jego kompani byli jeszcze w „Zbyszk”, to maskowali się po mistrzowsku. Już miałem zrobić krok do przodu, kiedy usłyszałem nad sobą ciche stąpanie. Ktoś, uważając na skrzypiące deski, przemieszczał się z jednego końca pomieszczenia nade mną w drugi.

Ruszyłem.

Jeden skok wystarczył mi, żeby wskoczyć na wiórową kładkę.

Trzy długie kroki, żeby dopaść do schodów. Potem dwa, żeby wspiąć się na półpiętro i jeszcze dwa na platformę pierwszego piętra. Razem pięć sekund.

Zatrzymałem się. Z pokojów nie dobiegał żaden odgłos. Za to po sekundzie rozbłysło coś po mojej prawej stronie i w chwilę potem przez klatkę schodową przeleciała kula z płonących szmat. Odsunąłem się. Kula zniknęła w pokoju po lewej.

Rzuciłem się za nią ściągając w biegu bluzę.

Zakryłem nią kulę, odcinając pomarańczowo-żółtym palcom dostęp do leżącego pod oknem stosu starych ubrań i połamanych krzeseł. Kilka razy uderzyłem stopą w bluzę, spod której buchnęły kłęby dymu. Po minucie pożarniczych zabiegów zajrzałem pod skrawek okopconego materiału z wypalonym na środku czarnym plackiem spalenizny. Ogień został pokonany!

Uniosłem rękę w niemym geście triumfu, ale szybko ją opuściłem, bo zdałem sobie sprawę, jak łatwo mnie oszukano. Podpalacze wykorzystali mój instynktowny lęk przed pożarem, żeby odwrócić od siebie uwagę. Wściekły pobiegłem na drugą stronę domu i wyjrzałem przez okno wychodzące na ulicę Batorego. Trzy czarne sylwetki ginęły mi właśnie z oczu.

— Psiakrew! — zakląłem, uderzając pięścią w ścianę. Nie miałem szans ich dogonić. Byli za daleko.

Nie dane mi było długo rozpamiętywać porażki. Gdzieś za moimi plecami dały się bowiem słyszeć przerażone krzyki ludzi. Odwróciłem się w tamtą stronę i w oknie skierowanym na zachód zobaczyłem willę „Julia”, nad której czarną uśpioną bryłą niczym aureola anioła zemsty, żarzyła się luna pożaru.

To nie „Julia” płonęła.

Zdałem sobie z tego sprawę niemal natychmiast po tym, jak przez otwartą furtkę w solidnym ogrodzeniu otaczającym „Zbyszka” wypadłem na ulicę. Wystarczyło przebiec jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, by dostrzec języki ognia w zastraszającym tempie pochłaniające drewnianą werandę „Anny”. Ogień, pasąc się na wysuszonym przez lata drewnie i rozlanej kilka chwil wcześniej benzynie, trząskając i wdzierając się śmiało coraz wyżej.

Czerwona poświata zalała wschodnią część ogrodu, w której zgromadzili się mieszkańcy płonącego budynku. Dzieci w piżamach wpatrujące się w ogień ze zwierzęcą fascynacją i wzdrygające się na każde głośniejsze trzaśnięcie płomieni, emerycy w szlafrokach, stojący najbliżej i zadzierający głowy znad przygarbionych karków, jakby chcieli dokładniej przyjrzeć się płomieniom, mąż tulący struchlałą żonę, na której głowie widać było zawiniątka papilotów...

Kilkoro ludzi, wśród których rozpoznałem Damiana Sułka, panią Zakrzewską i jeszcze czwórkę nieznaną mi ludzi — młodą kobietę i trzech starszych mężczyzn, stanęło do walki z ogniem, mając do dyspozycji jedynie gaśnice samochodowe. Już wcześniej przezornie usunęli spod domu kanistry, leżące teraz w głębi ogrodu. Niestety, ich wysiłki mogły opóźnić szalony pochód ognia, ale nie były w stanie ugasić pożogi.

Sułek, wyczerpawszy zapas zgromadzony w niewielkim zbiorniku, odrzucił go za siebie i zaczął okrążyć dom, biegnąc najwyraźniej do wejścia. Skoczyłem za nim. Był ode mnie grubszy, więc dogoniłem go szybko, na klatce schodowej i wykrzyknąłem:

— Gdzie pan lezie! Pożar zaraz tu będzie! Trzeba zadzwonić po straż!

— Już dzwoniliśmy! — odkrzyknął mi Sułek i wspinał się po schodach do platformy, z której wchodziło się do mieszkań na parterze. Przez sekundę się zastanawiał, a potem nacisnął klamkę drzwi mieszkania numer cztery. Było zamknięte.

„Zabawia się w szabrownika?” — przemknęła mi przez głowę myśl, której miałem się potem wiele razy wstydzić.

— Co pan wyrabia!? — wrzasnąłem, patrząc jednocześnie na wydobywające się przez szparę między drzwiami i podłogą smugi czarnego dymu. — To czad — wskazałem na czarne wstęgi. — Musimy uciekać!

— W środku jest człowiek — wyjaśnił, zachowując zimną krew. — Wywazał pan kiedyś drzwi?

Skinąłem głową i odsunąłem się od wejścia do mieszkania na dwa kroki, bo tylko na tyle pozwalała wąska przestrzeń między drzwiami i schodami. Postawiłem nogę na pierwszym schodku i już miałem się odepchnąć, kiedy Damian Sułek powstrzymał mnie gestem, zdarł z siebie płócienną koszulę od piżamy, rozszarpał ją na dwie części i podał mi jeden kawałek, drugim obwiązując sobie twarz.

— Czad — wyjaśnił krótko przytłumionym głosem i odsunął się, robiąc mi miejsce.

Podziękowałem mu gestem i zawiązałem na twarzy prymitywną maskę. Potem uderzyłem nie szczędząc sił.

Cios wyrwał zamek do połowy, tworząc w miejscu, gdzie przebiegała zasuwa trójkątne wybrzuszenie. Ból w ramieniu był silny, ale natychmiast natarłem ponownie.

Tym razem drzwi ustąpiły, wypuszczając na korytarz czarną chmurę.

Na szczęście ogień nie naruszył jeszcze instalacji elektrycznej i w mieszkaniu było jasno. Dymu było jednak tak dużo, że z trudnością dostrzegałem zarysy ścian. Wokół żarówek w żyrandolach kłębiły się czarne, groteskowe arabeski.

Lokatora spod „czwórki” znaleźliśmy w drugim pokoju, który łączył się z podpaloną werandą. Ogień smagał już wewnętrzne szyby i przez uchylone drzwi na werandę pompował do środka kłęby czarnego dymu, sprawiając, że pokój wyglądał jak przedsionek piekła.

Kaszłąc i mrużąc oczy przed szczypiącym dymem, przebiliśmy się na drugą stronę pokoju, pod otwarte na oścież okno. Nieprzytomny mężczyzna w długiej nocnej koszuli zwisał przewieszony przez parapet po obu stronach okna. Chude, skąpo owłosione i blade nogi nie dotykały parkietu.

Wystarczyło, że Damian Sułek zrobił nieznaczny gest w stronę okna i zrozumieliśmy się bez słów. Postawiłem nogę na wolnym fragmencie parapetu i wyskoczyłem na dwór. Świeższe niż w pokoju powietrze natychmiast wdarło się do płuc. Nasycona zbawczą mieszanką tlenu i azotu krew rozjaśniła myśl i oszołomiła na sekundę. Podbiegłem do okna i odebrałem od Sułka bezwładne ciało. Potem pomogłem memu towarzyszowi uciec z coraz bardziej zadymionego pokoju. Gdy zeskoczył na trawnik, w środku strzeliła pierwsza szyba, która nie wytrzymała gorąca.

Na kilka sekund zamarliśmy pod ścianą jak żołnierze w okopie, słuchając kolejnych trzasków pękającego szkła. Potem złapaliśmy uratowanego przed chwilą staruszka, Sułek za ręce, ja za nogi, i przenieśliśmy kilkanaście metrów dalej, w stronę zachodniego krańca willi, pod drugą werandę. Tu powietrze było świeże.

Zdarliśmy niepotrzebne już maski i ułożyliśmy starca na boku. Przyłożyłem ucho do jego pomarszczonych ust. Co prawda słabo, ale oddychał.

Powietrze potrzebowało kilkunastu sekund, by zastąpić zabójczy gaz w jego płucach. Zatrucie musiało być niewielkie, bo po chwili starzec zaczął kasłać, a kiedy oddech mu się jako tako uspokoił, otworzył oczy, podniósł się na łokciach i wrzasnął:

— Moje obrazy! One płoną! Ratujcie moje obrazy!

Na tyle starczyło mu siły. Wykrzyczawszy wezwanie, opadł znów na ziemię, zarzęził i ucichł. Po raz kolejny pochyliłem się, żeby sprawdzić, czy oddycha.

Dane mi było usłyszeć tylko dwa wdechy i jeden wydech. Potem wszystko zagłuszył jęk strażackiej syreny.

— Wyjdzie z tego — oświadczył lekarz, zatrzasnąwszy tylne drzwi karetki, za którymi leżał na noszach mężczyzna wyciągnięty przed chwilą z płonącej „Anny”; ratownicy nałożyli mu na twarz maskę, do której przez karbowaną rurkę płynął życiodajny tlen. — Łyknął trochę za dużo czadu — mówił dalej lekarz — ale w porę go panowie wyciągnęli.

Spokojny o los mieszkańca spod czwórki, podziękowałem lekarzowi i poszedłem wzdłuż południowej fasady willi, tej samej, z której skrajnego okna jeszcze przed chwilą zwisał nieszczęśnik znajdujący się teraz w drodze do szpitala.

Już kiedy krzyczał o obrazach, domyśliłem się, że to Grzegorz Kruk, aspołeczny emeryt, u którego pani Zakrzewska zauważyła kiedyś sztalugi i który nie raczył zaszczyścić jej nigdy prawdziwą rozmową.

W czasie akcji ratunkowej nie zwracałem uwagi na to, co mam pod nogami, ale teraz zdałem sobie sprawę, że raz czy drugi coś uderzyło mnie boleśnie w stopę osłoniętą tylko cienkim materiałem tenisówki. Nietrudno było domyślić się, co to było, ale wolałem rzucić na to okiem

osobiście.

Nie myliłem się. Pod otwartym oknem, w pomarańczowej poświacie ulicznych lamp leżało kilkanaście blejtramów w różnych rozmiarach. Dwa nabiły się na ostre gałęzie krzaka, rosnącego blisko okna. Tuzin innych zaścielał trawnik. Zbierałem je po kolei i ustawiałem pod oknem, tyłem do ściany.

Chociaż było ciemno, nietrudno było powziąć opinię, że Grzegorz Kruk nie należał do czołówki polskich malarzy. Jego płótna aż krzyczały, że ich autor to utalentowany amator. Potrafił dobrze oddać podobieństwo twarzy, bo na jednym z płócien dostrzegłem znajome oblicze Anny Klimpel siedzącej na ogrodowej ławeczce w towarzystwie nieznanej mi przyjaciółki, nieźle operował detalem, ale brakowało mu zmysłu proporcji i przede wszystkim umiejętności kompozycyjnych. Rośliny, budynki, przedmioty i ludzie tłoczyli się na jego obrazach, wypełniając szczelnie każdy kawałek płótna.

Odłożyłem ostatni obraz pod ścianę i skręciłem za róg, by obejrzeć efekty działań strażaków.

Widok, który ukazał się moim oczom, świadczył, że przybyli oni w ostatniej chwili, by ocalić zabytkową werandę „Anny”.

Po szybkach wprawionych w ażurowe szkielety okien nie zostało oczywiście ani śladu. Ostry dywan odłamków zaścielał trawnik u stóp drewnianej konstrukcji. Ale sam szkielec werandy, nadwątlony, zwęglony w kilku miejscach i czarny od dymu, trzymał się jeszcze w całości. Ogień nie zdążył nawet zatrzeć do końca snycerskich ozdób na zewnętrznej stronie balkonów.

„Zajmie to parę miesięcy, ale dobry konserwator sobie poradzi” — oceniłem optymistycznie i podszedłem do pani Zakrzewskiej, która wpatrywała się z uwagą w strumień wody płynący ze strażackiego węża i oblewający dla bezpieczeństwa obie kondygnacje werandy. Ponad drewnianą konstrukcją widać było kilku strażaków, sprawdzających stan dachu willi.

— Jak się miewa pan Kruk? — zapytała staruszka, wpatrując się ciągle w energiczne działania ludzi w czerwonych hełmach.

— Spędzi kilka dni w szpitalu, ale nic mu nie będzie.

— Dziwny ten pożar — rzekła pani Zakrzewska tonem, w którym dało się wyczuć chłód.

— Sam się nad tym zastanawiam — wyartykułowałem myśl, która dręczyła moją podświadomość od momentu, gdy zobaczyłem łunę z okna „Zbyszka”, ale dopiero teraz przybrała jasną postać. — Przecież podpalacz, którego przepędziłem spod „Anny”, zdążył tylko rozlać benzynę. Zapałki już nie rzucił. Musiał — myślałem na głos — zrobić to ktoś inny.

— Z ust mi to pan wyjął — powiedziała z przekąsem pani Zakrzewska. — Wie pan — mówiła dalej, ciągle nie zaszczycając mnie spojrzeniem. — Po tym jak wyskoczył pan przez okno, przemogłam strach i wyjrzałam na podwórko. Przez jakieś pięć minut nic się nie działo, a potem na rozlaną benzynę spadł żarzący się papieros.

— Widziała pani, kto go rzucił? — zapytałem podekscytowany, że może uda nam się natychmiast schwytać sprawcę pożaru.

— Nie — dla wzmocnienia swoich słów staruszka pokręciła głową. — Widziałam za to, z którego okna wypadł ten papieros...

— No i? — dopytywałem się niecierpliwie. — Z którego?

— Z pańskiego, panie Pawle — staruszka spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym próbował jej wyrwać torebkę na ulicy; poczułem jak krew odpływa mi z twarzy. — Papieros wypadł z okna pańskiej werandy.

Ledwie wypowiedziała te słowa, przed „Annę” zajechał radiowóz na sygnale. Kierowca zahamował gwałtownie, zgasił silnik i otworzył drzwiczki.

Spojrzenie aspiranta Grzymały omiotło uważnie miejsce przestępstwa, przebiegło po wystraszonych mieszkańcach „Anny”, strażackim wozie i ludziach w czerwonych hełmach i czarnych strojach. Potem spoczęło na mojej twarzy.

Przełknąłem nerwowo ślinę, bo zdałem sobie właśnie sprawę, że wychodząc z domu na wezwanie pani Zakrzewskiej, nie zamknąłem drzwi na klucz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W KLASIE • KROKI NA KORYTARZU • DOBRY POLICJANT • NIECH SIĘ PAN STRZEŻE! • ZALANA WERANDA • „POSTERUNEK ŻYWYCH TRUPÓW” ALBO GRANICE NIEPRAWDOPODOBIENSTWA • GDZIE SIĘ SZUKA SKARBÓW? • WABIK • W DELEGACJI • NIEPOKOJĄCA FURTKA • BYLI, ALE ICH NIE MA • KONIEC STARYCH SOJUSZY I POCZĄTEK WYŚCIGU • WIEŚCI

Świtało.

Od trzech godzin siedziałem w pustej klasie na końcu szkolnego korytarza. Aspirant Grzymała podszedł do zadania, które postawili przed nim podpalacze, z pełnym profesjonalizmem i zaangażowaniem.

Natychmiast po przybyciu zabronił nam ze sobą rozmawiać i osobiście dopilnował, byśmy go posłuchali, kiedy dwóch jego podwładnych zabrało się do oględzin miejsca przestępstwa. Następnie ściągnął z komendy jeszcze trzy radiowozy, które przewiozły wszystkich mieszkańców „Anny” do szkoły podstawowej w Konstancinie, gdzie aspirant miał nas zamiar po kolei przesłuchać. W pierwszej chwili po ogłoszeniu nam przez policjanta jego planów, podniosły się głosy o „internowaniu”, „ograniczaniu swobód obywatelskich” i „nadużywaniu uprawnień”.

— Oczywiście zrobią państwo, jak zechcą — odparł udając, że niezbyt go interesuje, jaką podejmiemy decyzję — ale jeśli teraz zostawię państwa w spokoju i pozwolę się wam ze sobą swobodnie kontaktować przed rozmową ze mną, będę musiał napisać w raporcie, że istnieje ryzyko, iż doszło w tej sprawie do mataczenia i uzgadniania zeznań...

— Jak pan śmie nas podejrzewać?! — oburzył się Damian Sułek.

— Płacami za to — uciął dyskusję policjant, a po chwili zapytał: — Więc jak będzie?

Nikt nie odważył się dłużej protestować i pojechaliśmy do szkoły. Na miejscu rozlokowano nas w osobnych pomieszczeniach, do których dostępu bronił policjant.

Zza drzwi klasy dobiegał mnie miarowy stukot jego ciężkich butów na posadzce korytarza. Od dwudziestu minut kroki oddalały się i zbliżały w usypiającym rytmie.

Trzasnęły drzwi. Miarowy, ciężki krok ucichł. Zastąpiło go nerwowe drobienie lekkich stóp. Wyobraziłem sobie, jak aspirant staje przed strażnikiem, wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, upewniając się, że wszystko w porządku i ruszają każdy w swoją stronę. Moje wyobrażenia potwierdziły odgłosy. Miarowy krok zaczął cichnąć, a drobienie ruszyło w moją stronę. Poczułem mrowienie na karku, po raz chyba jedenasty w ciągu ostatnich trzech godzin. Ilekroć aspirant Grzymała wychodził na korytarz, napinałem się niczym nieprzygotowany uczeń wywołany do odpowiedzi. Chciałem być gotowy w momencie, gdy wkroczy do „mojej” klasy, ale jak dotąd jedenaście razy drobne kroki cichły przed innymi drzwiami, a ja odprężałem się, słysząc jak trzaskają.

W końcu się doczekałem. Klamka powędrowała w dół i w drzwiach pokazała się głowa aspiranta Grzymały.

— Mogę? — zapytał, jakby odwiedzał mnie w prywatnym mieszkaniu, a nie zaimprovizowanym naprędce pokoju przesłuchań.

„Ktoś tu się chyba zabawia w dobrego policjanta. Zobaczymy, ile wytrzyma...” — pomyślałem i usadowiłem się wygodniej na za małym krzeselku, pochyliłem się do przodu, wyginając plecy w pałąk i kładąc łokcie na biurku przystosowanym dla kogoś o wzroście poniżej metra trzydziestu.

— Ależ oczywiście, panie aspirancie — uśmiechnąłem się promiennie. — Od dwóch godzin mocno doskwiera mi samotność. Chętnie z kimś porozmawiam.

— Cieszę się, że ma pan takie podejście — policjant wszedł do klasy i zamknął za sobą drzwi. Podszedł do biurka nauczyciela, usiadł na nim, skrzyżował drobne stopy i przewrócił kartkę w notesie, który ze sobą przyniósł. Spojrzał na mnie z góry.

— Zacznijmy od drzwi do pańskiego mieszkania — powiedział, śledząc moją reakcję.

— Zgadza się. Zapomniałem je zamknąć.

— Zapomniał pan — powtórzył po mnie, takim tonem, jakby się nad tym głęboko zastanawiał; długopis zatańczył nad kartką. — A dlaczego?

Zaskoczył mnie.

— No cóż — podrapałem się za uchem. Ku memu zdziwieniu, aspirant znowu coś zanotował. Przelknąłem ślinę i zdałem sobie sprawę, że pewnie analizuje moją mowę ciała. — Stało się chyba tak dlatego, że spieszyłem się na spotkanie z panią Zakrzewską...

Opowiedziałem mu dokładnie o tym, co wydarzyło się później. Słuchał i notował, wtrącając z rzadka jakieś pytanie o szczegóły i śledząc moje gesty. Doszliśmy wreszcie do momentu, gdy wróciłem pod spaloną werandę. Pomiąłem nieprzyjemną rozmowę z panią Zakrzewską i rzekłem, kończąc opowieść:

— A potem przyjechał pan ze swoimi ludźmi.

— Tak... — aspirant zawiesił głos, żeby zaatakować znienacka: — Dlaczego pani Zakrzewska twierdzi, że ma pan coś wspólnego z podpaleniem? Przecież sama sprowadziła pana do „Anny”.

— Podobno widziała, jak z mojego okna wyrzucono niedopałek, od którego zapaliła się benzyna rozlana na werandę — powiedziałem, wzdychając ciężko.

— Dlaczego mówi pan „podobno”? Myśli pan, że staruszka może kłamać? — powiedział, udając, że bierze to przypuszczenie na serio.

— Tak mi się tylko powiedziało — spróbowałem zbagatelizować swoje wcześniejsze słowa.

— Zostawmy to na razie — zarządził łaskawie aspirant i jakby dla podkreślenia swoich słów przewrócił kartkę w notesie. — Na czas wybuchu pożaru ma pan alibi — oświadczył, a w jego tonie zabrzmiała ledwie słyszalna nutka żalu. — Ciekawi mnie jednak, czy ma pan jakąś hipotezę na temat tego, kto mógł się wdrzeć do pańskiego mieszkania.

— Nie mam pojęcia, panie aspirancie. Mieszkam w „Annie” dopiero od kilku dni... A tak w ogóle, to mogę wiedzieć, do czego pan zmierza? — jęknąłem, zmęczony niedopowiedzeniami, półsłówkami i aluzjami policjanta.

— Tak, tak, wyleciało mi z pamięci — nie dał się sprowokować Grzymała. — Coś pan wspominał podczas naszej poprzedniej rozmowy, że przyjechał do Konstancina niedawno. Co za pech! — zrobił zatroskaną minę. — Przyjeżdża pan do nas, a tu od razu wybucha pożar... — zawiesił głos i wbił we mnie swoje podejrzliwe oczka. Wytrzymałem spojrzenie.

Odezwał się dopiero po minucie:

— A teraz proszę mi powiedzieć, kto rzucił niedopałkiem.

— Nie wiem. I od razu uprzedzam, że tak samo odpowiem za każdym razem, gdy mnie pan zapyta.

— No dobrze — przyłożył do ust palec i udał, że się zastanawia. — Chyba nie mam więcej pytań.

Podniósł się i ruszył do drzwi.

— Panie aspirancie? — zapytałem, odchrząknąwszy znacząco.

Przystanął, odwrócił się i rzucił mi pytające spojrzenie.

— Czy mogę... — zaplątałem się, zanim przeszedłem do rzeczy. — To znaczy...

— Jest pan wolny — odparł, a potem spojrział na mnie niechętnie i rzekł twardo: — Ale lepiej niech się pan strzeże.

Wyszedł, zamykając delikatnie drzwi, ale dla mnie zabrzmiało to gorzej, niż gdyby trzasnął nimi z całej siły.

I wcale nie poczułem ulgi, na jaką liczyłem wcześniej, wyobrażając sobie moment, gdy będzie już po przesłuchaniu.

„Niech się pan strzeże!” — brzmiało mi ciągle w uszach, kiedy wreszcie wszedłem do mego mieszkania w „Annie”.

— I co to niby miało znaczyć? — zachnąłem się pod nosem, zamykając drzwi.

Strażacy otworzyli okna w całym domu, ale i tak w powietrzu unosił się duszny i tłusty zapach spalenizny. Na szczęście wewnątrz werandy nosiło dużo mniej śladów pożaru, niż można byłoby przypuszczać patrząc na požogę sprzed kilku godzin. Oczywiście szybki były wybite, ale tylko brzegi ażurowych okien nosiły smoliste ślady po liżnięciach płomieni. Oprócz tego podłoga i leżaki pokrywała delikatna warstewka wody. Przyniosłem z kuchni mopa i przez następne pół godziny pucowałem werandę, przy okazji zbierając z podłogi okruchy szkła.

Zabrałem się do roboty, chociaż ledwie trzymałem się na nogach. Musiałem się czymś zająć, żeby nie myśleć o sugestii kryjącej się w słowach aspiranta Grzymały. Ton, którym słowa te zostały wypowiedziane i mina im towarzysząca nie pozostawiała wątpliwości: policjant uważał, że mam coś wspólnego z podpaleniem „Anny”. Nie zamknął mnie jeszcze w areszcie tylko dlatego, że nie miał twardych dowodów mojej winy. Co gorsza, pani Zakrzewska zdawała się być podobnego zdania co aspirant.

Przepełniony poczuciem niezawinionej krzywdy, skończyłem sprzątanie i usiadłem na zydelku, który stał ciągle na werandzie. Przez pozbawione szyb okna patrzyłem otępiąłem ze zmęczenia wzrokiem na płamę świeżego błota, w którą zamienił się trawnik po tej stronie „Anny”. Co kilka minut pod werandą przechodził jeden z dwóch policjantów, których zostawił na warcie Grzymała.

„Przynajmniej przez najbliższe dni nie grozi nam kolejny pożar” — pocieszyłem się w myślach, ale wcale nie poprawiło mi to humoru.

Jeszcze chwilę walczyłem ze snem, ale gdy prawie spadłem ze stołka podczas którejś z kolejnych drzemek, ostatnim wysiłkiem woli zmusiłem się, żeby przejść do sypialni i, ściągawszy tylko skarpetki i spodnie, paść na łóżko, bezwładnie jak kłoda drewna i jak kłoda zasnąć mocnym snem niezmaconym przez żadne widziadła.

Obudziły mnie dzieciaki i chociaż powinienem im być wdzięczny, bo właśnie tego dnia skończył mi się urlop i musiałem jak najszybciej pojechać do ministerstwa, żeby go przedłużyć, to przywitałem młodych gości z kwaśną miną i próbowałem odłożyć rozmowę o pożarze i wizycie u pułkownikowej na popołudnie, ale oni bezceremonialnie wladowali się do mojego mieszkania i usiedli przy stole. Co było robić. Zaparzyłem sobie bardzo mocnej kawy we włoskiej maszynie, a im owocowej herbaty.

— Jak pan myśli? — zapytała mnie Ania, robiąc bardzo tajemniczą minę. — Czy ktoś chciał nas powstrzymać przed dalszymi poszukiwaniami skarbu? Teraz nie możemy spokojnie kopać w ogrodzie, bo policjanci otoczyli całą posesję taśmą, a kiedy dzisiaj wbiliśmy saperkę w ziemię,

jeden z nich powiedział, że tu wszędzie jest miejsce przestępstwa i nie wolno nic ruszać, aż technicy nie skończą pracy.

— Może policjanci dowiedzieli się o skarbie pani Anny i chcą go znaleźć przed nami? Podpalili specjalnie willę i teraz mogą spokojnie kopać, a nam wciskają kit o miejscu przestępstwa — dedukował Maciek, nieświadomie odlatując w rejony absurdu leżące dużo wyżej od tych, w których krążyły myśli aspiranta Grzymały.

— To nieprawdopodobne — odparłem z przekonaniem. — Policja nie zachowuje się w taki sposób nawet w najgłupszych amerykańskich filmach.

— I tu się pan myli — Maciek uśmiechnął się od ucha do ucha, zadowolony, że może błysnąć wiedzą. — Jest taki film, „Posterunek żywych trupów” — zawiesił głos tylko na sekundę, żebyśmy nie mogli mu przerwać: — Do komendanta tego posterunku przychodzi pewien profesor i mówi, że budynek policji stoi na starym indiańskim cmentarzu, dokładnie w miejscu, gdzie pochowano kiedyś bardzo bogatego wodza. Policjanci, postanawiają zgarnąć skarb. Wyciągają od profesora informację, jak dotrzeć do kosztowności i zamykają profesora w izolatce. Potem schodzą do piwnicy i odkopują wodza, który rzeczywiście ma przy sobie masę złota i klejnotów. Zabierają mu wszystko i zadowoleni wracają na górę, po czym dzielą się kasą. Ale w nocy, kiedy na posterunku zostaje tylko jeden policjant, wódz wstaje z grobu jako zombie...

— Nie ma czegoś takiego jak zombie — rezolutnie, chociaż niezbyt pewnie przerwała potok niedorzeczności Ania. — W ogóle nie rozumiem, jak rodzice mogą pozwalać ci oglądać takie głupoty...

— Ten wódz-zombie bardzo powoli wchodzi po schodach na komisariat i podkrada się od tyłu do policjanta, który ogląda telewizję... — ciągnął Maciek, zadowolony z przerażenia, które zdołał wzbudzić w starszej koleżance.

— Skończ z tym — powiedziała Ania takim tonem, że chyba nawet demoniczny indiański wódz-zombie szukający pomsty na chciwych stróżach prawa musiałby na sekundę zatrzymać się w swym nieubłaganym marszu. Maciek pokazał jej język, ale przestał mówić.

— Dowiedział się pan czegoś od pani Stasi? — zapytała dopuszczona do głosu Ania, a Maciek, uznawszy chyba, że mogę powiedzieć coś ciekawego, spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

Opowiedziałem im o ledwie rozpoczętym przez Annę Klimpel tomie pamiętnika, zdjęciach i niemieckiej rewizji w „Annie” przeprowadzonej po upadku powstania.

— Dalszej części tej historii trzeba będzie poszukać w archiwach i bibliotekach — zakończyłem relację. — Muszę pojechać dzisiaj do Warszawy, ale jak tylko wrócę, pójde zaraz do tutejszej biblioteki publicznej. Na pewno mają masę materiałów na temat lokalnej historii. Przy odrobinie szczęścia powinno się udać trafić na jakiś ślad. Możecie zresztą pójść tam zaraz i zacząć poszukiwania beze mnie. Dołączę do was za jakieś trzy godziny.

— Biblioteka? — Maciek się skrzywił, jakby zjadł cytrynę. — To jeszcze gorsze nudziarstwo niż szkoła.

— Niewykluczone, że znajdziecie jakieś historie o duchach — ciągnąłem, niezrażony jego niechęcią. — Zresztą jako prawdziwi poszukiwacze skarbów...

— A co niby wspólnego ma biblioteka z poszukiwaniem skarbów? — zapytała sceptycznie Ania.

— Tam się zazwyczaj zaczyna każda wyprawa po skarb — odparłem poważnie. — Zanim wyruszy się z łopatą w teren, to właśnie w bibliotece szuka się historycznych wskazówek, map, zaszyfrowanych wiadomości, legend... — podkolorowałem nieco przebieg archiwalnych kwerend:

zmudnych, zazwyczaj niewdzięcznych i bezowocnych, chociaż przynoszących czasem momenty olśniewającej satysfakcji, porównywalnej chyba tylko z uczuciem dostępnym archeologom, otwierającym zakopane przed tysiącletnimi grobowce.

— Może pan powtórzyć? — poprosił Maciek.

— W bibliotece znajdziecie legendy, szyfry, książki z pamiętnikami... — rzekłem z zapalem, bo chociaż zdziwiła mnie nieco prośba Maćka, nie chciałem gasić iskierki zainteresowania, błyszczącej od paru chwil w jego oku.

— Nie o to mi chodziło — odparł Maciek niecierpliwie. — Niech pan powie coś jeszcze o duchach.

„Tu cię mam, bratku!” — przemknęło mi przez myśl, ale nie dałem po sobie poznać radości i rzekłem, udając, że z trudem przypominam sobie w czym rzecz:

— O tym mówisz... No cóż, słyszałem w życiu wiele legend o duchach snujących się nocami po starych domach albo zamkach i straszących turystów stukaniem łańcuchów, potępieńczymi jękami i chłodem, gdy się przez takiego ducha przypadkowo przejdzie.

Oczy Maćka wyrażały teraz coś więcej niż zainteresowanie. Postanowiłem kuć żelazo póki gorące.

— Przypuszczam, że w Konstancinie też jest jakiś stary dom, którego mieszkańcy słyszą w nocy dziwne skrzypienia i trzaski. Gdzieś czytałem, że w jakiejś starej willi w Konstancinie popełniono wiele lat temu morderstwo, którego do dziś nie wyjaśniono...

— Jak się nazywa ten dom? — oczy prawie wychodziły chłopcu z orbit.

— Zapomniałem — rzekłem z niewinną miną. — Ale w bibliotece z pewnością znajdziesz odpowiedź na to pytanie...

W ministerstwie czekała mnie miła niespodzianka. Minister wysłuchawszy z uwagą mojej opowieści o wydarzeniach ostatnich dni w Konstancinie, wybuchnął z rzadko u niego spotykaną złością:

— Co za podłość! — w głowie mu się nie mieściło, że ktoś był zdolny do podpalenia stuletniego budynku. — A w dodatku ten policjant pana podejrzewa... Zaraz do niego zadzwonię i wyprowadzę go z błędu co do pańskiej osoby — już sięgnął po słuchawkę, ale zaoponowałem.

— Lepiej nie, panie ministrze... Niech przestępcy myślą że pomieszali mi szyki. To uspi ich czujność.

Szef resortu rozważał przez chwilę moje słowa, przy okazji nieco się uspokajając.

— Może ma pan rację. Kiedy pan wraca do Konstancina?

— Z tym właśnie jest problem. Jeśli mógłbym prosić o jeszcze tydzień urlopu — odparłem.

— Chyba pan żartuje? — zachnął się minister. — Wcześniej ta sprawa była może prywatną przysługą ale od kiedy te rzeźmieszki rzuciły w twarz rękawicę całemu polskiemu systemowi ochrony zabytków, stała się jak najbardziej zadaniem służbowym. Proszę się zgłosić do kadr, zaraz polecę im, żeby wypisali panu tygodniową delegację z dużym limitem na benzynę, bo ten wasz wehikuł zdaje się dużo pali...

Po drodze miałem trochę czasu na rozmyślania. Wróciłem pamięcią do wydarzeń wczorajszej nocy, żeby zanalizować je dokładnie, krok po kroku. Liczyłem, że w ten sposób uda mi się przypomnieć sobie jakiś szczegół, który naprowadzi mnie na trop przestępców, a który umknął mi w nocnej szarpaninie. Dojeżdżałem już do Konstancina, kiedy zdałem sobie sprawę, że furka w płocie otaczającym willę „Zbyszek” była otwarta, a jeśli pamięć mnie nie myliła, płot ów w

przeciwieństwie do budynku, który otaczał, został wykonany bardzo solidnie z wysokich, stalowych sztachet. Bandyci mogli się oczywiście włamać albo tak jak ja przesadzić ogrodzenie, ale detektywistyczna intuicja nie dawała mi spokoju. Zatrzymałem się na poboczu i zadzwoniłem do znajomego technika z komendy stołecznej. Odsypiał nockę i nie był zachwycony, kiedy go obudziłem, ale ponieważ miał u mnie dług wdzięczności po tym jak uchroniłem go przed zainwestowaniem kilku tysięcy oszczędności w zręczny falsyfikat obrazu Kossaka, zgodził się pomóc. Obiecał, że niedługo przyjedzie do Konstancina i gdy tylko skończy badania, o które go poprosiłem, zaraz do mnie zadzwoni.

Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, pojechałem do biblioteki. Czworokątny budynek ze spiczastym, czterospadowym dachem, pomalowany na zielono znajdował się w jednej z bocznych, spokojnych uliczek, odchodzących od głównej arterii miasta, czyli ulicy Warszawskiej.

Dużą salę o wysokim suficie wypełniały niemal w całości regały z książkami. Po lewej stronie od wejścia ustawiono sporą półkolistą ladę, na której leżały zwrócone przez czytelników książki. Za ladą siedziała bibliotekarka. Obok lady stały kolejno: okrągły stół z rozłożonymi na nim gazetami i czasopismami, wśród których dostrzegłem najświeższe wydanie lokalnego tygodnika z widniejącym na pierwszej stronie zdjęciem płonącej willi „Anna” i bijącym po oczach tytułem: „KTO ŚMIAŁ TO ZROBIĆ?”, dalej była szafka z nowościami i stanowiska komputerowe.

Ku memu zdziwieniu nie dostrzegłem nigdzie moich małych pomocników.

„Może buszują między regałami?” — pomyślałem i podeszedłem do lady.

— Dzień dobry, miałem się tu spotkać z dwójką moich młodych znajomych — powiedziałem do bibliotekarki.

— Szczupła, wysoka dziewczynka z rudą czupryną i puciołowaty kilkulatek? — zapytała bibliotekarka.

— To oni.

— Byli tu jeszcze pół godziny temu — stwierdziła z uśmiechem — zwróciłam na nich uwagę, bo nigdy jeszcze nie widziałam dzieci, które byłyby tak zainteresowane historią swojego regionu. Przejrzeli chyba wszystkie książki o Konstancinie, jakie w ogóle wydano, a potem, po jakichś trzech kwadransach, zerwali się ze swoich miejsc, podziękowali i wybiegli aż się za nimi kurzyło. Zabawne dzieciaki.

— Wypożyczyli jakąś książkę? — zapytałem.

— Jedną. To była „Saga ulrichowsko-machlejdowska” Krystyny z Ulrichów Machlejdowej.

Podziękowałem bibliotekarce za informację i wyszedłem na ulicę. Poczułem na twarzy lekki popołudniowy wietrzyk, ale nawet on nie zdołał wywiać z mojej głowy zdziwienia i niepokoju. Do czego są potrzebne Ani i Maciekowi wspomnienia żony pastora i działacza oświatowego Juliana Ulricha?

Czyżby Ania i Maciek wpadli na jakiś interesujący trop?

„Lepiej ich o to zapytam, zanim wpakują się w nowe kłopoty” — pomyślałem i szybkim ruchem ręki, przekręcającej kluczyk, zbudziłem potwora śpiącego potulnie pod maską wehikułu.

Znalazłem ich w głębi ogrodu, pod płotem, za którym wznosiła się masywna bryła „Julii”. Siedzieli w kucki, rozmawiali szeptem. Było ich troje: Ania, Maciek i... Zosia.

— Czy mogę przyłączyć się do narady wojennej? — zapytałem, ściągając na siebie ich uwagę. Maciek się do mnie uśmiechnął, Ania spuściła wzrok, a Zosia zmierzyła mnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Jasne, niech pan siada — zachęcił mnie Maciek. — Tu jest masa miejsca.

Zgiąłem kolana, żeby przycupnąć na ziemi, ale wtedy odezwała się Zosia:

— Nie tak się umawialiśmy — rzekła z pretensją w głosie i rzuciła Maćkowi ganiące spojrzenie. Chłopak się zmieszał i opuścił oczy.

— Panie Pawle — Ania, która już od kilku chwil wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale bała się konsekwencji, które mogą przynieść jej słowa, wstała i spojrzała na mnie na poły błagalnie, na poły stanowczo: — Udało nam się odkryć coś ciekawego, ale...

— Dobra, Anka — zerwała się na nogi Zosia i stanęła przed dziewczynką która speszona, zamilkła. — Ty już lepiej nic nie mów, bo wszystko wypaplasz. Niech pan posłucha — zrobiła krok do przodu; spojrzała na mnie wyzywająco. — Od teraz nie jest pan już w naszej bandzie. Niech się pan zajmie swoimi sprawami, a szukanie skarbów zostawi tym, którzy się na tym znają. Rozumie pan?

— Rozumiem i nie mam zamiaru pchać się tam, gdzie mnie nie chcą — odparłem z lekkim uśmiechem, podpierając ręce na biodrach. — Ale nie mam zamiaru zaprzestać poszukiwania pamiątnika.

— Ach tak! — fuknęła gniewnie Zosia, ale nie znalazła żadnych argumentów zdolnych zakazać mi działania. — Maciek, Ania... — skinęła na swoich towarzyszy. — Zbieramy się!

Trochę się ociągając dzieciaki wstały i ruszyły za swą nową przywódczynią. Ania szła na końcu. Była już prawie przy willi, kiedy się odwróciła i spojrzała na mnie przepaszająco. Uśmiechnąłem się do niej serdecznie, jakby nic się nie stało.

„I bardzo dobrze” — pomyślałem, kiedy dzieci zniknęły za rogiem budynku. „Niech dalej szukają diademu ze złotymi makami. Będę miał wreszcie czas, żeby zająć się spokojnie tropieniem podpalaczy.”

Dźwięk komórki trochę mnie przestraszył i wyrwał z rozmyślań.

— Cześć, Pawle — odezwał się w słuchawce głos znajomego technika policyjnego. — Twoja słynna intuicja po raz kolejny cię nie zawiodła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z PAMIĘTNIKA ANI • CO USTALIŁ TECHNIK • NALEPKA NA PŁOCIE •
KŁOPOTLIWY KONTRAHENT • USŁUŻNE UKŁONY I FAŁSZYWE UŚMIECHY • CO
PIJĄ BIZNESMENI • TAJNA MISJA PANNY GRAŻYŃKI • PROZA ŻYCIA •
SPRZEDANY • TAJEMNICA HANDLOWA • WIECZORNI GOŚCIE •
ELEKTRYZUJĄCY TELEFON • NA CZATACH • NUDA MOTOREM ROZWOJU
LUDZKOŚCI • Z PAMIĘTNIKA ANI

Z PAMIĘTNIKA ANI

Drogi Pamiętniku!

Mam okropne wyrzuty sumienia, że tak się zachowaliśmy... Pan Paweł udawał, że nic się nie stało, ale ja wiem, że jest mu przykro.

A wszystko zaczęło się, jak wyszliśmy od niego z mieszkania. Na podwórku spotkaliśmy Zosię. Siedziała na schodach przed wejściem i głaskała „Ogryzka”. Kotek miał zawiązaną bandażem łapkę. Zapytaliśmy Zosię, co się mu stało.

Najpierw się trochę boczyła i nie chciała z nami gadać, ale potem Maciek dał jej batonik na zgodę. Zosia go zjadła i powiedziała, że „Ogryzka” pobijała ta sama osoba, która podpaliła nasz dom. Zapytaliśmy ją, skąd to wie, a ona powiedziała, że obudziła się w nocy i usłyszała jakieś hałasy, to wyjrzała na korytarz. Zobaczyła, że drzwi do mieszkania pana Pawła są uchylone. I wtedy „Ogryzek”, który był u niej w domu uciekł na korytarz i wbiegł do otwartego mieszkania. Zosia chciała pójść za nim, ale wtedy usłyszała, że kot miauknął boleśnie, wyskoczył z „piątki”, utykając na prawą nogę i uciekł do mieszkania Zosi. Zośka jeszcze chwilę stała patrząc na otwarte drzwi, ale bała się tam wejść, a kiedy usłyszała, że z mieszkania dochodzą odgłosy kroków zbliżających się do drzwi „piątki”, zbiegła na dół schowała się w swoim mieszkaniu, cichutko je zamknęła i pobiegła do łóżka.

Kilka minut potem straż pożarna kazała wszystkim wyjść na podwórko i Zosia usłyszała, że z okna pana Pawła rzucono niedopalek, od którego zapalił się dom. Usłyszała też, że nie zrobił tego pan Paweł. Zrozumiała wtedy, że była o włos od spotkania z podpalaczem i, chociaż mama siedziała przy jej łóżku do rana, nie zmrużyła oka.

— Powinnaś poczekać, aż on się pokaże i powiedzieć o wszystkim policji — rzekł na koniec Maciek, a Zośka się nieźle wkurzyła. Wyzwała go od kłamców i powiedziała, żeby zajął się lepiej swoją mamą, która jest wampirem. Maciek zapytał, co ma na myśli, a ona powiedziała, że ma dowody na to, że jego matka ma tak naprawdę ponad sto lat, a z tego co jej wiadomo, tylko wampiry mogą żyć tak długo i zachować młodość.

Maciek, który ciągle ogląda horrory i wierzy, że wszystko co w nich pokazują, to prawda, zrobił wielkie oczy i zażądał:

— No to pokaż te swoje dowody!

— Nie ma nic za darmo — powiedziała Zośka.

— Dam ci co chcesz.

— Wiem, że mi dasz, ale to czego chcę, nie należy tylko do ciebie. Anka też będzie musiała się

zgodzić.

Musiałam się wtrącić:

— *Najpierw powiedz, czego chcesz, to się zastanowię.*

Na to ona:

— *Pozwolicie mi z wami szukać skarbu pani Anny. No, co robicie takie miny? Gadaliście o tym tak głośno, że głuchy by usłyszał.*

— *To wszystko?* — *zapytałam.*

— *Nie. Wyrzucicie tego śmiesznego faceta ze swojej bandy i weźmiecie mnie na swojego szefa.*

— *Nie ma mowy* — *odparłam, a Maciek zrobił okropnie smutną minę.*

— *Czego się mażesz?* — *zapytałam go.* — *Zośka gada głupoty. Chyba jej nie wierzysz.*

Ale on jej wierzył i tak długo mnie prosił, aż się zgodziłam. Zośka aż podskoczyła z radości, a potem zaprowadziła nas na tyły domu, pod okno mieszkania tego niemilego pana, który z nikim nie rozmawia. Pod oknem stały jakieś obrazy. Zośka przez chwilę je przekładała, aż znalazła jeden, na którym widać było dwie panie ubrane staromodnie, siedzące na ławce w ogrodzie.

— *Widzicie tę babkę po prawej?* — *zapytała.* — *To jest ta wasza Anna, którą narysowali na szybie w naszym domu. A ona nie żyje od stu lat, co nie? A kim jest druga osoba?*

Nie musiała pytać, bo dobrze wiedzieliśmy.

Obok pani Anny siedziała pani Sonia, MAMA MAĆKA.

To tyle na razie, pamiętniczku. Resztę dopiszę wieczorem, bo teraz muszę już lecieć. Woła mnie Maciek. Zaraz idziemy do kwaciarni jego mamy. Maciek chce sprawdzić, jak jego mama zareaguje na czosnek, a ja też muszę ją o coś zapytać... Pa!

— *Furtka jest już zamknięta?*

— *Aha* — *potwierdził kolega technik.*

— *Ciekawe, czy właściciel zgłosił włamanie?* — *zastanawiałem się na głos, przeklinając jednocześnie w duchu podejrzliwość aspiranta Grzymały, która odcięła mnie od ważnego źródła informacji, jakie zawsze stanowiła dla mnie policja.*

— *Zdziwiłbym się, gdyby to zrobił* — *wyraził swoje zdanie kolega.* — *Sprawdziłem zamek w furtce. Nikt nigdy nie otwierał go wytrychem.*

— *Może zamek zmieniono dzisiaj nad ranem?* — *zapytałem, zdając sobie sprawę, że popadam w paranoję.*

— *To też sprawdziłem* — *obalił moją nieprawdopodobną teorię kolega.* — *Zamka nie zmieniano od zakupu.*

— *Czyli furtkę otwarto oryginalnym kluczem* — *wyciągnąłem z jego słów jedyny logiczny wniosek.* „Pytanie brzmi tylko, jak ten klucz dostał się w ręce podpalaczy” — *przemknęło mi przez myśl.*

— *Sam bym tego lepiej nie ujął* — *stwierdził kolega technik.* — *Słuchaj, Pawle, wiem że to ja byłem ci winny przysługę i jesteście już kwita, ale może zgodziłbyś się pożyczyć mi ten twój radziecki album o Ermitażu. Wybieram się do Pitra i chciałbym się trochę przygotować.*

— *Nie ma sprawy* — *odparłem ochoczo.* — *Jak tylko wrócę z Konstancina, to się do ciebie odezwę* — *skończyłem rozmowę i ruszyłem w stronę „Zbyszka”, rozmyślając intensywnie.*

To, że podpalacze dysponowali oryginalnym kluczem mogło mieć dwojakie konsekwencje. Jeśli weszli w jego posiadanie nielegalnie, nie będzie łatwo do nich dotrzeć, ale gdyby okazało się, że klucz przekazał im właściciel zrujnowanej posesji...

Byłem już przy stalowym płocie. Dotknąłem ręką zielonej powierzchni. Była zimna i w wielu miejscach pokryta warstewką brudu, co oznaczało, że postawiono ją wystarczająco dawno, by odcisnęły na niej swoje piętno jesienne deszcze i chmury letniego kurzu.

Podniosłem głowę, zrobiłem dwa kroki w tył i zadarłem głowę, ale na fasadzie „Zbyszka” nie było, tego na co liczyłem.

Przeszedłem wzdłuż płotu, naciskając po drodze na klamkę zamkniętej furtki i uważnie lustrując powierzchnię ogrodzenia. Dopiero na samym jego końcu zobaczyłem to, czego szukałem od początku. Brudna od zacieków, zdarta w wielu miejscach i przykurzona, ale ciągle jeszcze czytelna naklejka z nazwą agencji nieruchomości, która kiedyś sprzedawała „Zbyszka”. Firma nazywała się BUDEX i była to jedyna, poza napisem „NA SPRZEDAŻ” informacja, jaką dało się odczytać ze zniszczonej naklejki.

„Dobre i to. Mam tylko nadzieję, że ten Budex jeszcze istnieje” — pomyślałem i ruszyłem w kierunku biblioteki.

Firma Budex nie tylko wciąż istniała, ale musiała całkiem dobrze prosperować, bo wykupiła duże ogłoszenie w ozdobnej ramce, zajmujące połowę żółtej strony w książce telefonicznej. Zadzwoiłem tam i powiedziałem, że jestem zainteresowany kupnem pewnego domu w Konstancinie. Sekretarka sprawdziła grafik. Okazało się, że prezes, a zarazem główny agent nieruchomości ma tylko dwa kwadransy wolnego czasu o siedemnastej, czyli mniej więcej za półtorej godziny. Następne możliwe terminy spotkań przypadały dopiero w kolejnym tygodniu.

— Nie wiem, czy się wyrobię — westchnąłem, zawieszając głos, jakbym sprawdzał coś w kalendarzu. — Miałem dzisiaj spotkać się z kontrahentem... Może mi pani dać kwadrans na decyzję? Spróbuję umówić się z nim na wieczór...

— Oczywiście — odparła sekretarka.

Rozłączyłem się i, nadrabiając sporo drogi, żeby w pobliskim sklepie kupić sobie loda, wróciłem do „Anny”. Dopiero stamtąd powiadomiłem sekretarkę prezesa Budexu, że kontrahent łaskawie wyraził zgodę na zmianę terminu spotkania i stawię się na miejscu punktualnie.

— Proszę spocząć — prezes, wąsaty sześćdziesięciolatek z łysiną pokrytą zaczesanymi „na pożyczkę” włosami i oczach przebiegłego chłopa wodzącego rej w swojej wiosce, zgiął się w ukłonie i posłał mi usługny, wymuszony uśmiech. — Kawa czy herbata?

— Kawa, chyba że ma pan w lodówce jakiś napój energetyczny — odparłem, strącając wyimaginowany pyłek z odświętnego garnituru, który zakładałem tylko raz na kilka lat. — Człowiek interesu, taki jak ja, musi utrzymywać koncentrację dwadzieścia cztery godziny na dobę... Żartuję oczywiście — zastrzegłem zaraz, widząc zdezorientowaną minę prezesa Budexu. — Muszę być skoncentrowany tylko wtedy, kiedy nie śpię.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się sucho mój rozmówca, szczerząc zęby i całą siłą woli próbując unieść do góry nieprzyzwyczajone do tego kąciki ust. — Przepraszam na chwilę...

Wstał i podszedł do drzwi. Uchylił je i wydał polecenie. Szeptał, ale i tak usłyszałem:

— Panno Grażynko, proszę natychmiast iść do sklepu i kupić tego, no... red bulla jakiegoś.

Zamknął drzwi, ale zaraz znów je otworzył i dorzucił:

— Tylko zimny ma być.

Wrócił do biurka, rozsiadł się na obrotowym fotelu, poprawił srebrną spinę przy krawacie, wytarł kąciki ust kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki, po czym znów spróbował się uśmiechnąć.

— Pozwoli pan, że przejdziemy do interesów? — zapytał prezes, a kiedy łaskawie skinąłem głową, rzekł rzeczowym tonem: — Sekretarka przekazała mi informację, że chce pan kupić jakiś konkretny dom w Konstancinie.

— Zgadza się — odrzekłem i jak na człowieka interesu przystało natychmiast przeszedłem do konkretów. — Interesuje mnie willa „Zbyszek”.

Prezes zrobił zdziwioną minę.

— A skąd przypuszczenie, że ja ten dom mogę sprzedać?

— Na jego płocie była nazwa pańskiej firmy.

— Niestety — zaszepcił się szef Budexu. — Tego domu nie ma już w naszej ofercie. Sprzedałem go kilka miesięcy temu.

— Skąd w takim razie nalepka na płocie?

— Proza życia — rzekł prezes takim tonem, jakby poczuwał się do tego, by przeproszać za to, że zimą temperatura spada poniżej zera, ludzie rzucają papierki po cukierkach na ulicę, a kanapki spadają na ziemię zawsze tą stroną, która posmarowana jest masłem. — Pewnie nowy właściciel jej po prostu nie usunął.

— No to mamy problem — zrobiłem niezadowoloną minę.

Jakby na potwierdzenie moich słów trzasnęły drzwi i stanęła w nich zdyszana sekretarka. Obciągnęła miniówkę, poprawiła rozwichrzone włosy i jakimś cudem utrzymała w równowadze srebrną puszkę, stojącą na tacy z tworzywa sztucznego. W pokoju rozszedł się duszny, słodkawy zapach. Dziewczyna podeszła do mnie i pochyliła się, bym mógł wziąć napój z tacy.

— Nie musiała się pani trudzić otwieraniem — rzekłem i przyłożyłem puszkę do ust.

— Klient nasz pan — stwierdził sentencjonalnie prezes i dał sekretarce oczami znak, by wyszła.

Dziewczyna zamknęła za sobą drzwi, ja zaś, opróżniwszy puszkę do połowy, odłożyłem ją na brzeg biurka i spojrzałem na agenta nieruchomości wyczekująco.

— Mogę panu zaproponować piękną willę z początku XX wieku... — zaczął, ale mu przerwałem niecierpliwym tonem:

— A może po prostu powie mi pan, jak się nazywa człowiek, który kupił „Zbyszka”. Obaj oszczędzimy sobie czasu, a pan jeszcze przy okazji dobrze zarobi...

— Nie mogę — jęknął prezes. — Wiąże mnie tajemnica handlowa.

— No cóż — podniosłem się na krześle z miną zawiedzioną i niechętną. — W takim razie chyba nie mamy o czym rozmawiać...

— Proszę zaczekać — szef Budexu wstał z krzesła; na czole perlił mu się pot, prawą rękę wyciągnął w geście, mającym mnie powstrzymać. — Może udałoby mi się pana skontaktować z klientem, który kupił „Zbyszka”.

— Świetnie — usiadłem znów na krześle i sięgnąłem do wizytownika po jeden z kartoników, które przygotowałem sobie godzinę wcześniej za pomocą darmowego programu ściągniętego z Internetu. Było na nim tylko moje imię, nazwisko i numer telefonu — To moja prywatna wizytówka. Kupuję ten dom dla siebie i wolałbym nie mieszać do tego firmy.

— Rozumiem — przechylił się nad biurkiem i przesunął wizytówkę w swoją stronę, a potem obrócił papierowy prostokąt tak, żeby go widzieć. — Dyskrecja to synonim nazwy Budex.

— Cieszę się — odparłem i dopiłem red bulla. — Proszę do mnie zadzwonić z dobrymi wieściami, a nie będzie pan żałował — powiedziałem to tonem, który sugerował nie tylko dużą prowizję, ale jeszcze jakieś inne, na razie nieznanne, ale z całą pewnością warte zachodu profity.

Potem bez słowa podałem prezesowi Budexu rękę, wyszedłem z parterowego domku

otoczonym opustoszałym ogrodem na ulicę i, zasiadłszy za kierownicą wehikułu, pojechałem do „Anny”.

Byłem tak skupiony na uparcie milczącym od dwóch godzin telefonie, że pukanie do drzwi, które rozległo się w cichym domu głośno niczym walenie kolbami karabinów, przstraszyło mnie tak, że aż podskoczyłem na krześle.

Wziąłem trzy głębokie oddechy, żeby się uspokoić i kiedy pukanie się powtórzyło, teraz bardziej natarczywe niż za pierwszym razem, wstałem od stołu w salonie i poszedłem otworzyć. Za drzwiami stała Ania. W rękę trzymała saperkę.

— Już nie będzie nam potrzebna — rzekła, podając mi łopatkę i uśmiechnęła się blado. — Pomyślałam, że może panu się przyda, więc postanowiłam ją odnieść.

— Dziękuję — wziąłem saperkę, otworzyłem szerzej drzwi i zrobiłem zapraszający gest. — Może wstąpisz na czekoladę.

— Chętnie, ale nie mogę — odparła dziewczynka. — Zosia zwołała za pięć minut naradę i muszę na nią iść.

Uniosłem do góry ramiona w geście, który miał oznaczać, że takie jest życie i ja to rozumiem.

— Nie gniewa się pan? — zdziwiła się dziewczynka.

Pokręciłem głową w zaprzeczeniu.

Uśmiechnęła się, westchnęła ciężko, jakby zrzucała z ramion zbyt ciężki pakunek, powiedziała „Dobranoc” i lekkim krokiem zbiegła po schodach.

Nie był to ostatni gość tego wieczoru. Pół godziny później zjawiła się u mnie młoda blondynka z włosami związanymi w kucyk. Twarz miała bladą prawie przezroczystą ozywianą jedynie przez rumieńce z pudru na policzkach i ciekawskie oczy, strzelające spojrzeniami w różne strony.

— Nazywam się Renata Pestka — rzekła, podając mi cienką jak gałązka wiśni, ciepłą rękę. — Jestem panią sąsiadką spod siódemki.

„Nauczycielka, stara panna” — przebiegły mi przez myśl określenia użyte przez panią Zakrzewską podczas naszej rozmowy w kawiarni. „Zresztą bardzo ładna” — dodałem od siebie.

Przedstawiłem się i zaprosiłem kobietę na herbatę.

— Czemu zawdzięczam pani wizytę? — zapytałem, stawiając przed nią kubek z herbatą.

— Właściwie to przychodzę w sprawie Ani i Maćka. Jestem wychowawczynią chłopca, a Anię uczyć matematyki.

— Przeskrobali coś? — zapytałem żartem, ale jej mina świadczyła, że trafiłem w sedno. — Naprawdę? — zapytałem, a kiedy skinęła głową dodałem: — Może w takim razie powinna pani iść z tym do ich rodziców. Znam te dzieci dopiero od kilku dni...

— Ale ma pan na nie największy wpływ. Obserwuję pana od momentu przyjazdu i...

Przerwał jej sygnał mojej komórki.

— Przepraszam, ale muszę odebrać — rzekłem, podnosząc aparat ze stołu i naciskając przycisk z zieloną słuchawką. Poczułem ulgę, usłyszawszy, że głos po drugiej stronie należy do prezesa Budexu.

— Ma pan czym pisać? — zapytał agent nieruchomości, a kiedy przytaknąłem, powiedział: — Nabywca „Zbyszka” zgodził się z panem porozmawiać. Trochę znam się na ludziach i z tonu jego głosu wyczytałem, że chyba będzie skłonny odstąpić panu swoją posesję. Liczę, że jeśli dojdzie do transakcji, to będę w niej pośredniczył.

— Oczywiście — zapewniłem go, starając się, by mój ton zabrzmiał jak najbardziej przekonująco.

— Miło mi to słyszeć. No więc właściciel „Zbyszka” nazywa się Robert Weiss i mieszka w Konstancinie w willi „Stokrotka” przy ulicy Jagiellońskiej. Zapisał pan? — upewnił się, a kiedy potwierdziłem, dodał: — To świetnie.

— Stokrotnie panu dziękuję — zabawiłem się w kalambury.

— Nie ma za co — odparł szef Budexu takim tonem, jakby chodziło o odstąpienie biletu w autobusie, a nie umówienie ważnego biznesowego spotkania. — Do zobaczenia, panie Pawle.

— Do zobaczenia — odparłem flegmatycznie i tylko dlatego, że w mieszkaniu znajdowała się uroczą nauczycielka, nie zacisnąłem pięści w tryumfalnym geście, wtórując temu gestowi okrzykiem: „Jest! Jest! Jest!”

Zamiast tego jak gdyby nigdy nic usiadłem przy stole, upiłem łyk herbaty i zapytałem mego gościa:

— Na czym to skończyliśmy?

— Mówiłam o pańskim wpływie na Anię i Maćka... Jako wychowawczyni chłopca i osoba, której leży na sercu dobro tych dzieci, chciałabym pana prosić o wykorzystanie autorytetu, który u nich pan zdobył.

— Co konkretnie miałbym zrobić?

— Przekonać dzieci, że włamywanie się do cudzych mieszkań to zła rzecz.

Zatkało mnie z wrażenia.

— Ania i Maciek to łobuziaki — rzekłem, odzyskawszy głos — Zosi, która się razem z nimi kręci, też niczego nie brakuje... Ale włamanie?

— Niestety, przyłapałam ich dzisiaj, jak gmerali wytrychami przez drzwiach jednej z naszych sąsiadek. Wytrychy oczywiście im odebrałam, palnęłam też kazanie, ale chyba nie zrobiło to na nich większego wrażenia.

— To poważna sprawa — zasępiłem się. — Jak już wspomniałem, powinna pani iść z tym do ich rodziców.

— Zrobię to oczywiście — zapewniła mnie panna Renata — ale pański autorytet może działać tu więcej niż najgorsza nawet kara.

— Zobaczę, co da się zrobić — obiecałem ostrożnie.

— Dziękuję — odparła i wstała. — Chyba już pójdę. W telewizji zaraz zaczyna się teatr.

„Raczej »M jak miłość«, — pomyślałem zgryźliwie, odprowadzając ją do drzwi, ale na głos życzyłem jej tylko miłego wieczoru.

Wróciłem do stołu, żeby pozbierać naczynia. Renata Pestka nie tknęła swojej herbaty.

„Chyba rzeczywiście musi jej zależeć na tych dzieciach...” — pomyślałem i zaniósłem naczynia do zlewu.

Kwadrans później wsiadałem już do wehikułu. Rzuciłem torbę z wałówką na siedzenie dla pasażera i wsadziłem kluczyk do stacyjki. Silnik zagrał cicho i wyjechałem z podwórka na ulicę Jagiellońską. Nie skręciłem jednak w prawo, w kierunku willi Roberta Weissa, ale w lewo. Na ulicy Żeromskiego kolejny skręt w lewo i chwila jazdy aż do Batorego — minąłem „Annę” z rozświetlonymi oknami, uśpioną niezamieszkałą „Julię” oraz ponurego „Zbyszka”, górującego nad stalowym płotem i odbiłem w ulicę Batorego. Wybrałem położony bardziej na zachód pas ulicy, zostawiłem za sobą zabytkową wieżę ciśnień. Minutę jechałem drogą między drzewami z jednej strony a starymi willami z drugiej, aż za przednią szybą zamajaczył mi kształt kościoła pod

wezwaniem Wniebowzięcia NMP. Jeszcze dwa skręty w lewo i znów byłem na Jagiellońskiej.

Zwolniłem i przystanąłem jakieś pięćdziesiąt metrów od willi „Stokrotka” należącej do Roberta Weissa. Miałem stąd doskonały widok na jedyny wyjazd z posesji gwiazdora i dwie ściany budynku z rozświetlonymi na piętrze oknami, a że stanąłem w cieniu, który powoli brał uliczkę we władanie, niełatwo byłoby mnie dostrzec ze „Stokrotki”.

Usadowiłem się wygodniej i sięgnąłem do plecaka po kanapkę z serem. Musiałem się posilić. Czekala mnie długa noc.

Czatowanie w ciemnościach, gdy nie można poczytać ani posłuchać radia, to zajęcie nużące i monotonne, jednak nie bezowocne. Przeczytałem kiedyś opinię, że to właśnie nuda jest motorem rozwoju ludzkości. Żeby ją zabić człowiek zaczyna myśleć, a to z kolei prosta droga do wspaniałych koncepcji i wynalazków.

Siedząc w wehikule nie wynalazłem co prawda perpetuum mobile, ale dzięki tym kilku spokojnym i nudnym godzinom czuwania w ciemnościach udało mi się wpaść na pomysł, jak posunąć do przodu śledztwo w sprawie pamiętnika pani Anny. Uspokojony i odprężony umysł był jak wyszukiwarka internetowa, w której okienko wystarczy wpisać poszukiwaną frazę, by natychmiast wyskoczyło kilka milionów wyników.

„Czy nie istnieje łatwiejszy sposób na dotarcie do informacji o tym, jak nazywał się Niemiec, który rewidował „Annę” niż twoja ulubiona kwerenda w archiwach i bibliotekach, na którą nie masz czasu, Pawle?” — zadałem sobie pytanie między drugim jabłkiem a trzecią kanapką i niemal od razu się uśmiechnąłem, znalazłszy odpowiedź:

„Oczywiście, że istnieje. Wystarczy znaleźć świadków. Pułkownikowa zapomniała szczegóły, ale są przecież w Konstancinie inni ludzie, pamiętający tamte dni. Tylko jak ich znaleźć?” — padło kolejne pytanie.

„Musisz zapytać w Towarzystwie Miłośników Konstancina. Pani Zakrzewska jest jego członkiem, więc wystarczy...” — ucieszyłem się, zaraz jednak przypomniałem sobie nieprzyjemne spojrzenie staruszki, którym zmierzyła mnie poprzedniej nocy, gdy rozmawialiśmy przy płonącej werandzie „Anny”. „No tak, ona uważa mnie teraz za podpalacza. Mam nadzieję, że nie ostrzegła przede mną innych członków Towarzystwa” — pomyślałem i postanowiłem, że pojedę rano do biblioteki, by zasięgnąć w tej sprawie języka.

Przełknąłem ostatni kęs kanapki, popiłem wodą mineralną i spojrzałem na wmontowany w deskę rozdzielczą wyświetlacz elektronicznego zegara. Czerwone cyfry wskazywały dziesięć minut po dwudziestej drugiej.

Musiałem zaczekać jeszcze dwie godziny, zanim moja cierpliwość została nagrodzona.

Wcześniej jednak światła w domach na całej ulicy gasły, w miarę jak ich mieszkańcy układali się do snu. Dziesięć minut po północy widać już było tylko w niektórych oknach słabą miodową poświatę bijącą od lampek, przy których swoje prace zaczynały konstancińskie nocne marki.

Z PAMIĘTNIKA ANI

Najdroższy Pamiętniku!

Widziałam je! Widziałam ŻŁOTE MAKI. Ale po kolei.

Dzisiaj po południu poszliśmy do kwaciarni mamy Maćka. Kiedy tam weszliśmy, pani Sonia mrugnęła do nas porozumiewawczo, bo obsługiwała właśnie klienta, który kupował bukiet czerwonych róż. Kazała nam chwilę poczekać. Nie trwało to długo. Najwyżej dziesięć minut. Potem podeszliśmy do kontuaru i Maciek nadstawił policzek do pocałunku, trzymając jednocześnie w ręku główkę czosnku. Kiedy pani Sonia się pochyliła, żeby go cmoknąć w policzek, podniósł do góry główkę czosnku i prawie dotknął jej twarzy, ale ona, jak się tego można było zresztą spodziewać, nie zareagowała. Trzeba było wtedy zobaczyć jego minę! Pani Sonia zabrała czosnek i powiedziała, że to bardzo miło ze strony Maćka, że przyniósł jej prezent. Obiecała, że doda go do spaghetti, które ma zamiar zrobić wieczorem i, że Maciek dostanie największą porcję. Starła się udawać, że nic się nie stało, ale zauważyłam na jej twarzy zdziwienie.

Wtedy Maciek nie wytrzymał i zapytał mamę wprost, czy jest ona wampirem. Pani Sonia zaniepokoiła się już na serio, otworzyła szeroko oczy i zapytała, skąd przyszedł mu do głowy taka głupota. Maciek, prawie płacząc, zabrał Zosi obraz i pokazał go matce, powtarzając te same bzdury, które wcisnęła mu wcześniej Zośka.

Pani Sonia zaczęła się śmiać. Śmiała się chyba pięć minut, aż w jej oczach pojawiły się łzy. Potem pogłaskała Maćka, też już całkiem zapłakanego, po głowie i powiedziała, że na obrazie jest nie ona, ale jej stryjeczna praprababka, Krystyna z Ulrichów Machlejdowa. Wyjaśniła nam, że od wielu lat różni członkowie rodziny powtarzają jej, że jest bardzo podobna do praprababki, a niektórzy twierdzą, że są rozdzielonymi przez dziesięciolecia bliźniaczkami.

Powiedziała też, że ród Ulrichów, z którego wywodziła się jej krewna, jest od bardzo dawna sławny z zamiłowania i umiejętności do uprawy roślin ozdobnych i ona kontynuuje tę tradycję. Na potwierdzenie swych słów pokazała nam rozmaite zdjęcia przedstawiające szklarnie i zakłady, a także ogłoszenia wycięte ze starych gazet i oprawione w ozdobne ramki.

I wtedy je zobaczyłam! Były na rysunku namalowanym pastelami. Zapytałam panią Sonię, kto narysował te kwiaty, na co ona odpowiedziała... Przerywam na sekundę, pamiętniczku. Słysząc jakiś hałas za oknem, a sam wiesz, jaka jestem ciekawska:-)

ROZDZIAŁ DWUNASTY

NOCNA WIZYTA • W ŚWIETLE REFLEKTORA • ARYSTOKRATA OD SIEDMIU BOLEŚCI • PRĘŻYMY MUSKUŁY • DZIWNY POŚCIG • NA TARCZY • SIŁA ZŁEGO NA JEDNEGO • „SKARŻĄ SIĘ NA PANA” • CZY PANNA RENATA LUBI ŁOBUZÓW? • KRYSTYNA Z ULRICHÓW MACHLEJDOWA • MISTRZYNI SUSPENSU • PRZEMÓW WRESZCIE, RENATO!

Ktoś szedł do „Stokrotki”.

Wysoka, barczysta sylwetka wskazywała na mężczyznę, ale było za ciemno, żeby zobaczyć twarz. Skuliłem się jeszcze bardziej na fotelu i zamarłem w nerwowym oczekiwaniu. Mężczyzna podszedł do furtki umieszczonej obok wielkiej bramy wjazdowej w murze „Stokrotki”, wyciągnął rękę przed siebie i wskazującym palcem dotknął muru.

„Nacisnął guzik domofonu” — domyśliłem się.

Jakby na potwierdzenie mego wniosku dobiegło mnie od strony willi przytłumione rżenie głośniczka interkomu, przybysz odpowiedział coś niezrozumiałego, a potem rozblysnął reflektor zamontowany za bramą „Stokrotki”, oświetlając sporą część ulicy przed domem. Mężczyzna, który przyszedł z wizytą, odruchowo zasłonił oczy ręką, ale i tak bez trudu go rozpoznałem.

To był Damian Sułek.

Wpuściłem cicho powietrze.

Jak on mógł? Ryzykować zdrowiem, a nawet życiem swoich bliskich i kilkunastu innych osób, żeby zaspokoić kaprys rozpuszczonego jak dziadowski bicz gwiazdora!

— No, ale pewnie dostaje za to tyle, że będzie mógł sobie kupić kawalerkę, wyprowadzić się wreszcie od siostry i spełnić marzenie o niezależności — ironizowałem gorzko pod nosem. — A w czasie pożaru zgrywał bohatera, żeby odsunąć od siebie ewentualne podejrzenia.

Zamek furtki puścił, brzęcząc tak, że słyhać go było na całej ulicy i Sułek wszedł do środka. Siedział u Weissa przez jakieś pół godziny, a potem wyszedł, a właściwie wybiegł na ulicę, złorzeczając na czym świat stoi:

— Arystokrata od siedmiu boleści się znalazł! — wygrażał pięścią w kierunku „Stokrotki”. — Paniczyk z Koziej Wólki. Niech cię diabli wezmą za twoje skąpstwo!

„Nie zapłacił mu” — pomyślałem z satysfakcją i zachichotałem.

Nie wiem, czy Damian Sułek mnie usłyszał, ale odwrócił się i uważnie zlustrował ulicę za sobą. Od razu przeszła mi ochota do żartów i opuściłem się tak nisko, żeby skryć się za deską rozdzielczą. Udało się. Sułek tylko prychnął: „Przeklęte kocury!” i poszedł szybkim krokiem w kierunku „Anny”.

Kwadrańs później „Stokrotkę” opuścił jej właściciel. Najpierw w domu zgasły wszystkie światła. Potem zapaliły się reflektory na podjeździe. Brama wjazdowa ruszyła majestatycznie w bok. Kiedy otwarła się na tyle, że mógłby przez nią przejechać nawet czołg, z garażu skrytego w głębi podwórza wydostał się powoli czarny mercedes tego samego modelu co pojazd, który wczorajszej nocy zaparkował w pobliżu „Anny”.

Wóz wtoczył się powoli na Jagiellońską i ustawił przodem w kierunku ulicy Żeromskiego. Brama szczęknęła i zaczęła się zamykać.

Kierowca mercedesa błysnął światłami i wprawił w ruch tylne koła, blokując jednocześnie przednie. Opony zabuksowały o asfalt. Po kilku sekundach doszedł mnie smród palonej gumy.

Nie miałem wątpliwości, dla kogo przeznaczony jest ten pokaz. A skoro odkryto moją

obecność pod „Stokrotką”, nie było powodów, żeby zasypiać gruszki w popiele. Jednym ruchem odpaliłem silnik wehikułu, zapaliłem światła i potoczyłem się pomału w kierunku czarnego, ryczącego potwora.

Jego kierowca musiał się czuć wyjątkowo pewnie, bo pozwolił mi zbliżyć się do rufy swego wozu na dwa metry. Staliśmy teraz niczym wyścigowe bolidy na starcie do zawodów.

Podkręciłem obroty i za pomocą czerwonego guzika na desce rozdzielczej przełączyłem wehikuł w tryb rajdowy. Wolałem być gotowy na każdą ewentualność, bo gęsta siatka licznych uliczek wokół „Anny” stwarzała doskonałe warunki, by błyskawicznie zgubić każdy, nawet tak szybki jak wehikuł, „ogon”.

Wypuściłem powietrze i spróbowałem rozluźnić mięśnie. Delikatnie oparłem stopy obute w wygodne tenisówki na pedałach hamulca i gazu, a potem postanowiłem trochę postraszyć kierowcę mercedesa.

Trzy lekkie dociśnięcia pedału gazu i trzy potężne, podobne rykowi lwa, warknięcia. Ptaki śpiące na okolicznych drzewach zerwały się, popiskując i bijąc nerwowo skrzydłami w poszukiwaniu jakiegoś spokojniejszego miejsca na nocny popas.

Błysnąłem dwukrotnie długimi światłami, dając znak, że jestem gotowy.

Odpowiedziały mi czerwone reflektory „stopu” na rufie mercedesa.

Klocki hamulcowe czarnej maszyny poszły w górę, uwalniając przednie koła i mercedes z rykiem popędził przed siebie. Przydepnąłem pedał gazu do oporu i przez chwilę walczyłem z tańczącym na boki dziobem wozu.

Wystarczyła jednak chwilka, by sławne szerokie i niskie zawieszenie wehikułu pozwoliło ministerialnemu pojazdowi przykleić się do drogi i pędzić za czarnym mercedesem uliczkami Konstancina.

Jedynka i od razu dwójka. Zakręt w prawo. Żeromskiego w dół, do Piasta. Trójka, znów w prawo, do Wareckiej. Czwórka i w lewo.

Byliśmy na długiej prostej, prowadzącej na obrzeża Chojnowskiego Parku Krajobrazowego. Robert Weiss brał wszystkie zakręty wcześniej niż ja, więc przy wejściu na prostą miał nade mną pięćdziesiąt metrów przewagi. Ale wehikuł nie bez powodu wygrał już kilkadziesiąt drogowych pojedynków. Dwanaście cylindrów puszczonych w ruch pozwoliło zmniejszyć ten dystans o połowę, zanim dotarliśmy do ostatniego przed parkiem skrzyżowania, na którym doszło do incydentu, który pozwolił Weissowi umknąć.

Trwało to wszystko trzy, może cztery sekundy.

W jednej chwili zobaczyłem, jak z uliczki prostopadłej do Wareckiej wyjeżdża pomarańczowy garbus, mercedes przemyka przed jego maską w odległości kilku centymetrów i podjąłem instynktowną decyzję. Wcisnąłem pedał gazu do podłogi, z piskiem opon wprowadziłem wehikuł w kontrolowany poślizg i ściałem zakręt, żeby znaleźć się za garbusem. Kamyki i ziemia zachrzęściły o podwozie. Potem jednak koła znów dotknęły asfaltu i siłą rozpędu potoczyłem się jeszcze kilkanaście metrów, skręcając łukiem uliczką zanim zatrzymałem się na równoległej do Wareckiej ulicy i wrzuciłem wsteczny.

Skórę wyniosłem całą ale Weissa nie było już widać w tylnych lusterkach. Popędził Warecką i zniknął w lesie. Za pomocą ręcznego hamulca i pedału gazu obróciłem wóz w miejscu i bez przekonania przejechałem się kawałek po lesie. Tak jak się spodziewałem, po przeciwniku nie zostało ani śladu. Silnik wehikułu był jedyną maszyną mącą nocny spokój lasu.

Na pierwszym skrzyżowaniu skręciłem w prawo i ulicą która jednocześnie uratowała mi skórę i wyprowadziła na manowce, wróciłem do Wareckiej. Wjeżdżając znowu do miasta,

wyłączyłem tryb rajdowy. Nie był mi już do niczego potrzebny. Wlokłem się powoli uśpionymi uliczkami Konstancina, niczym rycerz ze skruszoną kopią którego w zapale turniejowych szranków wysadził z siodła silniejszy przeciwnik.

„Siła złego na jednego” — pomyślałem o ósmej rano, kiedy, wyrwany brutalnie ze snu, otworzyłem drzwi i ujrzałem w nich aspiranta Grzymałę w mundurze.

— Mogę? — zapytał bez powitania z miną dyrektora szkoły, do którego gabinetu przyprowadzono szczególnie dokuczliwego łobuza.

Zaprosiłem go gestem i zaproponowałem kawę. Odmówił, ale łaskawie się zgodził, bym przyrządził napój dla siebie.

Usiadł przy stole i cierpliwie czekał, aż kawa zbulgocze we włoskiej maszynie, a ja przeleję ją do filiżanki i usiądę naprzeciw niego. Łaskawa zgoda, wyrozumiała cierpliwość i mina funkcjonariusza dobitnie miały mi uświadomić, kto jest panem sytuacji.

Grzymała pozwolił mi na dwa łyki kawy, zanim się odezwał.

— Skarżą się na pana — rzucił i zamilkł, czekając na moją reakcję.

— Kto się skarży, panie władzo? — zrobiłem zdziwioną minę.

— A choćby Robert Weiss — rzekł policjant takim tonem, jakby wpłynęło przynajmniej pół tuzina zażaleń na moje zachowanie, a on mógł w nich przebierać jak w ulęgalkach. — Był u mnie dzisiaj rano, bardzo wzburzony. Twierdzi, że kiedy wczoraj w nocy wyjechał z domu do restauracji na późną kolację, ścigał się z nim pan jak wariat do Parku Chojnowskiego...

Checiałem stwierdzić, że wyglądało to nieco inaczej i Robert Weiss wyzwał mnie na drogowy pojedynek, ale policjant nie dał mi dojść do głosu:

— Pan Weiss tym razem zrezygnował z wnoszenia skargi i ujdzie to panu płazem — aspirant zaakcentował słowa „tym razem”, żeby nie było wątpliwości, co zdarzy się „następnym razem” — ale szczerze się dziwię. Pan, człowiek na państwowym stanowisku...

— Wykonywałem tylko swoje obowiązki — odparłem chłodno.

— Czyli? — dopytywał się ciekawie Grzymała.

— Czyli ścigałem podejrzanych o niszczenie zabytków — odparowałem bez zastanowienia, co natychmiast wykorzystał aspirant.

— I to jest pański problem — westchnął z troską. — Oskarża pan bez dowodów niewinnych ludzi. Dobrze panu radzę, żeby zostawił pan ściganie podejrzanych powołanym do tego organom, czyli w tym wypadku mnie — zamilkł na chwilę, jakby chciał mi dać czas na przemyślenie swoich słów, a potem rzekł refleksyjnym tonem: — To była kiedyś taka spokojna ulica. Od dziesięciu lat nie miało tu miejsca żadne przestępstwo. Za to od kiedy pan się tu zjawił, co noc mamy bal: jak nie podpalenie, to nielegalne wyścigi...

— Coś pan sugeruje, panie władzo? — zapytałem, jakbym wyzywał go na pojedynek.

— Raczej apeluję — uśmiechnął się Grzymała i wstał z krzesła. — Apeluję do pańskiego rozsądku. Trochę o pana popytałem i wiem, że ma pan głowę na karku.

— Czy to wszystko? — zapytałem prawie niegrzecznym tonem, a kiedy potwierdził, dodałem: — Zatem żegnam, mam dziś sporo do załatwienia.

Aspirant nie dał się wyprowadzić z równowagi. Skinął głową z uśmiechem i powiedziawszy głośno i wyraźnie „Do zobaczenia”, opuścił mieszkanie.

„Dałeś się za bardzo ponieść emocjom, Pawle” — rozmyślałem, popijając chłodną już kawę. „I wczoraj w nocy, i dzisiaj. Chyba rzeczywiście nadszedł czas na zmianę priorytetów. Nie możesz już sobie pozwolić na błędy, więc lepiej będzie, jeśli dzisiaj zajmiesz się czymś innym i pozwolisz

sprawie Weissa odrobinę przyschnąć.”

Odkładając filiżankę do zlewu, wiedziałem już, gdzie powinienem skierować swe kroki.

Zdjęcie wiszące w korytarzu, prowadzącym do siedziby Towarzystwa Miłośników Zabytków i Historii Konstancina sprawiło, że zmieniłem zdanie. Wychodząc z domu chciałem po prostu skontaktować się z jego prezesem i rozpytać o ewentualnych świadków niemieckich rewizji w mieście, ale kiedy na zbiorowym zdjęciu członków Towarzystwa zobaczyłem znajomą twarz Renaty Pestki, przyszło mi do głowy, że lepiej zrobię, prosząc właśnie ją o pomoc. Dziewczyna najwyraźniej nie miała wobec mnie uprzedzeń, tak jak pani Zakrzewska, która pewnie zdążyła już ostrzec przede mną pozostałych członków Towarzystwa.

Wróciłem do „Anny” i zapukałem do drzwi pani Renaty. Otworzyła mi z uśmiechem i zaprosiła na herbatę w rewanżu za wczorajszy wieczór.

— Dzisiaj to ja mam do pani prośbę — rzekłem, uszczknawszy kawałek herbatnika z angielskimi napisami. — Wiem, że należy pani do Towarzystwa Miłośników Zabytków i Historii Konstancina...

— Pani Basia ostrzegła, że może się pan u mnie zjawić — wtrąciła z udawaną powagą.

— Boi się mnie pani?

— Podobno niezły z pana łobuz — uśmiechnęła się wreszcie. Słońce odbiło się w jej wesołych oczach.

— Skoro tu siedzę, to pewnie lubi pani łobuzów?

— Może... — spojrzała na mnie zalotnie. — Chyba tak. Inaczej nie pracowałabym przecież w szkole.

Śmiałyśmy się przez chwilę.

— No dobrze — rzekła w końcu pani Renata. — Proszę powiedzieć, z czym pan przyszedł.

Wyjaśniłem jej, że szukam świadków przeszukania, którego dokonali Niemcy w 1944 roku w willi „Anna” i że interesuje mnie los skradzionych z posesji przedmiotów.

— Spróbuję popytać — stwierdziła z westchnieniem, które nie dawało wielkich nadziei i zmieniła temat. — Rozmawiał pan już z dziećmiakami?

— Nie, ale dzisiaj się tym zajmę. Obiecuję.

— Liczę na pana — wyciągnęła swoją dłoń w kierunku mojej, jakby chciała mnie złapać za rękę, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła i cofnęła dłoń. Poczulem jak stają mi dęba włoski na karku.

— Pójdę już — rzekłem, wstając. — Kiedy mogę liczyć na odpowiedź w sprawie „Anny”?

— Może uda mi się zdobyć te informacje jeszcze dzisiaj — powiedziała niepewnie. — Proszę zostawić mi swój telefon, to zadzwonię, kiedy tylko się czegoś dowiem.

Wymieniliśmy się numerami telefonów, a potem Renata Pestka, zaproponowała, żebyśmy przeszli na „ty”. Zgodziłem się z ochotą. Za bruderszaft posłużyły nam resztki herbaty.

— Paweł — rzekłem, całując jej policzki i wdychając delikatny, kwiatowy zapach i wstydząc się, że nie pomyślałem o tym, by się ogolić przed przyjściem do dziewczyny.

— Renata — odparła. — Ale znajomi mówią na mnie Renia.

— No to już dłużej nie przeszkadzam, Reniu — wypowiadając zdrobnienie jej imienia, poczułem miły dreszczyk. — I czekam na wieści. Jeśli chcesz, to zadzwoń, ale będzie miło, gdybyś wpadła do mnie na kawę. Przez cały dzień nie mam zamiaru ruszyć się z domu ani na krok.

Zanim wróciłem pod „piątkę”, odwiedziłem jeszcze księgarnię, w której zaopatrzyłem się w opasłe tomiszczce wspomnień Krystyny Machlejdowej. W domu zjadłem obfite śniadanie, na które

złożyły się jajka na miękko po wiedeńsku, grzanki opieczone w starym tosterze wygrzebanym z kuchennej szafki, dżem i cały dzbanek kawy z mlekiem. Posiliwszy ciało, wziąłem z półki w salonie opasyły tom wspomnień i, złożywszy wcześniej pościel, wyłożyłem się wygodnie na łóżku w sypialni.

Chciałem przejrzeć książkę Krystyny z Ulrichów Machlejdowej, którą Ania wypożyczyła wczoraj z biblioteki. Skoro dziewczynka twierdziła, że znalazła jakiś nowy trop i, aby go sprawdzić potrzebowała pamiętników tej kobiety, to może i ja, przestudiowawszy jej wspomnienia, zdołam odkryć to, na co wpadła dwunastolatka?

Nazwisko autorki było mi znane. Wiedziałem, że pochodziła ze sławnej rodziny warszawskich ogrodników, której protoplasta służył na królewskim dworze, a wyszła za mąż za protestanckiego pastora, które przodkami byli Szkoci z klanu McLeodów, z polską nazywani Machlejdami.

Zacząłem od indeksu. Odnośników do Alberta i Anny Klimplów nie było zbyt wiele. Jeden z nich odsyłał do listy zaprzyjaźnionych z autorką rodzin, drugi opowiadał o wizycie na placu budowy „Julii”, willi sąsiadującej z „Anną”. Oto co napisała Krystyna Machlejdowa:

W tym to roku [czyli w 1906] była willa „Julia” już gotowa do zamieszkania, a rok przedtem pamiętam, jak na wiosnę kopano ziemię pod fundamenty, jak robota szybko postępowała i jak sam teść wszystkiego doglądał. Te same prace były na sąsiednim placu państwa Albertów Klimplów. Przed rozpoczęciem budowy pamiętam znakomicie moment „kolkowania” terenu pod budowlę. Pamiętam, jak na posesji dzisiejszej „Anny” siedzieliśmy jednego wiosennego poranka na puszystym mchu gęsto zalesionej parceli i medytowaliśmy, że to będzie ostatnia siedziba ludzka w takim odludziu. (...) Siedzieli wtedy Arturowie z synkami, my z Halinką, Leopoldowie Klimpel z Poldziem i Zdzisławem oraz starzy Albertowie budujący ów dom.”

I to było wszystko — przynajmniej jeśli chodzi o indeks. Udało mi się co prawda ustalić, że Krystyna Machlejdowa знаła się z panią Klimpel, ale nic więcej o naturze tej znajomości ani o „Annie” i jej mieszkańcach nie znalazłem.

— No cóż, trzeba skończyć z tym chodzeniem na skrót i zabrać się do sprawy jak profesjonalista — mruknąłem pod nosem i wróciłem do pierwszej strony memuarów Lady McLeod. Nie dane mi było jednak zatopić się w wirze światowego życia przełomu wieków XIX i XX, bo w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Pukała Renata Pestka.

— Cześć, Reniu! — ucieszyłem się na jej widok. — Zapraszam na kawę.

W oczach dziewczyny błysnęły figlarne ogniki, ale milczała jak zakłeta.

— Udało ci się czegoś dowiedzieć? — zapytałem nieco zbity z tropu, przepuszczając ją w drzwiach.

Zrobiła taką minę, jakby chciała powiedzieć „może, może”, ale podeszła do stołu bez słowa. Usiadła na krześle, głośno wypuszczając powietrze i odchylając głowę do tyłu. Wyglądała na zmęczoną.

Stałem jak kołek obok drzwi, nawet ich nie zamykając, aż do chwili gdy Renata wreszcie się odezwała:

— Widzę, że lubisz rzucać słowa na wiatr — rzekła rozbawiona i odwróciła w moją stronę głowę.

— O czym mówisz? — zapytałem rozdrażniony.

— O kawie oczywiście — odparowała. — Zrobisz ją wreszcie, czy mam sama iść do kuchni?

Po chwili na stole parowała kawa w dwóch porcelanowych filiżankach. Renata upiła łyżek, zatknęła za ucho kosmyk blond włosów, który opadł jej na oczy, gdy pochyliła się nad naczyniem i sięgnęła po ciasteczko.

— Lubię słuchać o historii Konstancina, ale co za dużo, to niezdrowo — odrzekła, podnosząc do góry oczy i wydymając usta.

„Wykończy mnie ta dziewczyna” — pomyślałem i chyba zrobiłem minę wyrażającą coś podobnego, bo Renata postanowiła wreszcie zaspokoić moją ciekawość:

— Niełatwo po tylu latach dotrzeć do szczegółów — rzekła. — Ale mnie się udało.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

**GDZIE MIESZKAŁ STURMBANNFÜHRER • „POLA” • „TU ALBO NIGDZIE!” • W
CIENIU STARYCH DRZEW • OKNO BEZ SZYBY • PAZURKI, FUTERKA I PISKI •
ODWRÓT WIELKIEJ ARMII • ŚLADY BARBARZYŃSKIEGO IMPERIUM • DO
PIWNICY • GŁUPE ŻARTY • KŁĘBOWISKO • PÓLKI PEŁNE BOMB • SKRZYNKA •
BINGO! • GNIAZDO • UCIECZKA Z CZELUŚCI • BEZ SZWANKU • W KLUBIE
SENIORA • „GUWERNANTKA” POUCZA • KARTY NA STÓŁ!**

— Człowiek który przeszukiwał „Annę” i jeszcze kilka innych konstancińskich willi nazywał się Friedrich Daum — przeszła wreszcie do rzeczy Renata — i z całą pewnością był sturmbannführerem. Powiedział mi o tym pewien miłośnik militariów, więc nie może raczej być mowy o pomyłce. Chociaż był wówczas dzieckiem, dokładnie zapamiętał dystynkcje na pagonach.

— Dowiedziałas się może, gdzie mieszkał?

— Aha — skinęła głową i upiła łyk kawy — ale o tym usłyszałam już od kogo innego. Ten człowiek to wspaniały gawędziarz, więc nie mógł po prostu odpowiedzieć na moje pytanie. Najpierw wysłuchałam półtoragodzinnej relacji o jego wojennych losach. Jeśli chcesz, to ci streszczę — drażniła się ze mną.

— Zamieniam się w słuch — odparłem, podnosząc filizankę do ust i kierując wzrok za okno.

— No, dobra żartowałam — rzekła pojednawczym tonem. — To, co cię interesuje, było dopiero na końcu... Kiedy skończyła się wojna, mój rozmówca mieszkał w Konstancinie od sześciu miesięcy, więc nieźle orientował się w tutejszych stosunkach. Twierdzi, że Daum mieszkał w „Poli” przy ulicy Gołębiej, która wtedy nazywała się Taubestrasse.

— Kto był właścicielem tej willi przed wojną?

— O to nie spytałam — zaszepiła się Renata. — Ale łatwo znajdziesz tę informację w przewodniku.

Wstałem od stołu i sięgnąłem po opasły tom w białej okładce, stojący na regale. Odnalazłem część opisującą Konstancin i przebiegłem palcem po liście zabytkowych willi.

— „Natemi”, „Pallas Athene”... Jest! „Pola” — przeczytałem — willa wybudowana w 1905 roku według projektu Zdzisława Mączyńskiego dla przemysłowca Ludwika Jankowskiego. Parterowa, podpiwniczona. Po powstaniu zajęta przez wysokiego rangą oficera wojsk okupacyjnych, po wojnie znacjonalizowana. Obecnie niezamieszкана, w częściowej ruinie.

Odnalazłem „Połę” na mapie. Wybudowano ją przy ulicy oddalonej od „Anny” o dwie przecznice.

— Najwyższy czas na wizję lokalną — rzekłem dziarsko, zatraskując przewodnik. — Może uda nam się coś znaleźć.

Gdybym był producentem filmów grozy i szukał odpowiedniego domostwa do tego, by nakręcić w jego murach mrozącą krew w żyłach historię skazanej na zagładę rodziny, ujrawszy „Połę”, musiałbym wykrzyknąć: „Tu albo nigdzie!”.

Nie chodziło wcale o to, że budynek był zrujnowany, bo jego ściany, dach, a nawet czarne od brudu szyby w oknach nieźle znosiły bezwzględny napór czasu.

Tajemnica zawierała się w mrocznym nastroju, atmosferze rozkładu i dzikiej, nieskrępowanej żywotności zarazem unoszącej się nad posiadłością.

Bujna roślinność chroniła parterowy dom przed okiem ciekawskich przechodniów.

Świerkowy zagajnik, przetykany tu i ówdzie dziko rosnącym jabłonkami. Zarośnięte głogiem, pokrzywami i bluszczem podwórze. Wysokie, rozrośnięte szeroko lipy o wonnych kwiatach.

Drzewa i krzaki otulały dom kokonem cienia, nieustępującym nawet przed mocnym sierpniowym słońcem, kwiaty i owoce nasączały powietrze zapachami z pozoru zwykłymi, ale po zmieszaniu tworzącymi woń egzotyczną i niepokojącą. Osy, muchy i świerszcze krążące w labiryncie z łodyg, liści i gałęzi niczym żywy metronom odmierzały nerwowymi dźwiękami kolejne ułamki sekund.

— Nieprzyjemnie tu — szepnęła Renia, złapała za poły rozpinanej bluzki i otuliła się nią szczelnie, jakby nagle poczuła chłód, chociaż słupek rtęci z pewnością zawędrował już powyżej trzydziestki.

Rdzawa bryła z cegły pokrytej zielonymi liszajami mchu, do której wnętrza wchodziło się przez ganek z brunatnego drewna, wyłaniała się powoli zza chaszczy, kiedy zagłębialiśmy się w gąszcz — chrzęszczący pod nogami, szeleszczący na wietrze i wczepiający się kolcami głogów w ubrania.

Czując na policzku piekące od potu i gorąca zadrapanie, powstałe gdy przed chwilą odgarniałem ręką wielką gałąź glogu, wszedłem na ganek.

Schodki zaskrzypiały po moimi butami. Pochyliłem się i podniosłem z ziemi zagradzający przejście suchy konar, oderwany od stojącej obok jabłonki w czasie jakiejś jesiennej zawieruchy. Odrzuciłem gałąź na bok i nacisnąłem zardzewiałą klamkę. Mechanizm zamka musiał być stary, ale nie ustąpił.

— Tam jest okno bez szyby — Renia, która nie odważyła się wejść za mną na ganek i stała na środku podwórka z nogami zakrytymi bluszczem i twarzą przerażonej dziewczynki, podniosła chudą rękę i wskazała w kierunku prawej części fasady.

Podążyłem wzrokiem za jej wyciągniętym palcem. W ostatnim oknie przed załomem domu istotnie brakowało szyby. Zamiast tafli szkła wciśnięto we framugi kwadraty pilśniowej płyty i uszczelniono je starymi gazetami.

Zszedłem z ganku i przedarłem się do okna. Nie było to łatwe, bo pas ziemi biegnący wzdłuż podstawy budynku upodobały sobie maliny, których włochate gałązki, niczym kocie pazurki szarpały mnie za nogawki, utrudniając pochód.

Wreszcie jednak się udało. Ocierając pot z czoła i przeganiając chmary muszek, pchające mi się do nosa, uszu i oczu stanąłem pod oknem. Dolna krawędź framugi sięgała mi do połowy klatki piersiowej. Wyjąłem gazetowe pakuły z jednego z dolnych kwadratów, na które podzielono okienną ramę, po czym nacisnąłem na pilśniową płytę, zastępującą szybę. Pozbawiona papierowego wzmocnienia ustąpiła z łatwością i wpadła do środka. W głębi domu zakotłowało się, o drewnianą podłogę zastukały setki pazurków, rozległo się nerwowe, wysokie popiskiwanie.

„Szczury” — pomyślałem, przełykając ślinę i odwróciłem się do Reni. Dziewczyna musiała zinterpretować harmider wewnątrz „Poli” podobnie do mnie, bo najpierw zbladła, potem zrobiła się zielonkawo-sina, a w końcu rzuciła się do ucieczki, nie dbając o to, że gałązki i kolce szarpią jej pończochy.

— Zaczekaj przy bramce! — rzuciłem za nią bez przekonania. Nerwowo kiwnęła kilka razy głową i zniknęła w krzakach.

— Cholera — zakląłem pod nosem, czując na karku nieprzyjemny dreszcz.

Nie należę co prawda do ludzi czujących lęk przed szczurami. Ba! Gotów jestem uznać nawet za sympatycznych pojedynczych, udomowionych przedstawicieli tego gatunku, widywanych od czasu do czasu w domach znajomych, ale stado czające się w mrocznych pokojach „Poli” budziło

we mnie niepokój.

„Jak by to wyglądało, gdybyś się teraz wycofał, Pawle?” — zadałem sobie w duchu pytanie i sięgnąłem do kieszeni dzinsów po zabraną przezornie kieszonkową latarkę.

Usunąłem z okiennej ramy pozostałe płytki. W smudze światła ujrzałem kotłujące się ciała pokryte futerkiem. Szczury w panice uciekały w mrok, kiedy, wsadziwszy dłoń w dziurę po szybce, otwarłem znajdujący się po drugiej stronie skobel.

Okno ustąpiło z trzaskiem.

Spojrzałem jeszcze raz na watahę gryzoni uciekającą w panice i sięgnąłem po leżący niedaleko poręczny konar, przypominający kij bejsbolowy.

„To tylko tak na wszelki wypadek” — uciszyłem rodzące się w głowie samooskarżenie o tchórzostwo, postawiłem kij przy ścianie domu i, oparłszy ręce na dolnej framudze, podciągnąłem się na rękach i wsparłem nogę na krawędzi okna. Jeszcze chwila i byłem w środku. Wychyliłem się z okna i sięgnąłem po kij. W tym samym momencie poczułem, że coś śmignęło obok mojej stopy, ocierając się kostką. Przelykając ślinę, cieszyłem się, że ubrałem na wyprawę do „Poli” długie spodnie.

Zapaliłem latarkę i omiotłem światłem pomieszczenie. Potok szczurów, biegnących do drugiego pokoju rozdzielił się na dwie części, przecięty światłem niczym ostrzem noża.

Torując sobie w ten sposób drogę chodziłem po pokojach, otwierając po kolei wszystkie okna i wpuszczając do środka światło i świeże powietrze. Dopiero gdy gryzonie oślepięte blaskiem opuściły pokoje i skryły się, jak przypuszczałem w piwnicy, mogłem swobodnie rozejrzeć się po parterze.

Szczurze imperium musiało wziąć „Połę” we władanie ładnych parę dziesiątków lat temu, wszędzie bowiem widać było ślady jego podbojów — parkiet znaczyły setki zadrapań pazurków, tapeta i nieliczne pozostałe po poprzednich lokatorach meble z czasów PRL-u zostały pogryzione niemal na strzępy, a w powietrzu unosił się smród, który nie ulotniłby się nawet gdybym pozostawił okna otwarte na miesiąc.

Hamując obrzydzenie przejrzałem szafki, przetrząsnąłem kąty i, za pomocą kija przepatrzyłem zakamarki i stopy gnijących resztek. Nie znalazłem niczego ciekawego.

Byłem tak skupiony na robocie, że kiedy usłyszałem głos Reni, wzdrygnąłem się ze strachu.

— Wszystko w porządku, Pawle? — dopytywała się z niepokojem dziewczyna. Ponieważ znajdowałem się po drugiej stronie domu niż ta z oknem, przez które się tu dostałem, głos Reni dobiegał z daleka.

Minutę później ujrzałem jej twarz w ramie framugi, oblażonej z farby. Ciągle wyglądała na wystraszoną ale zacięta mina świadczyła, że przynajmniej próbowała pokonać swój lęk.

— Na szczęście nie jestem królem Popielem — zażartowałem, żeby rozładować ciężką atmosferę.

Zaśmiała się co prawda tylko półgębkiem, ale i tak było to lepsze od nerwowej szarpaniny sprzed kilku minut.

— Skończyłeś już? — zapytała z nadzieją.

— Na górze tak. Nic ciekawego — odparłem.

— Co to znaczy: na górze?

— Nie pamiętasz notki w przewodniku? — zapytałem z niedowierzaniem właściwym wszystkim, którzy przesadnie szczycą się swoją wiedzą i zaraz tego pożałowałem, bo dziewczyna się zawstydzila. — Była tam informacja o tym, że „Pola” ma piwnicę — dodałem już normalnym, rzeczowym tonem.

— Chcesz zejść do piwnicy? — zapytała takim głosem, jakby właśnie zdała sobie sprawę, że postradałem zmysły, a ona musiała przekonać mnie, bym nie ogłaszał światu, że nazywam się Napoleon Bonaparte i jestem cesarzem Francuzów.

— Chyba nie ma innego sposobu, by przekonać się, czy nie zostało tu coś z łupów zagarniętych przez sturmbannführera Friedricha Dauma.

— Może lepiej by było wezwać najpierw ekipę deratyzacyjną? — zaproponowała nieśmiało.

— Nie mamy na to czasu — pokręciłem głową i znów uruchomiłem latarkę, którą schowałem do kieszeni na czas rewizji parteru.

Ruszyłem w kierunku przedpokoju, w którego ciemnym wnętrzu już wcześniej dostrzegłem uchylone drzwi, za którymi w świetle latarki ukazały się prowadzące w dół schodki.

Zanim zniknąłem w przedpokoju, obróciłem się do Reni i powiedziałem z szelmowskim uśmiechem:

— Gdybym nie wrócił za godzinę, wezwij pomoc.

Dziewczyna znowu zbladła, w kącikach jej oczu coś błysnęło, a ja pożałowałem idiotycznego wygłupu.

— No co ty, Renia — rzekłem. — Tylko żartowałem. Chyba się tym nie przejęłaś?

Przeczący ruch głowy.

— Wiesz, że nic mi nie grozi?

Podbródek dziewczyny zatańczył w górę i w dół.

— To dobrze — powiedziałem siląc się bez powodzenia na zdecydowany ton, bo Renia miała taką minę, jakby niezupełnie wierzyła w moje zapewnienia. — Będę z powrotem za kwadrans — dodałem i nie patrząc więcej na dziewczynę, wszedłem w półmrok przedpokoju.

Popchnąłem uchylone drzwi zagradzające przejście do schodów wiodących w dół. Ustąpiły z trudem i piskiem przynajmniej setki gryzoni, kotłującej się za drewnianą płytą. Trzydzieści sekund zajęło mi poszerzenie szpary w drzwiach, na tyle bym mógł przedostać się na schody. Czując przez dzinsowy materiał przetaczające się obok kostek strumienie futrzastych ciałek zszedłem dwa stopnie w dół i oświetliłem dalszą część schodów.

Widok nie napawał optymizmem.

Piwnica musiała być stolicą szczurzego imperium, bo było tu dużo więcej zwierząt niż na górze. Klębiły się, wążąc sobie na grzbiety, kłusując w oszołomieniu najbliższych sąsiadów i piszcząc wniebogłosy.

Pomału, by nie rozdrażniać i tak już zestresowanych gryzoni, schodziłem w dół, opierając się plecami o ścianę. U podestu schodów znajdowały się zamknięte drzwi. Na klamce przycupnął ogromny szczur. Oczy błysnęły w świetle latarki i spłoszone zwierzątko rzuciło się desperacko w dół, do kotłujących się na podłodze towarzyszy.

Skrzywiłem usta w grymasie obrzydzenia i jednym tylko palcem nacisnąłem klamkę, która na szczęście ustąpiła. W drzwiach zrobiła się niezbyt szeroka szpara i żeby uchylić je dalej, musiałem namęczyć się jeszcze bardziej niż u góry. W końcu jednak zdołałem dostać się do środka i odetchnąłem z ulgą. Piwnica była niezbyt duża i jednoizbowa, a jej umeblowanie stanowiły zakurzone półki, uginające się pod ciężarem weków zamkniętych za pomocą szklanych denek i szerokich gumek. Gruba warstwa kurzu na ściankach słoików była niczym ostrzeżenie dla zbyt łakomego gościa, że ma do czynienia z bombami biologicznymi, które zamiast dostarczyć mu niebiańskich doznań smakowych, gotowe są eksplodować w każdej chwili smrodem i białymi grudami narosłej przez lata pleśni.

Blask latarki wyłowił z ciemności tylko jeden interesujący przedmiot — skrzynkę z desek, z

której wystawały na zewnątrz jakieś szpargały. Skrzynka stała na półce znajdującej się dokładnie naprzeciw wejścia do piwnicy, trzy metry ode mnie.

Czując spływający po plecach pot, ruszyłem przez żywy dywan, starając się delikatnie rozgarniać stopą poruszające się we wszystkich kierunkach gryzonie. Dotarcie do półki zajęło mi pięć minut, ale gdy pojemnik znalazł się wreszcie na poziomie moich oczu, czułem się tak wyczerpany, jakbym przez dwie godziny zrzucał do piwnicy węgiel. Zaświeciłem do środka skrzynki. Na wierzchu leżał jakiś urzędowy dokument spisany po rosyjsku. Podniosłem go i po pobieżnej lekturze zdałem sobie sprawę, że trzymam w rękach akt notarialny potwierdzający nabycie ziemi przez niejakiego Ludwika Jankowskiego.

„Bingo!” — pomyślałem, przypominając sobie notkę w przewodniku, złożyłem i schowałem dokument do kieszeni, po czym ponownie zająłem do skrzynki.

Entuzjazm wyparował ze mnie równie szybko jak kropla wody z tafli nagrzanej patelni.

— O Boże... -jęknąłem, patrząc na kilka małych szczurków moszczących się w gnieździe ze strzępków papieru, w które zęby ich matki zamieniły rodzinne archiwum Jankowskich. Ostrożnie wsadziłem rękę w papierową pierzynkę, żeby sprawdzić, czy na dnie skrzynki nie ocalały jakieś całe dokumenty, ale moje palce dotknęły tylko chropowatej deski. Małe gryzonie poruszyły się niespokojnie, ale żaden z nich nie zdecydował się mnie zaatakować.

W tym samym momencie metr od mojej głowy rozległ się gniewny dźwięk. Obróciłem latarkę i spojrzałem prosto w oczy szczurzyca gotowej do ataku.

„Odwrót! Odwrót!” — nakazałem sobie w myślach i powoli zacząłem się wycofywać w kierunku drzwi. Szczurzyca, której już teraz nie widziałem, popiskiwała głośno, jakby wzywała na ratunek pobratymców.

Szczury zaatakowały moje buty i nogawki spodni. Nie dbając już zbyt o to, by żadnego z nich nie nadepnąć, rzuciłem się pośród wysokich jęków bólu i wściekłości do drzwi, a potem na schody. Dotarłszy na ich szczyt, strąciłem ostatniego gryzonia z nogawki. Pofrunął szerokim łukiem w piwniczny mrok, a ja zatrzasnąłem drzwi i oparłem się o nie plecami, dysząc ciężko. Lawina rozwścieczonych gryzoni rozbiła się o drewnianą zaporę, dudniąc głucho.

Dopiero teraz miałem okazję przyjrzeć się stratom poczynionym przez futrzastą armię.

W pierwszej chwili bałem się, że adrenalina wyzwolona podczas ucieczki zagłuszyła ból i, kiedy spojrzę na swoje kostki, zobaczę tam tylko dwie krwawe plamy. Na szczęście jednak biegłem na tyle szybko, że gryzonie nie zdołały przebić się przez dżinsowe nogawki i gruby materiał tenisówek. Tylko liczne zadrapania i wystrzępienia świadczyły teraz o determinacji atakujących mnie przed chwilą gryzoni.

„Wszystko do wyrzucenia” — orzekłem, obejrawszy dokładnie zrujnowaną odzież i buty. „No, ale mogło być gorzej” — pomyślałem zaraz, przypominając sobie o licznych chorobach przenoszonych przez szczury.

— Pawle, to ty? — usłyszałem dobiegający z oddali głos Reni.

— Tak, już po wszystkim! — odkrzyknąłem i ruszyłem w kierunku wyjścia.

— Udało ci się coś zna... — urwała w pół słowa Renata, ujrawszy moją zrujnowaną garderobę i domyślając się w mgnieniu oka dramatycznych wydarzeń, do których doszło pod ziemią. — O Boże! — wykrzyknęła, zakrywając rękami usta. — Nie pogryzły cię?

— Nie — odparłem krótko, bo miałem już trochę dosyć jej dramatyzowania. — A co do znalezisk — wyjąłem z kieszeni dokument w języku rosyjskim — to ocalało tylko to — podałem jej papier.

Spojrzała na niego bez zainteresowania i zaraz mi zwróciła.

— Jesteś pewien, że nic ci się nie stało? — spytała, gdy gramoliłem się przez okno. — Może powinien obejrzeć cię lekarz. Wiesz, wścieklizna, te sprawy...

— Nic mi nie będzie — uciałem dyskusję i ruszyłem przez mroczny park, w kierunku furtki i słonecznego blasku.

Przestudiowawszy akt notarialny zdałem sobie sprawę, że nie wnosi on niczego nowego do śledztwa. Przedstawiał oczywiście sporą wartość dla każdego zajmującego się historią Konstancina i, gdy będzie już po wszystkim, postanowiłem przekazać go Towarzystwu Miłośników Zabytków i Historii Konstancina.

Teraz jednak mógł mi się jeszcze przydać, włożyłem go więc do teczki i schowałem do kartonu, w którym trzymałem dokumenty dotyczące sprawy willi „Anna”.

Robiłem to wszystko czekając na Renie, która czując się, niesłusznie zresztą, winną mojej mroźnej krew w żyłach i niebezpiecznej wyprawy do piwnicy pełnej szcurków, zadeklarowała, że popyta znajomych o rodzinę Ludwika Jankowskiego.

Renia wróciła po trzech kwadransach. Na twarzy miała wypieki.

— Teraz będziesz musiał mi już wybaczyć! — wyrzuciła z siebie, obracając w cienkich palcach filiżankę pełną herbaty, którą podałem niezwłocznie po jej przybyciu.

— Nie bardzo wiem, co miałbym ci wybaczać — odparłem.

— Podoba mi się, że jesteś rycerski, ale to już naprawdę przesada! — zachnęła się dziewczyna. — Władowałam cię na niezłą minę i powinieneś się na mnie choć trochę pogniewać...

— No, dobra gniewam się — rzekłem podejmując jej grę. — Żeby ci wybaczył, będziesz musiała mi powiedzieć, czego się dowiedziałaś.

— Od razu lepiej — uśmiechnęła się Renata. — No więc jest tak. Jedyne wnuk Ludwika Jankowskiego mieszka do dziś w Konstancinie. Nazywa się tak samo jak dziadek.

— Dlaczego nie mieszka w „Poli”?

— Przecież pisali o tym w przewodniku, nie pamiętasz? — rzekła niecierpliwie, wbijając mi jednocześnie szpilę za wymądrzanie się przed wejściem do piwnicy „Poli”. — Willa została znacjonalizowana.

— Ciekawe więc, czemu nie starał się o odzyskanie posiadłości po 1989 roku?

— Tego nikt nie wie — odpowiedziała Renia. — On nigdy z nikim nie rozmawia o „Poli”. Nawet z najbliższymi przyjaciółmi.

— Nie dziwię się. To musi być dla niego bolesny temat. Tyle że to oznacza, iż znowu zabrnęliśmy w ślepią uliczkę... — rzekłem zrezygnowanym tonem.

— Niekoniecznie — Renata zrobiła tajemniczą minę. — Jeden z jego znajomych podsunął mi pomysł, w jaki sposób wyciągnąć z niego te informacje. Będziesz musiał pójść do klubu seniora, który jest nad nami...

Odruchowo podniosłem się z krzesła, żeby natychmiast ruszyć do akcji.

— Nie teraz — powstrzymała mnie gestem Renata. — Pójdziesz tam za kwadrans osiemnasta. To bardzo ważne, żebyś znalazł się tam o tej właśnie porze.

Duża wskazówka wskazywała ósemkę, mała błdziła pomiędzy piątką i szóstką.

Siedziałem w kącie klubu seniora na trzeciej kondygnacji willi „Anna” i udawałem, że czytam miesięcznik „Działkowicz”. Tak naprawdę co chwila przerywałem lekturę, żeby zerknąć na zgromadzonych w pokoju ludzi.

Pomieszczenie robiło przytulne wrażenie. Koronkowe firanki w oknach, na których

parapetach pyszniły się kwiaty, takie same obrusy na czterech okrągłych stolikach. Ręcznie malowane obrazki na ścianach wyklejonych ładną kremową tapetą drewniane meble; w przeciwległym do mego kącie wyłączony telewizor. Wszystkie sprzęty zgromadzone w pokoju były stare i odrobinę zniszczone, ale ich błyszczące krawędzie i blaty świadczyły, że codziennie dba o nie jakaś troskliwa ręka.

Przy stolikach siedziało dziesięć osób. Czterech mężczyzn i sześć kobiet. Starsze panie o starannie ułożonych w koki albo elegancko przyciętych włosach, umalowane niezbyt krzykliwie i ubrane stosownie do wieku pracowały w ciszy, postukując drutami albo machając szydełkiem. Jedna rozwiązywała krzyżówki zgromadzone w opasłym tomie, a dwie czytały wypożyczone z biblioteki książki. Widziałem stąd okładki tomów -jedna była bardzo kolorowa i wytłoczono na niej tytuł „Jej książkę”, druga, mocno zniszczona i poszarpana na brzegach przedstawiała podobiznę młodzieńca o semickich rysach i czarnej czuprynie, na której wypisano tytuł „Moje młode lata” i nazwisko autora „Artur Rubinstein”. Znałem tylko jedną z kobiet. Przy stoliku, twarzą do mnie siedziała pani Zakrzewska. I chociaż byłem pewien, że zauważyła moją obecność w klubie, nie dała tego po sobie poznać nawet jednym drgnieniem powieki.

Głośniejsi od pań byli mężczyźni. Z zapalem grali w brydża, wykrzykując co chwila kolejne odzywki.

Ponieważ jedna z pań, chuda jak tyczka brunetka przypominająca guwernantkę, zmierzyła mnie zainteresowanym spojrzeniem, wróciłem na minutę do artykułu poświęconego chorobom grożącym fasoli szparagowej i sposobom pozwalającym ich uniknąć. Ledwie jednak poczułem, że kobieta już na mnie nie patrzy, podniosłem wzrok na zegar z kukułką wiszący między oknami po prawej i zobaczyłem, jak duża wskazówka przesuwają się i staje dokładnie na dziewiątce. Drzwiczki pod dachem ozdobnego zegara, otworzyły się wyskoczył z nich szary ptaszek i niskim głosem obwieścił wybicie kolejnego kwadransa. „Guwernantka” spojrzała na zegar i odłożyła robótkę.

— Zbieramy się, dziewczynki — oznajmiła koleżankom, które także zakończyły już swoje prace i sięgały po zawieszane na oparciach krzesel koronkowe wełniane narzuty. — Książd Euzebiusz zaraz zacznie.

Kobiety bez słowa wstały z krzesel i, okrywszy ramiona narzutami, zebrały się przy wyjściu. Tylko „Guwernantka” podeszła do stolika, przy którym jeden z brydżystów tasował właśnie karty i spojrzała na mężczyznę przenikliwym wzrokiem. Ten spokojnie zaczął rozdawać, nie zwracając na nią uwagi. Dopiero, kiedy kobieta odchrząknęła znacząco, zaszczycił ją spojrzeniem spod na wpół przymkniętych powiek, osadzonych po dwu stronach rzymskiego nosa.

— Mam nadzieję, że pamiętasz o naszej umowie, Ludwiku? — rzekła „Guwernantka” takim tonem, jakby zwracała się nie do noszącego już na karku ósmy krzyżyk starca, ale kilkuletniego łobuza.

— Oczywiście — oświadczył zgadnięty, patrząc na nią z wyrzutem. Mina świadczyła, że swoimi słowami obraziła jego poczucie przyzwoitości.

— Cieszę się — odrzekła chłodnym tonem, w którym nie było zbyt wiele nadziei i dołączyła do koleżanek. Kobiety wyszły z pokoju, zostawiając w nim samych mężczyzn. Jeden z nich, spocony grubasek w pomiętej marynarce, niemal natychmiast rzucił na stół swoje karty i wykonał gest, jakby chciał sięgnąć po coś do kieszeni, ale mężczyzna o rzymskim nosie, nazwany wcześniej „Ludwikiem”, powstrzymał go słowami:

— Zaczekaj, na pewno któraś wróci, żeby nas sprawdzić.

Miał rację. Nie minęło pięć minut, a w napiętej ciszy oczekiwania dało się słyszeć najpierw stukanie obcasów o drewniane stopnie, a potem czyjś dyszący oddech.

— Udajemy, chłopaki! — syknął Ludwik, a głośno dodał: — Dwa bez atu!

Drzwi do pokoju skrzypnęły i weszła do niego korpulentna sześćdziesięciolatka z uśmiechem pensjonarki na twarzy:

— Zapomniałam chusty — rzekła przepraszającym tonem, wskazując na zwisającą z oparcia chustkę z ludowymi wzorami i czerwieniąc się, mimo grubej warstwy pudru na policzkach.

— Oczywiście, panno Leokadio — odpowiedział jej Ludwik z pewnością właściwą dżentelmenom i uśmiechnął się szelmowsko, mrużąc jednocześnie oczy.

Teraz czerwone były już nawet uszy panny Leokadii, która wypadła z pokoju, jak szalona.

Ludwik podniósł się z krzesła i spokojnym krokiem podszedł do okna. Zdałem sobie sprawę, że starzec musi mieć przynajmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, co biorąc pod uwagę jego podeszły wiek, oznaczało że w czasach młodości musiał górować nad większością rówieśników. Mężczyzna odchylił delikatnie firankę i przez trzy minuty wpatrywał się w widok za oknem. W końcu jego twarz rozjaśniło zadowolenie i powiedział głośno:

— Poszły!

Na stoliku momentalnie zjawiała się butelka koniaku i cztery pękate kieliszki, a w kąciку ust Ludwika zadymił papieros; trzeba jednak uczciwie dodać, że ten wybuch iście ułańskiej fantazji poprzedziło otwarcie okna.

Z kieszeni marynarek wydobyto pliki dziesięciozłotowych banknotów, które, spięte stalowymi klamrami lub gumkami-recepturkami czekały teraz spokojnie przed graczami z napięciem obserwującymi ręce Ludwika, sprawnie zrywające folię z nowiutkiej talii kart.

Grubasek w pomiętej marynarce zakrzętała się i szyjka butelki zatańczyła nad kieliszkami, napełniając ich wnętrza bursztynowym płynem.

Ludwik ćwiczoną przez lata ruchem rozdzielił talię na dwie części i przetasował karty w sposób znany każdemu, kto chociaż raz w życiu grał w pokera. Pokryte plastikiem kartoniki zaszemrały przyjemnie. Samozwańczy krupier już miał rozdać karty, kiedy zamarł na chwilę z kartą w ręce i podniósł na mnie wzrok.

— Dołączy pan do nas? — zapytał z wszystkowiedzącym uśmiechem. — Coś mi się zdaje, że nie znalazł się pan tu przypadkowo.

Skinąłem głową i usiadłem na podsuniętym mi usłudnie krześle pomiędzy Ludwikiem i grubaskiem.

— Stawka na wejście to dziesięć złotych — oświadczył krupier, a kiedy ponownie skinąłem głową w błyskawicznym tempie rozdał każdemu z nas po pięć kart.

Na pustym miejscu pośrodku stołu wylądowały wkrótce cztery banknoty z podobizną Mieszka I. Czekałem na ten moment i kiedy oczy pokerzystów skierowały się ku mnie z przyjaznym zainteresowaniem, sięgnąłem do marynarki, wyjąłem z niej akt notarialny znaleziony dzisiaj w piwnicy „Poli” i rzuciłem go między banknoty.

Ludwik zrozumiał natychmiast i sięgnął po papier. Jego twarz pobladła, kiedy rozłożył go i przeczytał.

— Jeśli się pan natychmiast nie wytłumaczy, proszę odejść od stolika — zażądał. — Nie zwykłem grać ze złodziejami.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

WYJAŚNIENIA • NOWE STAWKI • „PAN CZY JA?” • NALOT • PYTANIA I ODPOWIEDZI • DONIKĄD • PODGLĄDACZ NA POSTERUNKU • W NAJWAŻNIEJSZYM MOMENCIE • „ONA CHYBA UMARŁA” • GDZIE JEST PULS? • PRZERAŻONA MATKA • KARETKA • SZYBKA DIAGNOZA • ZATRZASKUJĄ MI DRZWI PRZED NOSEM • W SZPITALU • „NIE PAMIĘTAM”

— Nie jestem złodziejem — rzekłem, patrząc prosto w oczy Ludwika Jankowskiego.

— Ciekawe zatem, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie tego dokumentu? — potrząsnął poźółkłym papierem. — Jeśli kupił pan go na aukcji, to na jedno wychodzi, bo człowiek, który go panu sprzedał, to najzwyczajniejszy paser.

— Wydobyłem go z pełnej szczurów piwnicy willi „Pola” — rzekłem spokojnie, zignorowawszy jego obelgi. — Udało mi się to tylko dlatego, że przez wiele lat nikt nie interesował się budynkiem i tym, co w nim mogło pozostać...

— Niech pan się nie wypowiada w sprawach, o których nie ma pojęcia — Ludwik Janowski obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem.

— Nie widzę powodu, żeby nie mówić, kiedy lepiej poinformowani ode mnie milczą jak zakłęci — spojrzałem na niego znacząco.

Zmieszał się, ale tylko na ułamek sekundy.

— Czego właściwie pan ode mnie chce? — zapytał opryskliwie. — Po co pan tu przyszedł?

— Przede wszystkim pragnę zwrócić pańską własność — wskazałem ręką na papier.

Jankowski błyskawicznie schował dokument do wewnętrznej kieszeni marynarki. — Mam poza tym dla pana pewną interesującą jak sądzę, propozycję — rzekłem i położyłem na stole plik nowiutkich, zielonych setek, spiętych bankową banderolą, na której wypisano liczbę banknotów. Było ich tam dziesięć.

Zebrani przy stoliku mężczyźni aż się pochylili, żeby przekonać się, że dobrze widzą. Grubasek aż oblizwał wargi.

— Proszę nie trzymać nas dłużej w niepewności — wycodził przez zęby

Ludwik Jankowski siląc się na udawaną pogardę, chociaż jego oczy świadczyły, że z wielką chęcią stałby się właścicielem szeleszczącego pliku.

— Proponuję grę — zacząłem, a kiedy poczułem na sobie skupione spojrzenia wszystkich siedzących przy stoliku, rozwinąłem myśl: — Ja stawiam w niej pieniądze, pan, panie Ludwiku, wspomnienia... Jeśli wygram, odpowie pan na trzy moje pytania.

Jankowski nie zastanawiał się długo.

— Załatwmy to, zanim wrócą kobitki — powiedział, przesuając w moją stronę przetasowaną talię.

— Podbijam — powiedziałem, zobaczywszy, jakie nowe karty przyniosła mi wymiana i przesunąłem w stronę sporego stosu żetonów, leżącego na środku piętnaście nowych krążków.

Już przed pierwszym rozdaniem ustaliliśmy, że gra toczyć się będzie na żetony. Każdy z nas otrzymał po pięćdziesiąt plastikowych monet o biało-czerwonych krawędziach. Zwycięzcą miał zostać ten, kto zgromadzi całą setkę.

Graliśmy szybko i ostro, ze świadomością że w każdej chwili do „jaskini hazardu” na szczycie „Anny” mogą wkroczyć strażniczki publicznej moralności.

Ludwik Jankowski okazał się wytrawnym graczem o stalowych nerwach. W ciągu kwadransa udało mu się uzyskać nade mną znaczną przewagę. Zanim rozdałem karty miałem przed sobą trzydzieści, a on siedemdziesiąt żetonów. Ale teraz mi się poszczęściło. Po wymianie kart do moich dwóch asów i dziewiątki doszły jeszcze dwie najmocniejsze karty i dysponowałem w ten sposób kareta złożoną z czterech asów. Spojrzałem wyzywająco na Jankowskiego.

Ręka nie drgnęła mu nawet na milimetr, kiedy sięgnął do paczki po papierosa, wyjął go, zapalił i zaciągnął się głęboko. Strużce dymu, która po chwili wydostała się z jego ust, towarzyszył cichy, gruzliczy świst. Odpowiedział na moje spojrzenie, a potem rzucił okiem na kupkę swoich żetonów i odliczył z niej piętnaście sztuk. Dorzucił je niedbałym gestem do puli i syknął:

— Sprawdzam!

„Jeśli wygram zabawa zacznie się od początku. Każdy z nas będzie miał znów po pięćdziesiąt żetonów” — pomyślałem.

Potrzymałem go w niepewności jeszcze trzy sekundy, a potem położyłem karty na stół, koszulkami do dołu. Ujrzawszy moje cztery asy, Ludwik Jankowski zamknął na sekundę oczy i z ledwo hamowaną wściekłością rzucił swój plik kart koszulkami do góry.

Starając się nie okazywać przesadnej radości, przesunąłem czterdzieści żetonów na swoją stronę.

— Nie chcę was popędzać — odezwał się grubasek pełniący w czasie rozgrywki wartę przy oknie — ale one wracają...

— No dobrze, młodzieńcze — mówiąc to Jankowski nie patrzył na mnie; wbijał wzrok w plik zielonych setek. — Wóz albo przewóz. Proponuję zagrać od razu o całą pulę.

Zamiast odpowiedzieć, przesunąłem pięćdziesiąt żetonów na środek stołu. Przeciwnik uczynił to samo, po czym błyskawicznie przetasował karty i rozdał po pięć kartoników.

Dostałem dwa walety, damę, dziesiątkę i dziewiątkę.

„Parka” — pomyślałem. „Mogło być lepiej.”

— Dwie — powiedziałem, odrzucając dziesiątkę i dziewiątkę.

— Jedna — rzekł Jankowski, a mnie przeszedł po karku dreszcz.

Ponieważ graliśmy o całą pulę, nie było sensu blefować, co z kolei oznaczało, że mój przeciwnik musi mieć w ręku mocniejsze od mnie karty — co najmniej dwie pary, jeśli nie trójkę albo prawie całego strita.

Wziął swoją kartę pierwszy, ale chociaż lustrowałem jego twarz bez przerwy, nie drgnął na niej nawet jeden mięsień.

Powoli i najciszej jak tylko potrafiłem wypuściłem powietrze z płuc i sięgnąłem po kartę.

Dama. A więc miałem już w ręku dwie, w dodatku mocne, pary.

W ciszy, która zapadła, dał się słyszeć szelest drugiej z dobranych przeze mnie kart, gdy przesuwała się po leżącym na szczycie stosu kartoniku.

Gdy dołączyłem ją do pozostałej czwórki, wyrwało mi się z gardła ciche, ale doskonale słyszalne dla wszystkich zgromadzonych w klubie seniora, westchnienie.

Uzewnętrznienie uczuć zmieszało i zaniepokoiło Ludwika Jankowskiego tylko na ułamek sekundy. Szybko przywołał na twarz maskę obojętności i zapytał:

— Pan czy ja?

— Pan — odparowałem i wstrzymując oddech patrzyłem, jak mój przeciwnik kładzie na stole trójkę króli, damę kier i dziewiątkę pik. Teraz, kiedy można już było przestać udawać, wbił we mnie niecierpliwy wzrok.

— Trójka jest mocna — rzekłem, wytrzymując jego spojrzenie — ale z fullem nie wygra —

dodałem, pokazując mu co mam w ręku: dwie damy i trzy walety.

— Psiakrew! — zaklął głośno Jankowski i, rzuciwszy mi niechętnie spojrzenie ruszył ku drzwiom, nie zwracając uwagi ani na dobiegające zza drzwi coraz głośniejsze kroki na schodach, ani na spowodowaną tym dźwiękiem nerwową krzątalinę swoich towarzyszy, mającą doprowadzić klub seniora do takiego stanu, jaki panował w nim przed wyjściem pań, ani na moją rękę, która rozminęła się o centymetry z jego łokciem w nieudanej próbie powstrzymania go przed ucieczką.

Zerwałem się z krzesła i ruszyłem za Jankowskim, mijając się w drzwiach z tyczkową „Guwernantką”, której donośny, trzymany na wodzy żelazną siłą woli i przez to jeszcze bardziej niepokojący, głos skierowany do pozostałych w klubie graczy dogonił mnie po chwili na pierwszym piętrze:

— Czuję dym tytoniowy — cedziła przez zęby nieprzyjemna kobieta. — A przy nodze stolika widzę żeton do gry w pokera...

Więcej nie usłyszałem, bo głos kobiety zagłuszyły przekrzykujące i zagłuszające się w ten sposób nawzajem głosy przyłapanych seniorów i oskarżających ich seniorek.

Wybiegłem z willi, wściekły na Ludwika Jankowskiego i gotowy zmusić go siłą by uczynił zadość naszej umowie, ale szybko się okazało, że nie będzie to konieczne.

— Tu jestem, cwaniaczku... — usłyszałem za swoimi plecami głos mężczyzny, od którego przed chwilą wygrałem odpowiedź na trzy pytania.

Ludwik Jankowski stał w głębi parku, opierając się jedną ręką o potężną sosnę. Palił papierosa; z wyraźnym trudem podnosił do ust tutkę z tytoniem rozżarzoną na końcu, wbijając wzrok w ziemię. Podeszedłem do niego wolnym krokiem.

— Źle się pan czuje? Może wezwać pomoc? — zapytałem zaglądając w jego bladą twarz i kładąc rękę na jego ramieniu.

— Nic mi nie trzeba — stracił moją dłoń. — Pytaj pan, zanim się rozmyślę — warknął i rzucił papierosa na ziemię, po czym zdusił go czubkiem buta.

Postanowiłem go nie drażnić i uczyniłem zadość jego żądaniu.

— Czy w „Poli” znajdowały się jakieś przedmioty ukradzione przez Friedricha Dauma?

— To całkiem możliwe — odparł Jankowski. — Takie przynajmniej chodziły plotki.

— Plotki?

— Sam tych rzeczy nie widziałem. Nie mieszkałem w „Poli” od momentu, gdy Friedrich Daum postanowił uwić sobie w niej gniazdko.

— I nie znalazł pan w niej nic, kiedy wrócił tam zaraz po wojnie?

— Daum był złodziejem jakich mało — Jankowski uśmiechnął się gorzko. — Nie wystarczyło mu to, co ukradł z innych willi w Konstancinie. Jak uciekał, zabrał też ze sobą niemal całe wyposażenie „Poli”. Zostawił tylko szafę gdańską. Była pewnie za ciężka... No, ale nią zajęli się już czerwoni... — westchnął i spojrzał na mnie z niechęcią ale także z pewną ulgą. — To było zdaje się trzecie i ostatnie z pańskich wścibskich pytań — stwierdził, po czym oderwał rękę od drzewa, wyprostował się i, zapaliwszy kolejnego papierosa, ruszył w przedwieczorną szarówkę niespiesznym krokiem. Nie zaszczycił mnie na pożegnanie ani jednym słowem, ale niezbyt o to dbałem. Miałem poważniejszy problem.

Trop, który wydawał się przypominać nitkę Ariadny, pozwalającą opuścić labirynt, zawiódł mnie w ślepą uliczkę. Wpatrywałem się tępo w ciemniejącą coraz bardziej zieleń parku z dziwnym uczuciem, jakby przede mną wśród cieni rzucanych przez drzewa, w gęstniejącym mroku wyrosła nagle ściana z litej skały.

Czułem się jak przestępca, kiedy dwie godziny później, po wizycie w markecie ze sprzętem elektronicznym, zaszyłem się na werandzie. Przebrałem się w ciemne ubranie, na głowę założyłem czapkę, zgasilem światło i przycupnąłem pod oknem, wychodzącym na „Stokrotkę”.

Robert Weiss był w domu. Świadczył o tym rząd rozświetlonych okien na pierwszym piętrze i widoczna za nimi barczysta sylwetka spokojnie przemieszczająca się z jednego krańca pokoju na drugi albo znikająca w jego głębi.

Za każdym razem, gdy gwiazdor spoglądał przez okno, kryłem się za drewnianą barierą. Ciągłe dudniły mi w uszach zarówno bezpośrednie groźby Roberta Weissa, jak i nieprzyjemne aluzje aspiranta Grzymały. Wołałem nie zadzierać z żadnym z nich. Nie miałem ochoty sprawdzać ani jak szybko piosenkarz przejdzie od słów do czynów i puści w ruch pięści, ani czy aspirant Grzymała jest gotów zastosować jakieś inne środki zaradcze niż „rozmowa dyscyplinująca”, którą przeprowadził ze mną rano.

Kwadrans obserwacji wystarczył, żebym się domyślił, że gwiazdor na kogoś czeka. Był świeżo ogolony, miał na sobie elegancką kremową koszulę i jasną sportową marynarkę. Krążył po pokoju niecierpliwie, jak pacjent z bolącym zębem przed drzwiami do gabinetu dentysty. Co chwila wyglądał przez okno wychodzące na podjazd, niknąc mi z oczu za narożnym murem. Dwa razy widziałem jak coś niósł — najpierw były to dwa puste kieliszki do wina, potem miska z wystającymi z niej długimi łyżkami i falbaniastymi brzegami liści sałaty.

W końcu ktoś zadzwonił do drzwi piosenkarza. I chociaż z tej odległości nie miałem szans, by usłyszeć dzwonek, wiedziałem o tym niemal od razu, bo Robert Weiss od pięciu minut trwający w bezruchu niczym posąg, z oczyma utkwionymi w przestrzeń za oknem, obrócił nagle głowę niczym pies, który zwierzył zwierzynę. Błyskawicznie zniknął w głębi domu.

Zacisnąłem palce na lornetce i poczułem, jak odpływa mi z nich krew, ale bałem się zmieniać cokolwiek, by nie umknęła mi nawet sekunda z mających rozegrać się za chwilę wydarzeń.

Weissa nie było zaledwie trzy minuty. Wszedł do pokoju z uśmiechem na ustach, robiąc jednocześnie ręką zapraszający gest. Cień jego gościa pojawił się na ścianie... Wstrzymałem oddech i starałem się nie mrugać.

Omal nie upuściłem lornetki, kiedy załomotano do moich drzwi.

Szybko podniosłem instrument do oczu, ale tajemniczy gość Roberta Weissa musiał już usiąść za stołem, bo zniknął z pola widzenia. Znajdowały się w nim teraz jedynie barczyste ramiona Roberta Weissa, okryte jasnym materiałem marynarki.

Klnąc pod nosem na czym świat stoi, podniosłem się na równe nogi, zdając sobie dopiero teraz sprawę, jak bardzo zdrętwiały mi stopy. Musiałem usiąść na kostkach i w ten sposób odciąć niemal zupełnie krążenie w dolnych częściach moich nóg. Idąc w stronę drzwi czułem, jak krew powoli do nich wraca, napelniając je przyjemnym ciepłem.

Szarpnąłem drzwi z zamiarem grubiańskiego potraktowania intruza, który przeszkodził mi w najważniejszym momencie, ale to co zobaczyłem, zmieniło sytuację.

Na progu mego tymczasowego lokum stała dwójka dzieci — Zosia i Maciek. Oboje mieli takie miny, jakby zobaczyli stado zombies zbliżających się charakterystycznym wahadłowym ruchem do drzwi „Anny”; po policzkach chłopca ciekły łzy, nad prawym okiem, na brudnym czole widać było spory guz.

Miałem niejasne przecucie, że to nie moja groźna mina była powodem ich przerażenia.

— Co się stało? — zapytałem najłagodniejszym tonem, na jaki było mnie stać.

Nie odpowiedzieli. Zamiast tego Zosia opuściła głowę, a Maciek rozbeczał się na całego. Próbował coś mówić, ale krztusił się co chwila łzami, a szloch nie pozwalał mu sklecić jednego

sensownego słowa. Po chwili dołączyła do niego Zosia.

Postanowiłem cierpliwie poczekać, aż minie pierwsza fala hysterii. Nastąpiło to zadziwiająco szybko. Już po trzech minutach chłopak odetchnął głębiej i wytarł sobie piąstkami najpierw lewe, potem prawe oko.

Kucnąłem i zapytałem:

— Co się stało, Maćku?

— Ania — chłopak nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymał kolejny spazm.

— Co z nią? — wypytywałem cierpliwie.

— Ona... — do oczy znów napłynęły mu łzy, ale zdążył jeszcze dodać: — ...ona chyba umarła.

Potem znów się rozplakał.

Dziewczynka leżała z zamkniętymi oczami na trawie pod spaloną werandą Grzegorza Kruka. W brzoskwiniowym świetle ulicznej lampy widać było jej bladą twarz ściągniętą w takim grymasie, jakby zjadła coś gorzkiego i rozrzucone po bokach tułowia ręce. Kilkanaście centymetrów od głowy dziecka leżała kupka jakiejś żółto-brązowej substancji, której zapach nie pozostawiał wątpliwości co do tego, skąd pochodzi. Nie przeszkodziło to Maćkowi, który już chyba otrząsnął się z pierwszego szoku, dosadnie mi tego wyjaśnić.

— Najpierw się zerzy... — zaczął, ale szybko znalazł odpowiedniejsze słowo: — to znaczy wymiotowała, a potem upadła.

Ukucnąłem przy dziewczynce i złapałem ją za nadgarstek. Rękę miała zimną a tętna nie dało się wyczuć.

— Chryste Panie... -jęknąłem cicho i przyłożyłem ucho do ust dziecka. Trzy sekundy, które minęły, zanim usłyszałem jakiś dźwięk, ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie jednak wyłowiłem oddech, szybki i płytki jak u zmęczonego biegiem psiaka. Poczulem ulgę.

Spoconą ze strachu ręką namacałem telefon komórkowy tkwiący w kieszeni ciemnej bluzy od dresu i wybrałem numer 112. Na szczęście czasy, kiedy centra alarmowe w Polsce działały niezbyt sprawnie, już minęły i wkrótce mogłem poprosić o przysłanie ambulansu na ulicę Żeromskiego, pod numer 10. Operatorka z pogotowia zapewniła mnie, że ambulans przyjedzie za dziesięć minut i, wysłuchawszy opisu objawów, kazała ułożyć chorą w bezpiecznej pozycji.

— Biegnijcie po jej mamę — nakazałem dzieciom, zakończywszy rozmowę, a sam złapałem dziewczynkę za stopy i uniosłem jej nogi na wysokość swoich kolan. Nie dało to żadnego widocznego rezultatu.

Pięć minut później na podwórko wybiegła Daria Sułek.

— Ania! — wrzeszczała na cały głos. — Ania! Gdzie jesteś, dziecko!

— Tutaj, pani Sułek! — odkrzyknąłem, a kobieta, biegnąc za moim głosem, wypadła zaraz zza rogu budynku.

Rozwiane włosy, blada twarz ściągnięta grymasem przerażenia, szeroko otwarte oczy. Musiałem użyć całej mojej siły przekonywania i stanowczości, by nakłonić kobietę do bierności.

Kobieta uklękła przy dziecku i wpatrywała się w smutną twarz córki bezradnie i z rozpaczą. Z trudem powstrzymywała się przed tym, by położyć ręce na policzkach małej. Co chwila wyciągała ręce do przodu, ale zaraz cofała łokcie; w równym rytmie otwierała i zamykała dłonie; przygryzała wargi.

Na szczęście pięć minut później na podwórko wtoczyła się karetka pogotowia rycząc jednostajnie włączoną syreną i błyskając czerwonymi i niebieskimi światłami.

— Niech im pani pokaże, dokąd mają jechać — nakazałem Darii Sulek. Posłuchała mnie, podniosła się niepewnie, jakby była pijana, wyskoczyła za róg domu i pomachała nadjeżdżającej karetce. Furgonetka oznaczona wielką literą „R” zaparkowała z rozmachem prostopadle do willi i wyskoczyło z niej dwóch ratowników i lekarz. Ratownicy od razu zaczęli wyjmować z samochodu nosze, lekarz podbiegł do nas i kucnął przy dziewczynce. Sprawdził puls, a potem, świecąc sobie latarką w długopisie uniósł powieki, pod którymi widać było białka wywróconych oczu i zajrzał do ust.

— Czy dziewczynka jest na coś uczulona? — zapytał.

Matka, która z uwagą obserwowała jego poczynania, zdała sobie sprawę, że pytanie było skierowane do niej, dopiero gdy lekarz je powtórzył.

— Tak — odparła głosem, który zabrzmiał, jakby powiedział to automat, a nie żywy człowiek. — Na pyłki kwiatów, orzeszki i użądlenia os.

— To mi wygląda na wstrząs anafilaktyczny — doktor skinął głową w stronę dziecka. — Czy mała mogła zjeść przed chwilą coś, na co jest uczulona?

— Nie wiem — odpowiedziała kobieta. — Bawiła się na podwórku z kolegami...

— Gdzie są ci koledzy? — dopytywał lekarz. — Powinni coś wiedzieć...

— Nie mam pojęcia — odparła Daria Sulek, a ja zdałem sobie sprawę, że ani Zosia, ani Maciek nie wrócili razem z nią. Zniknęli, jakby zapadli się pod ziemię.

— No dobra — machnął ręką doktor i zwrócił się do czekających w gotowości pielęgniarzy, którzy w czasie, gdy lekarz rozmawiał z Darią Sulek, przynieśli nosze w pobliże dziewczynki. — Panowie! Zabieramy ją do szpitala. Nie ma czasu do stracenia.

Mocne, ale delikatne zarazem ręce podniosły nieprzytomną Anię i ułożyły ją na noszach. Po chwili dziewczynka razem z matką zniknęły za drzwiami tylnej części wozu. Drzwiczki zatrzaśnięto, a do kogutów omiatających niespokojnym światłem podwórze, dołączyło wycie syreny. Przez chwilę patrzyłem, jak pojazd znika za bramą i skręca w Jagiellońską. Jechał szybko i już po minucie o tym, że naprawdę tu przyjechał, świadczył tylko odległy, pulsujący dźwięk, dobiegający gdzieś z labiryntu uliczek willowej dzielnicy.

Poczułem, że ktoś na mnie patrzy i obróciłem się. Za załomem muru biegnącego z tyłu willi dostrzegłem głowę pani Zakrzewskiej, ozdobioną wałkami kryjącymi się pod ażurową siateczką. Kobieta spojrzała na mnie, jakbym to ja był powodem wszystkich nieszczęść, które dotknęły „Annę” i jej mieszkańców w ostatnich dniach, a potem fuknęła i zniknęła za murem.

— Maciek już śpi. A nawet jakby nie spał, to i tak nic panu nie powie — stwierdził ojciec Maćka, Rafał Karpiński. — A tak w ogóle to proszę więcej nie wplątywać mego dziecka w jakieś szemrane przygody... — dodał i trzasnął mi drzwiami przed nosem.

Kilka minut wcześniej podobnie zareagowała matka Zosi, kiedy poprosiłem ją o chwilę rozmowy z córką wyjaśniając, że dziewczynka może znać powód wypadku Ani. Jak echo brzmiały w moich uszach jej pełne pretensji słowa: „Nie wyglądał mi pan na mąciociela. Ale, jak widać, pozory mylą...”.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziło wpół do pierwszej w nocy.

„Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś” — pomyślałem i wyszedłem z „Anny” na ciemne podwórko. Wsiadłem do wehikułu i pojechałem do szpitala. Minęło kilka minut, zanim w labiryncie opustoszałych o tej porze korytarzy znalazłem matkę Ani.

Siedziała przed drzwiami z napisem „Oddział Intensywnej Opieki Medycznej”. Ręce zaplotła na piersi, nogi wyciągnęła prosto przed siebie. Głowa co chwilę opadała je w dół. Domyśliłem się,

że pierwszy szok już minął, adrenalina odpłynęła i kobieta, wyczerpana dramatycznymi wydarzeniami, musi walczyć z atakującym ją falami snem.

W poprzecznym korytarzu znalazłem automat z kawą. Kupiłem dwie kawy i poszedłem do Darii Sułek. Kiedy usiadłem na krzeselku, w pierwszej chwili wzdrygnęła się i spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem, ale zaraz mnie rozpoznała i szepnęła zmęczonym głosem:

— Ach, to pan... Nie zdążyłam panu podziękować...

— Nie ma za co — odparłem. — Napije się pani kawy? — wyciągnąłem w jej stronę kubeczek z parującym napojem.

Przyjęła poczęstunek z wdzięcznością. Przez chwilę piła kawę małymi łykami, wpatrując się w ścianę przed sobą, potem odwróciła się do mnie i spojrzała na mnie czujnie.

— Nie zdążyłam pana zapytać — rzekła. — Jak to się stało, że znalazł się pan dzisiaj wieczorem na podwórku, akurat kiedy Ania straciła przytomność?

Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, że kieruje nią nie tylko czysta ciekawość. Daria Sułek najwyraźniej podejrzewała mnie o wpędzenie jej córki w poważne tarapaty i tylko okoliczności łagodzące, czyli szybkie wezwanie pogotowia, kazały jej dać mi szansę na wyjaśnienia. Postanowiłem z niej skorzystać.

— Żeby dobrze wszystko pani zrozumiała, będę musiał się cofnąć do dnia, kiedy sprowadziłem się do „Anny” — zacząłem i opowiedziałem jej o prośbie pani Zakrzewskiej, o spotkaniu z Anią i Maćkiem na schodach, o tym jak, mając nadzieję na to, że nie będą interesować się niebezpieczną zagadką nakierowałem ich uwagę wymyśloną historią o tajemniczej chorobie pierwszej właścicielki domu i ukrytym w ogrodzie diademie. Doszedłem w końcu do momentu, w którym dzieci postanowiły działać bez mojej pomocy.

— Było mi to na rękę — powiedziałem. — Wreszcie mogłem się zająć poszukiwaniem podpalaczy...

Daria Sułek nie przerwała mi ani na moment. Słuchała i piła kawę.

— I co? Znalazł ich pan? — zapytała z ironią gdy skończyłem opowieść.

— Jeszcze nie — rzekłem trochę urażony. — Ale jestem chyba na tropie... -język świerzył mnie, żeby dodać „szajki, do której należy pani brat”, ale na szczęście w porę się w niego ugryzłem.

— Przepraszam — tembr jej głosu złagodniał. — Chciał pan dobrze i nie mogę mieć pretensji. Jestem po prostu roztrzęsiona tym, co stało się Ani. Lekarz powiedział, że mało brakowało...

— Ale wszystko jest już w porządku?

— Ania doznała wstrząsu anafilaktycznego — wyjaśniła kobieta. — Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby karetka przyjechała kilka minut później. Lekarz, który się nią opiekuje, mówi, że najgorsze niebezpieczeństwo minęło, ale objawy mogą się jeszcze powtórzyć za kilka godzin, więc Ania będzie musiała zostać w szpitalu. Jest tak osłabiona, że wygląda jak duch... — Daria Sułek przełknęła głośno ślinę i odwróciła głowę.

— Wiadomo już, co spowodowało taką gwałtowną reakcję? Kobieta pokręciła głową.

— Lekarz powiedział, że warto by się dowiedzieć, co wywołało wstrząs anafilaktyczny, żeby uniknąć go w przyszłości. Niestety, na razie jego zdaniem Ania jest zbyt wyczerpana, żeby mogła normalnie rozmawiać. Doktor zasugerował, że warto by porozmawiać z jej kolegami.

— Próbowałem — odparłem i zrelacjonowałem podejmowane w tym kierunku starania.

Daria Sułek uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— W takim razie trzeba będzie poczekać, aż moja córka poczuje się lepiej.

— Będzie pani miała coś przeciwko, jeśli zaczekam z panią? — zapytałem. — Ania wpadła w

tarapaty poniekąd z mojego powodu...

— Niech się pan nie obwinia — poprosiła Daria Sułek. — Dzieci są jak pojemniki z nitrogliceryną. Wystarczy delikatny ruch nie w tę stronę co trzeba i kłopoty gotowe. A jeśli chodzi o to, czy może pan zostać, to nie widzę problemu. Będzie mi nawet raźniej, jeśli ktoś ze mną tu posiedzi. Może wreszcie uda mi się zasnąć... — rzekła i jakby na potwierdzenie swoich słów ziewnęła, szeroko otwierając usta.

Z krzesła obok podniosła różowy polar i okryła się nim, niczym za krótką kołdrą. Po chwili dobiegł mnie z prawej strony dźwięk jej równego oddechu.

Przez trzy minuty kręciłem się na plastikowym krześle, szukając jak najwygodniejszej pozycji. Wreszcie obniżyłem tułów tak, że głowa prawie nie wystawała mi za oparcie, a ciało wspierało się na zgiętych w kolanach nogach i zatopiłem się w rozmyślaniach.

Co spowodowało gwałtowną reakcję alergiczną u Ani? Czy miało to jakiś związek z poszukiwaniami złotych maków Anny Klimpel? Dlaczego Zosia i Maciek milczeli jak zakłęci? Co robił teraz Robert Weiss? I czy Damian Sułek mu w tym pomagał, skoro nie było go w szpitalu przy ciężko chorej siostrzenicy?

Na żadne z pytań nie znalazłem odpowiedzi. Myślałem nad nimi intensywnie przez jakiś czas; mrok jednak zamiast się rozpraszać, gęstniał i krzepł niczym czarna smoła świeżo położona na płaskiej powierzchni dachu, a w końcu zagarnęła wszystko i wepchnęła mnie w objęcia nocnych majaczeń.

Leżałem na podłodze, patrząc prosto w twarz Darii Sułek. Podłużna lampa na suficie była zgaszona. Zamiast niej promienie porannego jasnego światła wpadające przez szereg okien w jednej ze ścian korytarza oświetlały pomalowane ciemnozieloną emulsją lamperie.

— Niech się pan obudzi, panie Pawle — powiedziała matka Ani. — Upadł pan na podłogę.

Obróciłem się gwałtownie na bok i zdałem sobie sprawę, że kobieta ma rację. Widziałem teraz miejsce, w którym podłoga z linoleum łączyła się z ciemnozieloną ścianą. Wstałem z ziemi i otrzepałem się z kurzu.

— Przepraszam, że pana obudziłam — rzekła kobieta — ale lekarz powiedział, że po śniadaniu będzie można porozmawiać z Anią i pomyślałam, że będzie pan miał chęć zobaczyć, jak się ona miewa.

— Bardzo dziękuję — rzekłem, czując, że język w moich ustach przypomina podeszwę schodzonego buta i sprawia, że głos mam cichy i chrapliwy. — Czy mamy jeszcze chwilkę?

— Jakies dziesięć minut — odparła Daria Sułek, z miną świadczącą że nie bardzo wie, do czego zmierzam.

Uśmiechnąłem się.

— A więc akurat tyle, żeby wypić małą czarną — rzekłem i ruszyłem w stronę automatu z napojami.

Dziewczynka była blada i wymizerowana. Jej organizm stoczył poprzedniej nocy walną bitwę; rekonwalescencja musiała potrwać dużo dłużej niż kilka godzin. Matka uśmiechała się do córki w wymuszony sposób, usiłując ukryć przed dzieckiem, jak bardzo przeraża ją widok widmowej twarzy latorośli. Co chwilę gładziła zapadnięte policzki wierzchem dłoni i przemawiała cicho.

— Najgorsze już za tobą — zapewniała Anię.

— Co mi się właściwie stało? — zapytała dziewczynka, łapiąc matkę za rękę i przyciągając ją

sobie do boku.

— Dostałaś bardzo silnego uczulenia — wyjaśniła Daria Sułek. — Pamiętasz, co jadłaś wczoraj wieczorem?

Dziewczynka oderwała wzrok od twarzy matki i zapatrzyła się w sufit.

— Mam w głowie czarną dziurę — odparła. — Nie pamiętam niczego, co zdarzyło się przez ostatnie dwa dni.

Zakląłem w duchu i poczułem, że uchodzi ze mnie całe napięcie, ale Daria Sułek nie ustępowała.

— Pomyśl jeszcze chwilę — zachęcała ją matka. — Wczoraj wieczorem poszłaś gdzieś z Zosią i Maćkiem, a potem prawdopodobnie coś zjadłaś...

— Naprawdę nie pamiętam, mam — jęknęła dziewczynka i spojrzała na matkę w taki sposób, że nie mogło być wątpliwości, iż mówi prawdę. — Ale może w moim pamiętniku... — zawahała się na moment, ale widząc nagłą zainteresowanie w naszych oczach, dodała: — No, dobra, w sumie nic takiego tam chyba nie ma... Zapisywałam w nim po prostu to, co się działo. Znajdziecie go w pudełku, które stoi na szafce nad biurkiem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Z PAMIĘTNIKA ANI • W KWIACIARNI • PIWNICA „MAKOWEJ PANIENKI” I... • ...ONA SAMA • PAPAVER CALIFORNICUM • CO PRZEOCZYŁEM? • SPRZYMIERZEŃCY • ZEBRANIE MIESZKAŃCÓW • NERWY NA POSTRONKACH • WYJAŚNIAM • WEJŚCIE ŚWIADKA • TO JA!

Miał różowe okładki, pachniał tanimi perfumami, a z boku znajdowała się kłódka z połączanego plastiku. Kluczyk do kłódki znaleźliśmy w plecaczku brązowego pluszowego niedźwiadka, stojącego pomiędzy paprotkami na parapecie.

Chwilę się wahałem, czy uchylić różowej okładki, ale wtedy Daria Sułek zrobiła w moją stronę krok, a na jej twarzy pojawiło się zdecydowanie, świadczące o tym, że chętnie mnie wyręczy w kłopotliwym obowiązku. Nie ociągałem się więcej. Otworzyłem pamiętnik, przewróciłem stronę tytułową z wykaligrafowanymi starannie imieniem i nazwiskiem właścicielki i zacząłem czytać, wyczuwając bardziej niż widząc, że kobieta stojąca za mną zagląda mi ciekawie przez ramię.

Trzy kwadransy później dotarłem prawie do końca relacji dziewczynki. Zostało już tylko kilka stron, zapisanych dużymi, równymi literami pilnej uczennicy. Odetchnąłem głębiej i przewróciłem kartkę.

I wtedy je zobaczyłam! Były na rysunku namalowanym pastelami. Zapytałam panią Sonię, kto narysował te kwiaty, na co ona odpowiedziała... Przerywam na sekundę, pamiętniczku. Słysząc jakiś hałas za oknem, a sam wiesz, jaka jestem ciekawska:-)

To był tylko samochód.

No więc wracam do opowieści. Pani Sonia powiedziała, że nie wie, kto namalował te kwiaty, że dostała rysunek w spadku po swojej babce razem z pudłem innych staroci, których użyła do dekoracji kwiaciarni. Po chwili namysłu stwierdziła, że raz w życiu widziała podobne kwiaty na żywo, choć teraz nie pamięta już gdzie, ale jeśli przez chwilę będziemy cicho i pozwolimy jej spokojnie pomyśleć, to spróbuje sobie przypomnieć. Skinęliśmy głowami i zaczęliśmy rozglądać się po jej kwiaciarni, a ona poszła do kasy, mruczając pod nosem: „Skleroza w tym wieku, to naprawdę do niczego niepodobne!”.

Mama Maćka ma najpiękniejszą kwiaciarnię w całym Konstancinie!

Jest tam mnóstwo tulipanów we wszystkich kolorach, wielkie czerwone róże i drewniane skrzynki wypełnione małymi niebieskimi kwiatkami. Małe drzewka magnolii ustawione pod ścianą zasłaniają ją niemal w całości, ale zobaczyliśmy, że za kwiatami widać ogłoszenia ze starych gazet oprawione w ramki. Trzy ogłoszenia były kolorowe, a na jednym z nich zobaczyłam znowu ZŁOTE MAKI! Pod nimi były polskie słowa, ale takie, jakich nigdy nie słyszałam i zrozumiałam z nich tylko dwa wyrazy NADZWYCZAJNA i CUDOWNNA. Reszta mogłaby być napisana po chińsku! Chciałam zapisać nieznanne wyrazy, żeby sprawdzić w słowniku, co znaczą, ale wtedy zawołała nas pani Sonia i z uśmiechem oświadczyła nam, że widziała te kwiaty na kapeluszu pewnej pani. Zapytaliśmy ją, czy zna tę panią, a ona uśmiechnęła się jak nauczycielka, która ma zamiar puścić nas do domu, ale chce jeszcze chwilę potrzymać nas w niepewności i skinęła głową na tak. Musieliśmy pomóc jej w przycinaniu kwiatów, zanim wyjawiała nam nazwisko tej pani.

Na razie go tu nie napiszę, bo jeszcze nie wiem, co wykaże nasze śledztwo. Nie chciałabym oskarżać niewinnej osoby... Dlatego będę o niej od teraz pisać MAKOWA PANIENKA.

Cały dzień śledziliśmy Makową Panienkę, a kiedy poszła do kościoła, zostawiliśmy Maćka na czatach, a my z Zośką spróbowałyśmy otworzyć zamek w jej drzwiach. Wtedy jednak zjawiała się moja wychowawczyni, zrobiła nam awanturę i zagroziła, że powie o wszystkim rodzicom, jeśli to się powtórzy. Zabrała nam wytrychy i poszła sobie, a Zośka powiedziała, że to nic nie szkodzi, bo ma w domu drugi komplet.

Potem już tylko czatowaliśmy na Makową P, ale kiedy wróciła z kościoła, to przez cały wieczór siedziała u siebie i nigdzie już nie wychodziła. Potem mamy zawołały mnie i Maćka do domu, ale Zośka, której mama za bardzo nie pilnuje i pozwala jej na wszystko, powiedziała, że będzie stała na warcie tak długo jak się da. Umieram z ciekawości, czy coś się wydarzy... Dobranoc, pamiętniku.

— Ona poszła O PÓŁNOCY do piwnicy! — powiedziała dzisiaj Zośka dumna jak paw.

— Może jest duchem? — zapytał Maciek. — Albo spotyka się z duchami?

Próbował grać chojraka, ale minę miał nietęgą. Zawsze gada, że nie boi się duchów, wampirów ani zombies, bo uodpornił się na strach, oglądając horrory, ale chyba kłamie. Dzieciuch z niego! To żaden wstyd się bać... Poszliśmy zaraz do piwnicy, żeby zobaczyć boks Makowej Panienci. Zabraliśmy ze sobą tylko latarkę, żeby w razie czego móc się ukryć w ciemnościach, gdyby ktoś nas nakrył. Boks M.P. miał normalne drzwi, jak do domu, a nie takie zbite ze sztachet, jak w innych boksach. I zamek zamiast kłódki. Postaliśmy przy nim przez pięć minut, ale nic się nie działo, więc postanowiliśmy wracać.

I WTEDY WYSIADŁY BATERIE W LATARCE!

Maciek od razu złapał mnie za rękę. Czulałam, że trzęsie się ze strachu. Ale to nie był koniec, bo w tym samym momencie w szparze pod drzwiami boksu Makowej Panienci rozbłysło światło. Poczulałam, że nogi mam jak z waty, a Maciek wrzasnął jak dziki i popędził do wyjścia. Po drodze musiał uderzyć o coś głową, bo wrzasnął jeszcze głośniejsze. Na szczęście znalazł drogę do wyjścia. Po chwili zatupał na schodach, a potem trzasnęły drzwi na korytarz.

Zośka zachowała zimną krew. Podeszła do drzwi, kucnęła, a potem położyła ręce na podłodze i przyłożyła głowę do podłogi, żeby zobaczyć, co widać przez szparę.

— Ciekawe... — mruknęła.

Czulałam, że nogi ledwie chcą mnie słuchać, ale żeby nie wyjść na tchórza, poszurałam w stronę drzwi i, zbliżając głowę do głowy Zośki, zajrzałam pod szparę.

Widać było tylko podłogę w jasnym świetle i fragmenty drewnianych skrzynek. Nic więcej. Zośka wyjęła z kieszeni komórkę i poświeciła na zamek w drzwiach.

— Pestka — prychnęła i już miała wyciągnąć wytrych, ale wtedy usłyszałyśmy, że ktoś otwiera drzwi do piwnicy, a zaraz potem zapaliło się światło. To był mój wujek. Zdziwił się trochę, jak nas zobaczył w piwnicy, ale Zośka nakłamała mu, że bawiłyśmy się w chowanego i wyszłyśmy na podwórko, gdzie czekał na nas Maciek.

Od razu postanowiłyśmy, że wrócimy do piwnicy wieczorem, ale Maciek powiedział, że on nie idzie. Zośka stwierdziła, że „nie potrzebuje pomocy tchórza”, na co Maciek najpierw się obraził, ale potem powiedział, że nie idzie do piwnicy, bo „przecież ktoś musi stać na straży”. Zośka śmiała się pod nosem, ale udała, że mu uwierzyła i na tym się skończyło.

Już nie mogę doczekać się wieczora!

Dalej były czyste kartki.

— I to wszystko? — jęknęła Daria Sułek i zrobiła taką minę, jakby ktoś podarował jej ciastko, ale w ostatniej chwili, kiedy miała już wbić zęby w apetycznie wyglądającą polewę z czekolady, sprzątnął jej talerz przed nosa.

Mnie jednak było aż nadto. Czuję się jak żeglarz, któremu wciśnięto w rękę grubą okrętową linę; koniec tej liny opleciono na knadze za pomocą sprytnego węzła.

Wystarczy tylko delikatne pociągnięcie, by węzeł puścił, pozwalając skomplikowanym splotom prześlizgnąć się po wypolerowanym metalu knagi i zamienić na powrót w kawałek prostego, mocnego sznura.

— To tutaj — stwierdziłem, kładąc rękę na zwykłych drzwiach z litego drewna. U dołu miały rzeczywiście szparę, ale nie widać było w niej teraz światła, o którym napisała w pamiętniku Ania.

Przywarłem do ziemi i zajrzałem do środka przez szczelinę, ale lampa zawieszona u sufitu dawała za mało światła, by można było dostrzec coś poza pasem zakurzonej podłogi zaraz za drzwiami. Poczulem za to znajomy, chociaż dość słaby zapach. Gorzkawy i rześki zarazem. Bił ze szczeliny.

Wstałem na równe nogi i przyjrzałem się zamkowi.

— Chyba nie chce się pan włamać? — zapytała z lękiem Daria Sułek.

— A widzi pani lepsze wyjście?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego nacisnęła na klamkę i, ku memu zdziwieniu, drzwi ustąpiły.

Rześki zapach stał się mocniejszy. Zrobiłem krok za próg i przez chwilę szukałem na ścianie przełącznika. W końcu dotknąłem gumowej osłonki i uruchomiłem gołą, wiszącą u sufitu, żarówkę.

Nawet jeśli poprzedniej nocy w pomieszczeniu znajdowały się jakieś skrzynki, to ktoś je pracowicie stamtąd usunął. Podłogę wymieciono bardzo dokładnie. Patrzyliśmy na szare, maźnięte byle jak wapnem chropawe ściany bez tynków.

— No to koniec — westchnęła z rozpaczą Daria Sułek i opuściła ramiona.

Nie miałem zamiaru poddawać się tak łatwo jak ona. Posuwając się powoli wzdłuż ścian, opukałem ich powierzchnię od podłogi do sufitu, licząc, że zamiast głuchego, stłumionego dźwięku usłyszę, jak zadudni pod knykциями pusta przestrzeń. Na próżno. Ściany piwnicy nie kryły w sobie żadnej tajemnicy.

— I co teraz zrobimy? — zapytała moja towarzyszka. — Może matka Maćka powiedziałaaby nam, u kogo widziała te kwiaty?

— To nie będzie konieczne — odparłem pewnie, a kobieta spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Wie pan, kim jest „Makowa Panienska”? — zapytała po chwili.

— Powiedzmy, że się domyślam i mam sposób, by się upewnić.

— No to niech pan powie, na Boga! — zażądała matka Ani.

— Nie mam zamiaru — odrzekłem, obserwując jednocześnie, jak twarz Darii Sułek wykrzywia złość. — Nie sądzę, żeby ta osoba zrobiła coś zakazanego albo złego. Wypadek pani córki był wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Skoro wysprzątała piwnicę, znaczy to, że zależało jej na dyskrecji i nie widzę powodu, by ją dekonspirować.

— Ale... — kobieta przez chwilę szukała argumentów i w końcu wytoczyła najcięższe działo: — ...ta cała „Makowa Panienska” mogła mieć coś wspólnego z pożarem!

— To nie ona — odparłem pewnie, przypominając sobie jednocześnie nocną wizytę Damiana Sułka w posiadłości Roberta Weissa. — Proszę teraz iść do domu i poczekać na mnie. Postaram się dowiedzieć, co spowodowało u pani córki szok anafilaktyczny.

Daria Sułek rzuciła mi jeszcze jedno spojrzenie, w którym prośba mieszała się z żądaniem, ale ponieważ zbyłem ją milczeniem, mruknęła tylko pod nosem „Co oni sobie wyobrażają!” i wyszła z piwnicy. Odprowadziłem ją do szczytu schodów, a potem zamknąłem drzwi do piwnicy od środka i wróciłem do drzwi boks „Makowej Panienci”.

Zamknąłem drzwi i spojrzałem w górę, na miejsce, gdzie zazwyczaj maluje się numer mieszkania, do którego właściciele należy piwnica. Numer wydrapano, a jasny kolor szram świadczył, że zrobiono to niedawno. Na szczęście „Makowa Panienska” nie miała głowy do tego, by zacierać za sobą ślady dokładnie. Pozostawiła numery na drzwiach pozostałych boksów i po pięciu minutach wiedziałem już, jaki numer znajduje na drzwiach jej mieszkania.

Nie od razu jednak wyszedłem z piwnicy. Poświęciłem jeszcze pół godziny, by dokładnie przeszukać podziemia willi „Anna”. To, co spodziewałem się znaleźć, utkwilo w ciemnym kącie naprzeciw boks. Podniosłem z ziemi kawałek materii, przypominający w dotyku cienki jedwab i z zadowoleniem stwierdziłem, że nie stracił on jeszcze swojego pierwotnego koloru. Zawinąłem znalezisko w jednorazową chusteczkę i, zgasiwszy światło, wyszedłem z piwnicy.

Najpierw udałem się do kwaciarni matki Maćka. Zapach róż zamknięty w czterech ścianach niczym w zakręconym słoiku sprawiał, że oddychało się tu z trudem. Właścicielki akurat nie było. Zastępowała ją młoda dziewczyna w białej bluzeczce i spódnicy z dżinsu. „Pewnie pani Sonia wzięła sobie wolne, żeby zająć się Maćkiem” — pomyślałem. „Tym lepiej dla mnie” — dodałem w myślach.

Młoda ekspedientka zapytała, czego sobie życzę, a ponieważ oświadczyłem, że chcę się rozejrzeć, nie pytała o nic więcej, przysiadła na wysokim stołku obok lady i zagłębiła się w lekturze jakiegoś czasopisma pełnego kolorowych zdjęć.

Udając, że nie mogę zdecydować się, które kwiaty wybrać, krążyłem po sklepiku, czasem tylko dotykając delikatnie rozkwitłych kielichów róż lub zbliżając nos do podniesionych w górę główek irysów. W końcu, mając ciągle w pamięci zapisane w pamiętniku Ani słowa, podszedłem do stojących pod ścianą drzewek magnolii i zajrzałem za wonną zasłonę.

Ogłoszenia wycięte z gazet i oprawione w ramki ciągle tam wisiały.

Znalazłem to, o którym wspomniała Ania. W przeciwieństwie do niej, rozumiałem doskonale cały tekst. Co więcej, poczułem miły dreszcz, jaki zawsze towarzyszy u mnie momentowi, gdy rozrzucone bezładnie i z pozoru niemożliwe do połączenia części detektywistycznej układanki zaczynają trafiać na właściwe miejsce. Wróciłem do dziewczyny, kupiłem u niej jedną różę i wyszedłem z kwaciarni. Podarowałem ją pierwszej napotkanej w drodze powrotnej kobiecie, która najpierw spojrzała na mnie jak na wariata, ale uznawszy, że nawet jeśli brak mi piątej klepki, to i tak jestem niegroźny, przyjęła różę z nieco zaskoczonym uśmiechem.

Schody stukały pod podeszwami, gdy wspinałem się na drugie piętro willi. W końcu stanąłem przed drzwiami mieszkania „Makowej Panienci” i zastukałem.

Kobieta, która mi otworzyła, spojrzała na mnie niechętnym wzrokiem, czekając, aż wyjawię, z czym przyszedłem.

Milczałem. Zamiast mówić, otworzyłem pięść, w której ścisnąłem chusteczkę. Na kwadraciku białego papieru leżał płatek maku w kolorze poczerzniętego złota.

Pułkownikowa skrzywiła się, ale otworzyła szerzej drzwi, bym mógł wejść do przesyconego zapachem maków przedpokoju.

Skrzynki z makami w złoto-pomarańczowym kolorze zajmowały niemal całą podłogę w przedpokoju, stały pod ścianami salonu, widać je było nawet na szafkach w kuchni przez uchylone drzwi salonu.

Kobieta wskazała mi krzesło, na którym siedziałem podczas poprzedniej wizyty, sama zajęła miejsce naprzeciw. Przez kilka sekund patrzyła na mnie uważnie, a potem zapytała:

— Jak ona się czuje?

— Już lepiej. Lekarz twierdzi, że wszystko będzie w porządku. Martwi go tylko jedna rzecz...

— To znaczy?

— Dobrze byłoby wiedzieć, co spowodowało u dziewczynki tak gwałtowną reakcję alergiczną żeby móc jej uniknąć w przyszłości.

— *Papaver californicum* — rzekła tajemniczo pułkownikowa, a widząc zdziwienie na mojej twarzy, dodała szybko — tak brzmi łacińska nazwa kwiatów, które są w skrzynkach. Ania nie powinna się martwić. Tę roślinę raczej trudno spotkać w Polsce. Jest endemitem i występuje tylko w rejonie zatoki San Francisco.

— I w piwnicach willi „Anna” — rzekłem z ironią.

Kobieta uśmiechnęła się półgębkiem, ale nic nie powiedziała.

— Dlaczego utrzymuje pani swoją hodowlę w tajemnicy? — zapytałem.

— Chyba utrzymywałam — zauważyła cierpko.

— Na razie nikt poza mną nie wie, do kogo należała piwnica, w której rosły złote maki.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem, ale po chwili chyba mi uwierzyła.

— Są dwa powody. Pierwszy, chociaż wcale nie najważniejszy jest taki, że w Polsce na uprawę maku trzeba mieć pozwolenie, drugi wiąże się z odkryciem dokonany przez pewną kobietę przeszło sto lat temu.

— Ma pani na myśli Annę Klimpel — stwierdziłem bardziej niż spytałem.

Pokręciła głową z uśmiechem.

— Nie — rzekła — ale był pan blisko. Odkrywczynią cudownych właściwości złotych maków była jej przyjaciółka, Krystyna z Ulrichów Machlejdowa. To ona przeczytała u Owidiusza wzmiankę o kobietach moczających płatki maku w zimnej wodzie, a następnie wcierających je sobie w policzki i rozpoczęła szeroko zakrojone eksperymenty z różnymi odmianami tego kwiatu. Sprawę miała o tyle ułatwioną że pochodziła z rodziny znamienitych ogrodników warszawskich, Ulrichów. Dzięki rodzinnym koneksjom uzyskała dostęp do licznych odmian maku. Anna z kolei była pośredniczką w kontaktach Krystyny ze swoim szwagrem, znakomitym warszawskim aptekarzem, Leopoldem Klimplem, który służył swą wiedzą chemika i farmaceuty. Jeśli wierzyć pamiętnikowi Anny Klimpel, eksperymenty te zakończyły się sukcesem około roku 1903, kiedy to Krystyna oświadczyła swej przyjaciółce, że największą gładkość skóry dają płatki *papaver californicum*, maku o złoto-ognistych płatkach, rosnącego tylko w rejonie kalifornijskiej zatoki San Francisco.

— Zaraz, zaraz — przerwałem jej. — O jakim pamiętniku pani mówi? Dwa dni temu twierdziła pani, że ukradli go w czasie wojny Niemcy.

— Bardzo mi przykro, że pana okłamałam — na twarzy staruszki pojawił się szczerzy grymas żalu. — Pamiętnik ocalał i leży u mnie w komodzie — skinęła głową w kierunku mebla. — Ale nie mogę go panu pokazać, bo podobnie jak moją matkę obowiązuje mnie przysięga, że dochowam tajemnicy.

— Przecież przed chwilą mi ją pani wyjawiała! — zachnąłem się.

— Nie do końca — rzekła staruszka, wstała i wyszła na chwilę do drugiego pokoju. Wróciła

po chwili, niosąc granatowe pudełko ze złotą zakrętką i kameą na obłym boku. Usiadła przy stole i przesunęła pudzderko po blacie w moją stronę ze słowami:

— Trzymam ją w pudełku po „Pani Walewskiej” dla niepoznaki — wyjaśniła. — Śmiało, nich pan otworzy. To nie trucizna — zachęcała.

„Sądząc po tym, co spotkało Anię, można mieć wątpliwości” — pomyślałem, nie mogąc powstrzymać się od ironicznego komentarza, ale bez słowa przysunąłem do siebie pudełeczko i przekręciłem złotą pokrywkę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Pudzderko do połowy wypełniała substancja podobna do wazeliny, w której widać było kawałki pomarańczowo-żółtych płatków. Wyciągnąłem palec, żeby zanurzyć go w mazi, ale zdałem sobie sprawę, że zachowuję się nietaktownie i spojrzałem przepaszająco na pułkownikową. Kobieta machnęła tylko ręką i zachęciła mnie gestem, żebym zaczerpnął maści. Nabrałem jej odrobinę na palec wskazujący i roztarłem za pomocą kciuka. Była miła w dotyku i delikatnie rozgrzewała. Zbliżyłem palec do nosa. Mocny zapach kwiatów mieszał się w niej z ledwie wyczuwalną nutą kamfory. Wytarłem rękę w podaną mi przez pułkownikową jednorazową chusteczkę, zamknąłem pudzderko i przesunąłem je w stronę kobiety, która wyczekiwała na moją reakcję.

— Dziwię się, że sąsiedzi niczego nie zauważyli — rzekłem z przekąsem. — Przy produkcji tego kremu musi rozchodzić się po domu niesamowity zapach.

Starsza pani zaczerwieniła się jak pensjonarka, ale po chwili powiedziała:

— Mam takiego znajomego aptekarza w Warszawie. Starszy pan, w moim wieku — zawahała się na moment, ale ja dopowiedziałem sobie resztę — Jest bardzo dyskretny. Dlatego aż do teraz nic się nie wydało...

— I może tak być dalej — rzekłem, nie chcąc dłużej jej zwodzić; na twarzy pułkownikowej pojawiła się nadzieja. — Musi pani jednak spełnić moją jeszcze jedną prośbę...

Doniczka była ciężka jak młyński kamień. Oczy doktora ukryte za grubymi szklami rozszerzyły się w zdziwieniu, kiedy postawiłem ją na biurku w jego gabinecie.

— To bardzo miłe z pana strony — bąknął takim głosem, jakby wcale nie czuł wdzięczności i spojrzał w górę na kiwające się na szczytach łądyżek złoto-czerwone kwiaty — ale nie wolno nam przyjmować żadnych prezentów.

— To nie prezent — oświadczyłem zdecydowanym tonem — ale roślina, która spowodowała uczulenie u Ani Sułek.

— Ale dziwne — rzekł zbity z tropu doktor, wstając i zbliżając nos do złotych płatków. — Nigdy takich nie widziałem.

— Nikt w Konstancinie nie widział ich przynajmniej od stu lat. Najwięcej rośnie ich w zatoce San Francisco.

— Skąd więc...

— Powiedzmy, że wyszarpnąłem je z żarłocznej paszczy czasu — odparłem enigmatycznie i, obróciwszy się na pięcie, zostawiłem doktora sam na sam z jego zdziwieniem i poszedłem zobaczyć, co słycać u Ani.

Musiałem się wyspać. Mój mózg musiał odpocząć. A potem zacząć znów działać na najwyższych obrotach. Wiedziałem bowiem doskonale, że chociaż udało mi się rozwiązać zagadkę złotych maków, to ciągle pozostawała do odkrycia tajemnica dużo, jak to teraz widziałem, ważniejsza i zupełnie niezwiązana z zagadką „złotych maków” — kto i dlaczego postanowił spalić

„Annę”.

Mniej więcej od czasu, gdy wyszedłem od pułkownikowej dręczyło mnie niejasne przeczucie, że jestem blisko przełomu w śledztwie i już podano mi jak na tacy rozwiązanie problemu, ale je przegapiłem.

Napiłem się ciepłego mleka, które ma podobno działanie uspokajające, zaciągnąłem zasłony i położyłem się do łóżka, ale sen nie chciał przyjść. Przynajmniej pół godziny obracałem się w łóżku, jakbym był kurczakiem nabitym na rożen, potem wstałem i poszedłem do kuchni. Wlałem resztkę mleka z ciepłego jeszcze rondelka do czystej szklanki i usiadłem przy stoliku. Z ręką na szklance, oddającej ciepło mleka, przy zaciągniętych zasłonach wpatrywałem się w smugę światła złotego jak maki pułkownikowej, które wpadało przez szparę między zasłonę i framugą okna.

Nawet nie zauważyłem, kiedy moje powieki stały się ciężkie jak dwa płatki ołowiu.

Stukot okiennej ramy o framugę był cichy, ale w połączeniu z chłodem, który przesączał się przez parapet niczym woda z przepelnionej wanny i płynął dalej po podłodze aż do palców moich stóp, wystarczył, żebym się obudził. Ciało, już odprężone, ale jeszcze nie wypoczęte, jak to zwykle bywa, gdy wyrwie się człowieka ze snu w środku nocy, domagało się kolejnej porcji odpoczynku. Ziewnąłem szeroko otwierając usta, podniosłem się z taboretu i poczłapałem do sypialni. Rzuciłem się na łóżko trochę zbyt gwałtownie i stare deski jęknęły żałośnie, ale wytrzymały. Wyciągnąłem się na materacu, prostując nogi i, czując jak ogarnia mnie przyjemne odprężenie, zakryłem się kołdrą aż po brodę.

Niemal natychmiast zjawiły się strzępki snów — fioletowe maki na tle księżycy, otoczone przez muszki, szpitalny korytarz tak długi, że przypominał tunel przebiegający pod jakąś wielką górą wreszcie kartki pamiętników przewracane przez wiatr na podłodze pustej piwnicy. I właśnie wtedy, na krawędzi snu i jawy, udało mi się schwytać myśl, która niczym natrętna mucha krążyła wokół mojej głowy, przysiadając na moim czole na chwilę, by, gdy tylko zbliżyłem do niej otwartą niczym packa dłoń, podjąć swój drażniący lot, pozostawiając mnie w idiotycznej pozie. Ale teraz udało mi się ją wreszcie złapać.

I już wiedziałem, co muszę zrobić, by uczynić to samo z człowiekiem odpowiedzialnym za pożar w willi „Anna”.

Obróciłem się na bok i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, zasnąłem jak dziecko.

— Co pan robi? — usłyszałem za sobą głos Zosi. Odwróciłem się. Stała za mną w towarzystwie Maćka, trzymając w ramionach „Ogryzka” i żując gumę z szelmowską miną.

— Naklejam ogłoszenie — odparłem zgodnie z prawdą jedną ręką przytrzymując róg świeżo zadrukowanej kartki, a drugą sięgając do ust po czwarty kawałek taśmy klejącej. Szybko przytwierdziłem ostatni róg do szyby w drzwiach wejściowych i zrobiłem dwa kroki do tyłu, by przyjrzeć się swemu dziełu z dystansu. Wydruk z komputera nie robił wielkiego wrażenia. Nie opatrzyłem tekstu żadnym rysunkiem. Ale nie forma była tu ważna, a treść:

ZEBRANIE LOKATORÓW

w sprawie podpalenia willi „Anna” odbędzie się dziś o godzinie 20:30 w sali Klubu Seniora. Podczas zebrania zostaną podane nowe fakty dotyczące przestępstwa.

ORGANIZATOR

Pod wyrazem „organizator” przybiłem ministerialną pieczętkę, rozmazawszy ją tak, że nie dało się z niej nic odczytać, po czym podpisałem się zamasyście i niewyraźnie.

W czasie gdy przyglądałem się ogłoszeniu, Zosia odczytywała jego treść poruszając ustami. Potem obróciła się w moją stronę i zapytała:

— Już pan wie, kto to jest?

— Może... — odparłem, robiąc tajemniczą minę i udając, że chcę odejść.

— Pan Paweł na pewno wie, tylko nie chce go wypłoszyć z kryjówki — wtrącił się do rozmowy Maciek. Nieznacznym ruchem głowy potwierdziłem przypuszczenie Maćka i ruszyłem do drzwi.

Zosia zmierzyła swego towarzysza spojrzeniem, pod którym zamilkłby nie tylko kilkulatek.

— Jak pan jest taki mądry, to niech pan powie — rzekła zaczepnie dziewczynka, gdy stanąłem w progu.

— Nie mogę — odparłem, odwracając się. — A Maciek ma trochę racji. Chcę wywabić podpalacza z kryjówki, a potem zmusić, żeby się przyznał. I będę potrzebował waszej pomocy.

Dziewczynka nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Przygryzła wargę i to podnosząc, to opuszczając główkę, myślała przez kilka chwil, zanim Maciek nie trącił jej w ramię.

— Co mamy zrobić? — odparła Zosia, otrząsając się z odrętwienia.

Powiedziałem im. Byli trochę rozczarowani, że trzeba będzie czekać aż do wieczora, ale kiedy wyjaśniłem, że musimy mieć na wszystko świadków, niechętnie przyznali mi rację. Resztę dnia zajęło mi przygotowywanie klubu seniora na wieczór. Przesuwając stoliki i przynosząc z lamusa stare rozklekotane krzesła rozmyślałem, czy nie wtajemniczyć w sprawę aspiranta Grzymały, ale potem przypomniałem sobie nasze ostatnie spotkanie i przeszła mi na to ochota.

Ludzie zaczęli się schodzić po „dzienniku”.

Patrzyłem w milczeniu, jak siadają na krzesłach ustawionych w rzędzie przed okrągłym stolikiem, za którym się usadowiłem — pani Zakrzewska z niechętną i jednocześnie zaciekawioną miną, mocno osłabiony Grzegorz Kruk, wypuszczony dopiero dzisiaj ze szpitala, który usiadł i od razu wbił wzrok w okno, Renata Pestka, z nieśmiałym uśmiechem i w ślicznej, prostej sukience, sięgającej kolan, Teresa Dąbek, matka Zosi, nerwowo rozglądająca się wokoło, jakby szukała córki i co chwilę sprawdzająca komórkę, Rafał i Sonia Karpińscy, również bez swego synka, Maćka, i pułkownikowa w kapeluszu przystrojonym czerwonymi makami. Jako ostatni wpadli Damian Sułek i, minutę po nim gwiazdor, Robert Weiss, patrzący na mnie z byka, z nieprzyjemnym, wyzywającym uśmiechem. Ze stałych mieszkańców „Anny” brakowało tylko Ani Sułek i jej matki, ale one musiały zostać w szpitalu. I chociaż w klubie seniora zgromadziło się całkiem sporo osób, panowała cisza. Ludzi siedzieli w milczeniu i wpatrywali się w sufit i ściany, jakby bali się, że jakakolwiek próba kontaktu z sąsiadem może zostać uznana za coś podejrzanego.

Odczekałem minutę, chociaż nie spodziewałem się już nikogo, a potem wstałem i odchrząknąłem. Twarze odwróciły się w moją stronę i pojawiło się na nich skupienie. W oczach pułkownikowej i pani Zakrzewskiej zapaliły się ogniki zainteresowania, jakie nie raz już widziałem w oczach ludzi, którzy, zazwyczaj wiodąc spokojną egzystencję, znajdowali się nagle w samym środku sensacyjnych wydarzeń.

— Dziękuję państwu za przybycie — rzekłem w końcu. — I żeby nie przedłużać, od razu przechodzę do sedna sprawy — zapadła cisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech. — W wyniku przeprowadzonego przeze mnie śledztwa mogę stwierdzić z całą pewnością że człowiek, który

podpalił „Annę” znajduje się wśród nas.

— Jak pan śmie?! — zerwał się z krzesła Damian Sułek.

— Uderz w stół... — zauważyła cicho pani Zakrzewska, zaraz milknąc pod ostrym spojrzeniem Sułka, a ja po raz kolejny pomyślałem, że w twierdzeniach o nieomyślności kobiecej intuicji jest sporo prawdy.

— Nie sądzi pan chyba, że ktoś z nas — mówił dalej niezrażony Sułek, jednocześnie odwracając się w lewo i w prawo, jakby szukał potwierdzenia u sąsiadów, że się z nim zgadzają; kilka osób pokiwało głową z aprobatą a pani Zakrzewska i Grzegorz Kruk spojrzeli na mnie pytająco i z naganą — byłby do tego zdolny?

— Ten pan to podglądacz i intrygant — przyszedł mu w sukurs Robert Weiss, wstając i celując we mnie palcem. — Teraz w dodatku zabawia się oskarżaniem niewinnych ludzi bez dowodów.

— Proszę się uspokoić — wyciągnąłem przed siebie ręce w pojednawczym geście. — Jeśli dobrze pamiętam, to nie wymieniłem żadnego nazwiska. A może się mylę? — powiedziałem spokojnym tonem, ale Damian Sułek wyglądał tak, jakbym go spoliczkował z całej siły. Czerwony na twarzy usiadł na swoim miejscu i wbił oczy w podłogę.

Robert Weiss nie był taki potulny. Rzucił mi spojrzenie, które miało mówić: „Doigrałeś się” i ruszył do wyjścia. W jego ręku załśnił srebrny telefon komórkowy. Weiss wybrał jakiś numer i uzyskał połączenie, zanim wyszedł.

— Inspektor Grzymała? Dzień dobry, panie władzo, Weiss z tej strony... — usłyszałem jeszcze, zanim zamknęły się za nim drzwi.

— Pozwolą państwo, że wrócę do wydarzeń sprzed kilku dni — zacząłem, starając się nie dać po sobie poznać, że zachowanie Weissa i to, że zadzwonił do nieprzychylnego mi policjanta nieco wytrąciło mnie z równowagi.

— Do nocy, kiedy wybuchł pożar? — zapytała pułkownikowa, a ja przytaknąłem, z zadowoleniem dostrzegając, że nie tylko ona słucha mnie z zainteresowaniem. Po rozprężeniu, które spowodował Damian Sułek nie było już śladu. Znowu panowałem nad publicznością.

— Jeszcze kilka dni temu nie wiedziałem dokładnie, co się wówczas stało, ale wczoraj wpadł mi w ręce dokument, który dopełnił obrazu. Nie mogę niestety, ze względu na ochronę prywatności, powiedzieć co to za dokument, ale mogę państwu w miarę dokładnie opisać, co się działo w czasie pożaru.

Przerwałem na sekundę i powiodłem wzrokiem po twarzach. Słuchali. Opisałem, jak udało mi się nakryć przestępców wylewających benzynę na werandę „Anny” i jak puściłem się za nimi w pościg.

— W czasie gdy biegłem do „Zbyszka”, w „Annie” działał wspólnik przestępców. Korzystając z mojej nieobecności i lekkomyślności, która spowodowała, że nie zamknąłem drzwi do mieszkania, wszedł tam i ruszył na werandę. Przypuszczam jednak, że nawet gdybym zamknął drzwi i tak, by się tam włamał. Skąd wspólnik wiedział, że wybiegłem z willi i domu nie udało się podpalić? Powód był prosty. Nie spał. Jego mocodawca, ten sam, który wysłał w nocy ludzi z benzyną wyznaczył mu podwójną rolę — miał czuwać i gdy tylko zacznie się pożar, zawiadomić krzykiem resztę mieszkańców willi, miał też dokończyć dzieła, gdyby, a tak właśnie się stało, podpalacze nie zdołali tego zrobić. Osoba, która rzuciła z mego okna niedopałek, obserwowała akcję podpalaczy, a kiedy zorientowała się w sytuacji, zaimprovizowała i, trzeba to przyznać, zrobiła to błyskotliwie. Wiedziała, że nie ma mnie w pokoju i stamtąd, niezauważona przez nikogo, rzuciła niedopałek.

— Wie pan, kim jest ta osoba? — zapytała Renata Pestka; na jej twarzy widać było odrazę i strach.

— Już do tego dochodzę — odparłem. — Osoba, która wtargnęła do mego pokoju, nie przewidziała jednego — mówiłem teraz szybko i twardo. — Nie przewidziała, że zjawi się świadek, który ją zobaczy i będzie mógł wskazać. Teraz! — wykrzyknąłem, a wszyscy zgromadzeni w pokoju odwrócili się jak na komendę w stronę drzwi.

Nie minęły trzy sekundy, a drzwi otworzyły się i stanął w nich... aspirant Grzymała. Za nim czaił się Weiss. Aspirant spojrzał na mnie wzrokiem opiekunki, która złapała niegrzeczne dziecko na podjadaniu nutelli i pokręcił głową. Już miał coś powiedzieć, ale wtedy zjawił się mój świadek.

Odetchnąłem z ulgą kiedy dojrzałem, że przez szparę między aspirantem a framugą drzwi wciska się najpierw Maciek, a potem Zosia z „Ogryzkiem” na rękach. Dziewczynka powiedziała coś kotu do ucha, a potem położyła zwierzaka na ziemi.

To właśnie „Ogryzek” był moim świadkiem.

Kot, jak o tym napisała w swoim pamiętniku Ania, wszedł do mojego pokoju, gdy był w nim podpalacz. Podpalacz potraktował go brutalnie, a „Ogryzek”, jak sam się o tym przekonałem, był zwierzęciem pamiętliwym. Liczyłem, że zaatakuje teraz swego prześladowcę. Nie miałem wątpliwości, że był nim Damian Sułek — odwiedzał w tajemnicy Weissa, który miał motyw, żeby doprowadzić „Annę” do ruiny. Wykrzykiwał nawet głośno, że Weiss mu nie zapłacił.

„Ogryzek” zawinął z gracją ogonem i ruszył. Stawiał powoli łapę za łapą idąc w kierunku odwróconych w jego stronę ludzkich twarzy.

Przez chwilę zrobiło mi się głupio, że wykorzystałem pamiętnik siostrzenicy Damiana Sułka, by go zdemaskować, ale potem pomyślałem o niebezpieczeństwie, na jakie naraził nie tylko swoją siostrzenicę, ale wszystkich mieszkańców „Anny” i już tylko wpatrywałem się w „Ogryzka”. Kot stał metr od rzędu krzesel i wpatrywał się spod przymkniętych powiek w twarz Damiana Sułka.

Potem odwrócił od niego głowę. Sierść na jego wygiętym w pałąk grzbiecie zjeżyła się. Zwierzak pokazał zęby, parsknął gniewnie i skoczył.

Wylądował na głowie... Renaty Pestki. Kobieta podskoczyła i spróbowała strącić kota z głowy, ale on uczepił się kurczowo jej włosów trzema łapami, a czwartą uzbrojoną w odsłonięte pazury drapał bez litości nauczycielkę.

Nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa i nie będąc w stanie się poruszyć, patrzyłem, jak kobieta zatacza się i obraca wokół własnej osi, usiłując pozbyć się, szczepionego z nią w szalonym tańcu, stworzenia.

— To ja podpaliłam „Annę”! — krzyknęła w końcu rozpaczliwym tonem Renata Pestka. — Przyznaję się! Wszystko powiem! Tylko zabierzcie ode mnie tego potwora!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

DLA KOGO PANI PRACUJE? • ANIELSKA CIERPLIWOŚĆ ASPIRANTA • ROZSĄDNA DZIEWCZYNA • NAZWISKO, KTÓREGO NIE ZNAM • ZNOWU KOMBINUJĘ, CZYLI WEHIKUŁ NA CENZUROWANYM • PRZECHODZIENIE • POŚCIG • PUŁAPKA • ZĘBY

— Dla kogo pani pracuje? — zapytał aspirant Grzymała po raz trzeci.

Klub Seniora opustoszał. Mieszkańcy „Anny” rozeszli się do swoich mieszkań i teraz czekali w nich na dalszy rozwój wydarzeń pod czujnym okiem podwładnych Grzymały, wezwanych natychmiast po tym, jak panna Renata przyznała się do winy.

Trzeba przyznać Grzymale, że miał do niej anielską cierpliwość. Siedzieliśmy bezowocnie już prawie pół godziny. Renata przy stoliku, jak przykładna uczennica, my naprzeciw jej, na krzesłach, lekko przechyleni do przodu, z kręgosłupami wygiętymi w pałąk. Gdyby ktoś wszedł teraz do klubu seniora pomyślałby pewnie, że jakichś dwóch zbirów dręczy psychicznie niewinną panienkę.

Panna Renata, po chwilowym przyпыwie cywilnej odwagi, najpierw wpadła w histerię i przez dziesięć minut krzyczała bardzo wysokim głosem, zatykając sobie uszy, a kiedy wreszcie się uspokoiła i wypila duszkiem szklankę wody, podaną usłuźnie przez aspiranta, opuściła głowę i cichutko pociągała nosem, co chwila sięgając ręką do spuszczonej jak u niewiniątka oczu.

Aspirant spojrział na nią i westchnął. Przejechał ręką po włosach i zapytał:

— Może chce pani jeszcze wody?

Renata pokręciła głową a potem zadrżała, jakby zbierało jej się na płacz, ale opanowała się w ostatniej chwili i zamiast zaszlochać, pociągnęła potężnie nosem. Sięgnęła po zmiętą chusteczkę, leżącą na stoliku obok niej.

Grzymała wstał z krzesła i zrobił kilka kroków w stronę okna. Odślonił firankę i chwilę patrzył na podwórko w dole. Potem, nie odwracając się, rzekł:

— Może pani oczywiście milczeć. Takie jest prawo podejrzanego... — na sekundę zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów; naprawdę czekał na jakąś reakcję ze strony kobiety. Nie doczekał się. — Ale proszę poważnie przemyśleć swoją sytuację... — znów przerwał.

Grzymała podszedł do krzesła i usiadł, patrząc na dziewczynę. Nie odwzajemniła jego spojrzenia. Skończyła wycierać nos i odłożyła chusteczkę na stolik.

— Od kary się pani nie wywinie — podjął wątek Grzymała — ale gdyby okazało się, że działała pani na czyjeś zlecenie i powiedziała, kto kazał pani podpalić dom...

Dziewczynie znów zbierało się na płacz. Zrobiło mi się jej szkoda, ale wiedziałem, że nie mogę przeszkadzać Grzymale.

— No, chcę powiedzieć, że lepiej by to wyglądało przed sądem — dodał aspirant tonem przyjaciela, który daje dobrą radę.

— Ja tylko... — odezwała się Renata Pestka zachrypłym od płaczu głosem, a my zastygliśmy jak kamienne lwy przed pałacem prezydenckim. — On obiecał mi kawalerkę w centrum... Czterdzieści metrów. Przy Chmielnej — wyrzuciła z siebie wreszcie i spojrziała na aspiranta w nadziei, że ją rozumie. — A teraz wszystko to na nic.

Pomyślałem, że lokum, w jakim zostanie na kilka najbliższych lat zakwaterowana Renata Pestka na pewno nie będzie miało takiego metrażu. Grzymała pokiwał głową robiąc nieokreśloną minę i zapytał:

— To co panią jeszcze powstrzymuje, żeby podać jego nazwisko?

Renata Pestka spojrziała na niego zdziwiona. Widziałem, ile trudu kosztuje Grzymałę

trzymanie na wodzy ciekawości. Gdyby nie szkolono go kiedyś w japońskich rytuałach parzenia herbaty, wymagających niewzruszonego spokoju, wrzasnąłby pewnie na Renatę Pestkę, domagając się natychmiastowych wyjaśnień. Zamiast tego uśmiechał się do niej, jakby dyskutowali o pogodzie.

— Chyba nic — odparła odruchowo dziewczyna.

— Więc może nam pani powiedzieć, kto to? — dopytywał się Grzymała w taki sposób, jakby chodziło o przepis na ciasto, a nie nazwisko niebezpiecznego przestępcy, namawiającego innych do podpaleń zabytkowych budynków.

— Tak. To był Waldemar Smutek...

Nie znałem tego nazwiska, ale aspirantowi Grzymale chyba coś mówiło, bo aż zagwizdał, kiedy je usłyszał.

— Prezes Budexu? — dopytał się dla pewności.

Dziewczyna skinęła głową.

Po chwili Renata Pestka w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy odjechała na komendę, a my z aspirantem, który zgodził się wspianałomyślnie, bym brał udział w zatrzymaniu nieuczciwego biznesmena, wsiedliśmy do radiowozu — kilkuletniego forda sierra. Spojrzawszy na prędkościomierz wskazujący 180 kilometrów na godzinę, zaproponowałem aspirantowi Grzymale, żebyśmy przesiedli się do wehikułu.

Policjant spojrzał, jakby rozpoznał we mnie uciekiniera z domu dla obłąkanych.

— Znowu pan zaczyna kombinować? — rzekł z pretensją w głosie. — Chyba nie sugeruje pan, że ta pańska poczwara — skinął głową w kierunku lusterka, w którym odbijał się owadzi wizerunek ministerialnego pojazdu — jest w stanie jechać szybciej niż pięćdziesiątką? Może uda się wszystko załatwić po dobroci, ale jeśli dojdzie do pościgu... — przerwał na sekundę i dodał: — Wie pan, że Smutek ma potężną terenówkę z napędem na cztery koła, która może rozpędzić się w kilka sekund do setki?

— Nie — odparłem szczerze — ale tym bardziej nalegam...

— Proszę robić, co uważa pan za słuszne, panie Pawle — rzekł aspirant lodowato, rozkładając ramiona. — Lepiej, żeby doczłapał pan kilku minut później na miejsce schwytania przestępcy, niż narzekał przez całą drogę.

Cóż mogłem rzec na takie dictum? Uniosłem się honorem i wysiadłem z policyjnej sierry. Po chwili, siedząc za kierownicą wehikułu, wyjeżdżałem sprzed „Anny” siedząc na ogonie pojazdu Grzymały. Jechaliśmy do BUDEXU.

Nie dała po sobie niczego poznać.

— Bardzo mi przykro — powiedziała, patrząc na nas z miną będącą udaną imitacją żalu na potrzeby natrętnych petentów — ale szef ma w tej chwili ważne spotkanie. Jak tylko skończy, zapytam, czy panów przyjmie.

— Obawiam się, że nie będzie miał wyjścia — odparł butnie Grzymała, ale grzecznie zajął miejsce na krzeselku pod ścianą. Dołączyłem do niego.

W sekretariacie panowała cisza, przerywana tylko stukaniem klawiszy klawiatury. Coś mi nie pasowało w tej sytuacji, ale nie miałem szansy uchwycić myśli, która pojawiła się w mojej głowie, bo odezwała się sekretarka:

— Bardzo przepraszam, że od razu nie zapytałam — rzekła, podnosząc się zza biurka i uśmiechając się przymilnie — ale już naprawiam swój błąd: czego się panowie napiją?

W jej ruchach było coś nienaturalnego, nawet jeśli brać pod uwagę normalną dla pracowników biurowych przesadną grzeczność.

— Skoro taka pani miła — aspirant Grzymała musiał czuć się jak kot siedzący przed otwartymi drzwiczkami klatki z tylko jednym wyjściem, w której środku ukrywał się kanarek, bo opuściła go zwyczajna czujność i służbowa powściągliwość — to napiję się herbaty. Najlepiej zielonej, ale jeśli to problem, może być czarna.

Mamy zieloną — zapewniła go sekretarka. — Dla pana to samo? — zwróciła się do mnie.

— Dziękuję — odparłem, zaprzeczając jednocześnie niecierpliwym gestem dłoni.

Dziewczyna, stukając głośno obcasami podeszła do stolika, na którym stały paczki z herbatą puszka z kawą cukiernica i dwa kartoniki z mleczkiem — normalnym i odtłuszczonym. Szybkim ruchem włączyła elektryczny czajnik, a z szafki nad stolikiem wyjęła filiżankę i spodek.

Po chwili woda zabulgotała w czajniku i gdybym nie był lekko rozdrażniony dziwną atmosferą panującą w biurze, pewnie nie zwróciłbym uwagi na czubek łysej głowy, który defilował właśnie za oknem. Oknem, które jak to wiedziałem z poprzedniej wizyty w biurze BUDEXU, wychodziło na zarośnięty chaszczami, ogrodzony wysokim płotem, stary ogród. Powoli podniosłem się z krzeselka naprzeciw okna i ruszyłem w stronę szyby.

Zauważywszy moje zachowanie sekretarka zrobiła krok w moją stronę i z wykrzywioną przerażeniem twarzą wyrzuciła z siebie:

— Może jednak się pan napije. To nie musi być herbata...

„Chyba kiedyś pracowała w akwizycji” — pomyślałem, rzucając okiem na jej minę i puszczając mimo uszu długą listę napojów, którymi chciała mnie uraczyć. Dwoma krokami dotarłem do okna.

Instykt mnie nie zawiódł.

Waldemar Smutek, ubrany w elegancki garnitur przesadzał właśnie płot. Niestety, poła marynarki zaczepiła mu się o ostre zwieńczenie sztachety i drogocenny materiał rozdarł się z trzaskiem pod wpływem ciężaru lecącego w dół ciała dewelopera.

Woda w czajniku osiągnęła temperaturę wrzenia. Termostat wyrzucił przycisk startu w górę. Za płotem rozległ się ryk kilkunastu cylindrów pod maską terenówki.

— Dobrze, że pana ze sobą zabrałem — usłyszałem dochodzący z bliska głos policjanta. Grzymała musiał stać tuż obok już od kilku chwil i widział ucieczkę nieuczciwego przedsiębiorcy. — Idziemy, panie Pawle!

— A co będzie z herbatą? — zapytała sekretarka, udając że nic się nie stało.

— Poczęstuję panią filiżanką na komisariacie — odparł mściwym tonem Grzymała. — Podczas przesłuchania — dodał, żeby nie było wątpliwości. Po czym przykuł biedną dziewczynę do kaloryfera i wybiegł za mną na ulicę.

Terenówka odjechała już sprzed biura. Inspektor zaklął pod nosem i ruszył do swego wozu. Zanim wsiadł, rzucił mi jeszcze pytające spojrzenie. Zaprzeczyłem zdecydowanie. Pokręcił głową z niedowierzaniem, otworzył drzwi i wskoczył do środka wozu. Po chwili z rury wydechowej buchnął obłoczek spalin.

Oglądałem to już zza przedniej szyby wehikułu, który, na razie ciągle jeszcze w normalnym, „miejskim” trybie, był znacznie wolniejszy od obu pozostałych maszyn biorących udział w pościgu. Terenówka Smutka i radiowóz Grzymały błyskawicznie zniknęły za zakrętem, ale ponieważ biuro nieuczciwego dewelopera znajdowało się w willowej części Konstancina i ciągle trzeba było zwalniać przed kolejnymi skrzyżowaniami przecinanymi przez inne samochody, błyskawicznie udało mi się usiąść na ogonie policyjnej sierry. Minęliśmy „Annę”, przecięliśmy ulicę Batorego i

Sienkiewicza i ulicą Piłsudskiego dojechaliśmy do ronda. Można był stąd pojechać na północ, mostem ponad Jeziorka w kierunku Warszawy, skręcić na wschód, by po kilku kilometrach dotrzeć do Józefowa bądź Otwocka, albo na południe, w stronę Góry Kalwarii.

Waldemar Smutek najwyraźniej nie mógł się zdecydować, gdzie uciekać dalej, bo przez chwilę krążyliśmy we trójkę po rondzie. Nagle Smutek gwałtownie zahamował. Tylko swojemu odruchowi i niedawnej wymianie klocków hamulcowych, zawdzięczałem, że nie wbiłem się w rułę sierry. Aspirant Grzymała nie miał tyle szczęścia. Nie jechał co prawda szybko, ale to wystarczyło, żeby roztrzaskał dziób radiowozu o wzmocniony, jak się okazało, tył samochodu dewelopera, który nie zwracając uwagi na wydobywające się spod maski policyjnego wozu kłęby dymu, ruszył z kopyta i wybrał drogę wiodącą w stronę Góry Kalwarii.

Aspirant Grzymała z gaśnicą w ręku tylko mignął mi gdzieś z boku, gdy mijałem jego wóz, by podążyć za terenówką. Pojazd nieuczciwego dewelopera miał już nade mną trzysta metrów przewagi, kiedy przełączyłem wehikuł w tryb rajdowy. Wóz ryknął i wstrząsnął jak ktoś budzący się ze snu bladym, zimnym świtem. Poczulem wibrację w dłoniach trzymających kierownicę. W tym samym momencie odezwała się moja komórka.

— Niech pan przejdzie na głośnomówiący — rozkazał głosem nie znoszącym sprzeciwu aspirant Grzymała. Zrobiłem co kazał.

— Sprawa jest prosta — głos policjanta nie miał w sobie nic z opanowania miłośnika japońskiego rytuału parzenia herbaty. — Musi pan utrzymać tego łajdaka na głównej drodze. Od razu jak wyjechaliśmy, poprosiłem o wsparcie. W okolicach Słomczyna czeka blokada. Pan musi tylko dopilnować, żeby pan Waldemar nie wybrał się na wycieczkę. Jasne?

— Jasne — odparowałem.

— No to, powodzenia — dodał aspirant i rozłączył się.

„Bułka z masłem” — pomyślałem i wcisnąłem pedał gazu, tak że dotknął podłogi. Po chwili byłem jakieś dziesięć metrów za tylnym zderzakiem terenówki, który po zderzeniu z dziobem sierry wgiął się w dwóch miejscach, a warstwa błyszczącego metalicznym srebrem lakieru, była porysowana. Smutek szybko dostrzegł mnie w lusterkach i zaczął próbować rozmaitych sztuczek. Zaczął banalnie — od przyspieszania. Ale kiedy z łatwością dogoniłem go przy prawie dwóch setkach na liczniku, spróbował hamować. Najpierw powtórzył numer, który udał mu się z aspirantem Grzymałą ale byłem na to przygotowany i trzykrotnie z łatwością unikałem zderzenia z jego pancernym zderzakiem. Zrozumiawszy, że nie tędy droga, bardziej się postarał.

Droga, po której jeszcze przed kilkoma minutami przejeżdżały jakieś samochody, była teraz pusta, co oznaczało, że znajdująca się u jej krańca blokada, już działa.

Nie wiem, czy kierowca w pędzącej terenówce też to zauważył, ale to co zrobił, świadczyło o tym, że mógł przejrzeć podstęp aspiranta Grzymały. Najpierw przyspieszył do dwustu kilometrów na godzinę. Zrobiłem to samo i wtedy mnie zaskoczył.

Zjechał na lewy pas i zahamował tak gwałtownie, że z opon poszedł dym.

Dzięki temu został za mną daleko w tyle, odcinając sobie w ten sposób drogę ucieczki do Kalwarii. Ale on najwyraźniej nie miał już zamiaru z niej korzystać. Dociskając hamulec do podłogi widziałem w lusterku, jak terenówka błyskawicznie się obraca i rusza z powrotem do Konstancina.

Po chwili skręcił w lewo, w ulicę Od Lasu, a kiedy zobaczył, że jestem już prawie za nim, odbił w Jagiellońską. Nie zdołał ujechać nią zbyt daleko. Może i terenówka była opancerzona jak czołg, ale to sprawiało, że nie miała szans rywalizować pod względem prędkości i przyspieszenia z wehikułem napędzanym potworem o dwunastu cylindrach. Z łatwością minąłem terenówkę,

przejechałem jeszcze dwieście metrów i obróciłem wóz przodem do kierunku jazdy wozu Waldemara Smutka. Gdyby chciał jechać dalej, musiałby ryzykować zderzenie czołowe. Wiedziałem doskonale, że wehikuł nie miałby szans w starciu z twierdzą na kółkach Waldemara Smutka, ale on najwidoczniej nie był już tego taki pewien, bo zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie i zmuszał silnik terenówki do warczenia niczym pies szykujący się do walki. Po minucie odpuścił, błyskawicznym manewrem obrócił wóz i pojechał znów w kierunku ulicy Od Lasu.

Myślę, że uratowała mnie wówczas dziwaczność ministerialnego środka transportu. Waldemar Smutek wiedział już, że mimo swej brzydoty, moja maszyna potrafi z łatwością wyprzedzić, przynajmniej na krótkim odcinku, jego wóz. „Skoro tak — myślał pewnie deweloper — kto mnie zapewni, że ta pokraka nie ma również wbudowanej w zawieszenie kolejowej szyny, która wytrzyma każde uderzenie?” Jako rozsądny biznesmen wolał tego nie sprawdzać na własnej skórze, tym bardziej że miał jeszcze alternatywę — szansę, że wyprzedzi mnie na dłuższym odcinku.

Z ulicy Jagiellońskiej wróciliśmy na trakt o nazwie Od Lasu, który, jak to wiedziałem, zmieniał się po chwili w samotną dość długą drogę wiodącą przez Chojnowski Park Krajobrazowy aż do znajdującego się jakieś pół kilometra dalej rozwidlenia leśnych traktów, dających Smutkowi szanse na zmylenie pościgu.

Tylko około dwóch minut zajęło mi przekonanie go, w podobny jak na Jagiellońskiej sposób, że myli się w swych rachubach i skłonienie, by wrócił do Konstancina.

Kilka minut później pędziliśmy znów szeroką asfaltówką w kierunku Góry Kalwarii. Na skrzyżowaniu Od Lasu z Jagiellońską bałem się, że Smutek skręci w lewo, do Konstancina, i znów czeka nas niekończąca się gonitwa uliczkami uzdrowiska, ale deweloper, niczym zagonione zwierzę, nie działał już racjonalnie. Skręcił w prawo. Wprost w pułapkę zastawioną przez Grzymałę.

Naciskałem na niego jeszcze przez kilometr, by zajęty pościgiem, nie miał czasu myśleć, aż wreszcie, jakieś dwieście metrów przed nami zamajaczyły dwa niebieskie samochody z białymi pasami na burtach, blokujące dalszą jazdę i zwrócone do siebie przednimi maskami. Ostatnia przecznica w lewo została już za nami, a zjazd w prawo tuż przed blokadą również zagradzały dwa radiowozy. Smutek zwolnił. Ja zwolniłem jeszcze bardziej i znów ustawiłem się bezczelnie, tak by udawać, że jestem gotowy na czołowe zderzenie. Kilka razy nacisnąłem nawet pedał gazu, zmuszając silnik do wojowniczych pomruków.

Waldemar Smutek musiał wybrać.

I wybrał źle.

Rozpędził swój ruchomy taran i runął na blokadę. Wszystko stało się bardzo szybko i mogłem tylko oglądać efekt końcowy starcia, ale policjanci, którzy byli wtedy w radiowozach, opowiedzieli mi wszystko i dlatego mogę odtworzyć całą szarżę ze szczegółami.

Kiedy zobaczyli zbliżający się do nich z dużą prędkością wóz dewelopera przełknęli nerwowo ślinę, ale czekali, grzejąc silniki i dokładnie wypełniając zalecenia swego szefa, którego kilka minut wcześniej aspirant Grzymała poinformował o wytrzymałości i niszczących możliwościach pojazdu Waldemara Smutka. Dopiero gdy terenówka znalazła się jakieś pięćdziesiąt metrów od nich dali „całą wstecz”, zostawiając między sobą wolny pas jezdni. Deweloper skorzystał z tego, ale nie ujechał daleko. Rozległy się cztery huknięcia, terenówka zatrzymała się kilkadziesiąt metrów dalej. W chwilę potem był tam radiowóz, z którego, szybciej niż oszołomiony Smutek ze swego pojazdu, wysiedli czterej policjanci.

Podjechałem bliżej, zaintrygowany gwałtownym hamowaniem mego przeciwnika. Gdy znalazłem się jakieś dwadzieścia metrów od radiowozów, z jednego z nich wysiadł policjant. Zatrzymał mnie ruchem ręki, a potem wskazał na rozciągnięte w poprzek jezdni, ukryte za policyjnymi samochodami, zęby kolczatki, na których pozostały jeszcze resztki czarnej gumy.

ZAKOŃCZENIE

— Bardzo pana polubił — powiedziała pani Zakrzewska i skinęła na „Ogryzka”, który od godziny siedział na moich kolanach i, ku niezadowoleniu Zosi, drapał ją gdy tylko próbowała go zabrać, ode mnie zaś domagał się głaskania po brzuchu. Moja kostka ciągle pamiętała jego ostre pazury, dlatego usłużnie spełniałem te żądania.

— No, niech pan dobierze sobie jeszcze szarlotki — zachęciła mnie starsza pani, która od dnia zdemaskowania dewelopera i jego pomocniczki, dziękowała mi stokrotnie za, jak to ujęła „nieocenione poświęcenie”, a kiedy dwa dni później opuszczałem willę „Anna”, by wrócić do swojej kawalerki na Ursynowie, zapraszała mnie na podwieczorek na świeżym powietrzu w gronie „samyh zaufanych osób”, co, jak się przekonałem, gdy wreszcie po ośmiu miesiącach i dziesięciu telefonach od staruszki, przybyłem na spotkanie, oznaczało niemal wszystkich mieszkańców „Anny”. Siedzieliśmy w ogródku za domem, przy długim stole. Usadzono mnie u samego szczytu, po lewej stronie miałem panią Zakrzewską po prawej zaś trójkę ancymonków, którzy pomogli mi w rozwiązaniu zagadki pożaru willi — Zosię, która ze zwyczajną dla siebie przebojowością zajęła miejsce najbliższe mnie oraz Anię i Maćka.

— Musimy coś panu opowiedzieć — odezwał się ten ostatni, w przerwie między dwoma ogromnymi kawałkami szarlotki.

— Nie krępuj się — zachęciłem go.

— Ale to tajemnica! — włączyła się do dyskusji Ania. — Musimy porozmawiać na osobności.

— Nie męczcie pana Pawła, dzieci — wtrąciła się pani Zakrzewska. — Nie próbował jeszcze sernika. Poza tym musi skończyć jeszcze kawę.

— Przechadzka dobrze mi robi — podniosłem się z krzesła, nie zauważając kota, który nastroszył się, zeskoczył mi z kolan i ruszył w kierunku uchylonych drzwi do „Anny”.

Przez sekundę patrzyłem za nim, a potem przeniósłem wzrok na pięknie odnowiony budynek — pociągnięte zieloną farbą obwódki okien i ich przemalowaną na biało i wymienioną na nową stolarkę, odmalowane według dawnych zdjęć ściany, z uzupełnionymi ubytkami i wyczyszczone z rdzy, na nowo przekute, gdy tego było trzeba, metalowe, secesyjne balustrady. Z boku doszedł mnie ostry zapach pokostu do drewna — przypominający o widzianej wcześniej, niemal już zupełnie przywróconej do dawnej świetności, werandzie północnej.

Renowacja „Anny” była wynikiem procesu sądowego, który rozpoczął się kilka miesięcy wcześniej. Waldemar Smutek, jako że nie miał już zbyt wiele do stracenia, postanowił przyznać się do winy i dobrowolnie poddać karze. Wyznał, że zorganizował podpalenie, bo liczył, że w ten sposób doprowadzi do rozbiórki „Anny” i będzie mógł kupić ziemię, na której stała willa, a potem wybudować w tym miejscu apartamentowiec. Podczas zeznań wydał ludzi, których wynajął do wcielenia w życie swego przestępczego planu, a jego ostatnie słowo do sądu przekształciło się w skargę człowieka niesprawiedliwie cierpiącego samotnie za winy, które są udziałem wielu. Nazwisk jednak tym razem nie podał. Za zorganizowanie podpalenia i niszczenie zabytków dostał 10 lat więzienia i trzydzieści tysięcy grzywny. Renata Pestka dzięki swym zeznaniom trafiła do więzienia tylko na trzy lata i musiała zapłacić pięć tysięcy złotych grzywny.

Proces odbił się głośnym echem w całym kraju. Dzięki niemu zaczęto zwracać baczniejszą uwagę na osoby pragnące wejść w posiadanie zabytkowych obiektów. Rada Konstancina podjęła jednogłośnie uchwałę o renowacji „Anny”, a potem drugą — o obowiązkowym zapisie w umowach, jakie będzie zawierała gmina z ewentualnymi inwestorami — stosowna klauzula nakładała na

kupców zabytkowych obiektów obowiązek ich remontu, a w razie niewywiązania się z umowy i doprowadzenia budynku do ruiny, bardzo wysokie kary.

— Niech pan posłucha — rozpoczął swój kolejny monolog Maciek, gdy obeszlśmy dom dokoła i znaleźliśmy się przed jego frontowymi drzwiami: — Zośka odkryła, że to morderstwo, o którym pan kiedyś mówił, popełniono w „Pallas Athene”. W dodatku nigdy nie wykryto sprawców. Wyobraża pan sobie? No więc postanowiliśmy we trójkę...

Aleja go już nie słuchałem. Podniosłem wzrok i spojrzałem na okno klatki schodowej na wysokości pierwszego piętra. Pod złotym od popołudniowego słońca wizerunkiem Anny Klimpel, na parapecie starego okna ktoś postawił nieduży wazonik z siedmioma czerwonymi makami.

OD AUTORA

Wszystkie osoby, organizacje, firmy i wydarzenia współczesne opisane w tej książce są fikcyjne. Informacje o faktach historycznych czerpałem z kilku źródeł: pamiętników Krystyny z Ulrichów Machlejdowej (dokładne dane bibliograficzne w tekście książki), książki Olgerda Budrewicza „Sagi warszawskie” (Warszawa 1990) oraz prac poświęconych historii Konstancina-Jeziorny: „Znasz-li Konstancin?” Józefa Hertla (Konstancin 1997), „Konstancin. Wędrówka śladami ludzi i zabytków” (Warszawa 1995) oraz wspomnianej już w tekście Karty Ewidencyjnej Zabytku z Archiwum Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków o numerze 901/20 maja 1977. Informacje te posłużyły jako podstawa do działania autorskiej wyobraźni.

Topografię Konstancina starałem się oddać jak najwierniej, ale gdy wymagała tego akcja powieści, nieco ją zmieniłem, a niektóre budynki wymyśliłem.

OD WYDAWCY

Nie mogąc sprostać oczekiwaniom finansowym rodziny Zbigniewa Nienackiego, jesteśmy zmuszeni od tomu 106 „Willa Anna” odstąpić od tytułu „PAN SAMOCHODZIK I...” oraz wykorzystywania postaci Tomasza N.N. w kolejnych książkach, tym bardziej że i tak od dawna pojawiał się on jedynie dla uzasadnienia tytułu serii, a jego wpływ na przebieg akcji był znikomy.

Odtąd Paweł Daniec — wykreowany przez nas główny bohater serii od tomu 17 — będzie rozwiązywał zagadki historyczne bez udziału pana Tomasza.

Oficyna Wydawnicza
„Warmia” s.c.